

Żyjmy niebezpiecznie

Rozmowa z Agnieszką Osiecką — patrz str. 6

Nr indeksu 36762PL ISSN 0472-5042



Foto: Joanna Sołtan

Łódź

tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 4 (1556)

ROK XXXI

23 STYCZNIA 1988 ROKU

CENA 25 ZŁ

- Kupił nawet armatę — str. 5
- Widmo erotyzmu i erotomanii — str. 4
- Oni wydali wojnę szarzyźnie — str. 7
- Biesiada po gruzińsku — str. 11
- Kogo boją się Anglicy? — str. 14

Co zbudować w Łodzi: Filharmonię czy Centrum Imprez Kulturalnych?

Kryzys tkwi w nas samych...

Rozmowa z RYSZARDEM CZUBACZYŃSKIM,
dyrektorem Wydziału Kultury Urzędu Miasta Łodzi.

— Co będzie z kulturą, gdy w naszym życiu zapanuje jedyny przelicznik: pieniądz? Czy kryzys nie ukaze nam nowego oblicza?

— A czy nie uważa pan, że dzisiejszy kryzys w kulturze ma swój początek w procesach dehumanizacyjnych, jakie zachodziły od lat np. w... oświecie? Proszę pomyśleć: W pewnym okresie zaniedbano, zresztą nie tylko u nas, nauczania, kaligrafii, właściwego odbioru poezji, a więc tych wartości, które kształtują wrażliwość, poczucie piękna, estetyki, precyzji myślenia. To jak mi się wydaje, dało początek pewnym zjawiskom, które dzisiaj odbieramy tak wyrażając. Czym skorupka za młodu. Potem to już można tylko naprawiać z tego początki. Zostawmy truiemy. Jestem przekonany, że upadek wychowania estetycznego jest źródłem zagubienia i wszystkiego, co dzisiaj przeżywamy i odbieramy jako zjawiska kryzysowe.

— W miejsce tamtych przedmiotów nauczania wprowadzono nowe.

— Tak. Doszliśmy do... komputerów, to prawda. Ale za traciliśmy poczucie piękna, wrażliwość. Dehumanizacja ma szerszy wymiar. W równym stopniu odnosi się do środowiska naturalnego. I tak jak w przypadku naturalnego środowiska tworzy się bariery ochronne, tak kultura winna być podobną barierą obronną przed dehumanizacją naszego życia duchowego, umysłowego. To prawda, pewną kompensatę stanowi film, telewizja, tyle że masowa kultura tworzy fakty społeczne. Trzeba więc czynić wszystko, aby szeroko pojmowana kultura była nieodzowna w życiu człowieka, by go wzbogacała intelektualnie. A w tym zakresie wiele do spełnienia mają nie tylko pracownicy kultury.

— Od nieznajomości kaligrafii, poezji, to braku wrażliwości, ślepoty i głuchoty na urode świata, o zjawiska społeczne?

— Nie tylko. Wle pan, w wodzę się z ruchu akademickiego i jakkolwiek znam i rozumiem to środowisko, jednak nie mogę pojąć tego ciągłego gadania o forsie, tego braku radości życia, tworzenia, robienia czegoś pożytecznego, jak'e nam towarzyszyło. Czyżbyśmy mieli łatwiejsze życie, możliwości startu i czegoś tam jeszcze nie podaje się na wytłumaczenie sytuacji w środowisku?

— A propos. Pozwoli pan na niedyskretnie pytanie? Był pan znanym i cenionym autorem tekstów literackich także piosenek. Kierował pan redakcją rozrywkę Łódzkiego Ośrodka TV, dyktorował Estradzie a teraz Wydziałowi Kultury UML. To odważny wybór. Kto i co stracił, kto i co zyskał?

— Rzeczywiście. Dawniej zawsze dążyłem do pewnych celów określonych. One się stawały, były przedmiotem oceny i zawsze wieńczone były czymś wymiernym. W tej chwili samo

moje działanie w wielu aspektach wydaje się nawet bardzo twórcze. Przecież tym co robię każdego dnia tworzę pewne fakty, które po mnie pozostaną. Tylko że tego absolutnie nikt na moje konto nie zaliczy. W tym tkwi podstawowa sprzeczność. Proszę zauważyć, autor tekstów podpisuje się pod tym, co robi, tego wymaga prawo autorskie, tymczasem to co robię — podpisuję, egzekwuję wykonanie — wszak za to odpowiadam — pozostaje anonimowe. Bowiem autorów jest tu wielu. Mówię o tym bez cienia wyrzutu, stwierdzam jedynie, że taka jest prawda. Tylko że jestem świadom tego, co z mojej inspiracji się stało, ewentualnie co zostanie. Najwięcej kłopotów jest jednak z pokonywaniem bądź rozwiązywaniem różnych problemów a nie z tym, co w normalnych warunkach tworzyłoby fakty. Lecz i czas są nienormalne. Teraz znów stoimy w obliczu nowego dyematu, ważnego dla całego narodu, a który najpręcej określa się pojęciem ekonomicznym. A przecież to co nas czeka to zmiany uwarunkowane nową orientacją, nową logiką gospodarowania, sposobu myślenia. Odnosi się więc do przeobrażeń intelektualnych w pierwszym rzędzie...

— Pan jako specjalista od kultury powinien...

— „powinien” właściwie! Nie wiem, czy jako „spec” od kultury mam prawo wypowiadać się w sprawach ekonomicznych, lecz żyjemy w systemie naczyń połączonych. Kultura także. Wiem więc, jakie to spowoduje zmiany w myśleniu. Także ludzi odpowiedzialnych za kulturę. A przecież już zaszło coś takiego, co nazwałbym brakiem radości tworzenia, potrzeby zrywu. Nie tylko w środowisku młodzieżowym. W rezultacie zapanował stan przypominający letnią wodę. Owszem, mamy zapewniony byt w związku z tym robimy tylko to, co nas nie skompromituje. Ale nie skazemy wyżej. A to znaczy, że kultura ogolona została ze swej podstawowej funkcji, zakładającej w swej istocie dążność do wybiecia się, do gwiazdorstwa. Gdyby udało nam się podjąć taki zryw w ekonomice, wzbudzić w ludziach niegdysiejszy entuzjazm, jaki towarzyszył np. odbudowie Warszawy — i to w warunkach pod każdym względem gorszych — wówczas przeżywany kryzys miałby znacznie mniejsze wymiary. Czyli prawda jest to, że istota kryzysu naszych czasów tkwi w nas samych. W tym godzeniu się na letniość, nijakość. A może i na brak nadziei?

— Dotykamy już innych obszarów.

— Prawda, nie odpowiedziałem na pana pytanie wprost. Jestem tu od pięciu lat, bo — tak mi się wydaje — staram się robić rzeczy pożyteczne, jak ci, z którymi pracuję Odszedłem z Telewizji, gdyż ta instytucja została tak scentralizowana, że miałem dosyć zebrać w centrali, na które byłem ska-



Foto: Grzegorz Galasinski

Ogłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny
36-52-44

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99,

publicyści: 36-77-70,
32-89-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:

Grażyna Olechnowicz

Kierownik działu:

literackiego: Henryk

Pustkowski

Redaktor techniczny:

Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,

Dariusz Dorożyński,

Eugeniusz Iwanicki, Teresa

Jerzykowska, Andrzej

Karolczak, Roman Kubiak,

Jerzy Kwieciński, Bogda

Madej, Andrzej Makowiecki,

Paweł Tomaszewski,

Jolanta Wrońska,

Marian Zdrojewski.

Grafik: Janusz

Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz

Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga,

Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:

Tadeusz Białecki,

Marek Brzeziński (Londyn),

Bohdan Gadamski,

Grzegorz Gazda, Witold

Kasperkiewicz, Andrzej

Kempa, Wasył

Kocznów (Iwanowo),

Marek Koprowski,

Włodzimierz Krzemiński,

Zenon J. Michalski,

Ryszard Nakonieczny,

Adam Ochocki, Jerzy

Panasiewicz, Karol J.

Stryjski, Maciej Świerkocki.

Wydawca: Łódzkie Wydawnic-

two Prasowe RSW „Prasa-

Książka-Ruch” 91-103 Łódź,

ul. Sienkiewicza 3/5

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-

ficzne RSW „Prasa — Książka

— Ruch” Łódź, ul. Armii Czer-

woniej 28.

Redakcja nie zwraca nie za-

zamówionych reklam i nie za-

strzeżenie za prawo do skrótu. Za

treść ogłoszeń redakcja nie od-

powiada.

Warunki prenumeraty: 1. Dla

instytucji i zakładów pracy —

złokształtowane w miastach wo-

jewódzkich i pozostałych miastach

w których znajdują się siedziby

Oddziałów RSW „Prasa —

Książka — Ruch” zamawiają

prenumeratę w tych oddziałach

— instytucje i zakłady pracy

zlokalizowane w miejscowościach

gdzie nie ma Oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch” o-

placają prenumeratę w urzędach

pocztowych i u doręczycieli. 2.

Dla indywidualnych prenumera-

tów — osoby fizyczne zamieszka-

łe na wsi i w miejscowościach

gdzie nie ma oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch” o-

placają prenumeratę w urzędach pocztowych

— nadawczo-oddawczych

właściwych dla miejsca zamiesz-

kania prenumeratę Wpłaty do-

konuje się używając blankietu

„wpłaty” na rachunek bankowy

miejscowego Oddziału RSW

„Prasa — Książka — Ruch”. 3.

Prenumeratę ze zleceniem wy-

syłki za granicę przyjmuje RSW

„Prasa — Książka — Ruch”

Centrala Kolportażu Prasy i

Wydawnictw ul. Towarowa 28.

00-958 Warszawa konto NBP XV

Oddział w Warszawie nr 1153-

201045 139-11. Prenumerata ze

zleceniem wysyłki za granicę

poczta zwykła jest droższa od

prenumerat krajowej o 50 proc.

dla zleceń indywidualnych i o

100 proc. dla zleceń instytu-

cyjnych i zakładów pracy. Ter-

miny przyjmowania prenume-

rat na kraj i za granicę — do

dnia 10 listopada na I kwarta-

l i półrocze roku następnego

oraz cały rok następny — do

dnia 1 każdego miesiąca —

poprzedzającego okres prenu-

meraty roku bieżącego.

Zam. 115. S-10.

Laureaci Nagrody Miasta Łodzi za 1987r.



Foto: Grzegorz Gałasiński

Tegorocznymi laureatami Nagrody Miasta Łodzi zostali:

ZOFIA BORKOWSKA, emerytka, wieloletnia działaczka społeczna — za całokształt dorobku w samorządzie mieszkańców.

HENRYK CHMIELEWSKI, plik. prof. dr hab. med., kier. Kliniki Neurologicznej WAM — za całokształt działalności naukowo-badawczej, lekarskiej i społeczno-politycznej.

STANISŁAW FIJAŁKOWSKI, prof. zw. w PWSSP, kier. Katedry Malarstwa, Rysunku i Rzeźby — za całokształt dorobku artystycznego i dydaktycznego.

WIKTOR GRALA, rolnik Indywid., działacz — za całokształt pracy zawodowej i społecznej.

ZDZISŁAW HAS, prof. dr hab., dyrektor Instytutu Materiałoznawstwa i Technologii Metali PL — za całokształt działalności naukowej i dydaktycznej.

BOGDAN HUSSAKOWSKI, dyr. i kier. artystyczny Teatru im. St. Jaracza — za całokształt osiągnięć w działalności reżyserskiej.

MIECZYSLAW KACPERCZYK, emeryt prof. Akademii Medycznej — za całokształt działalności naukowej i dydaktycznej w dziedzinie muzyki.

EDWARD KAZMIERCZAK, mgr., b. przew. Prezydium RN m. Łodzi — za całokształt działalności społecznej i zawodowej w dziedzinie rozwoju m. Łodzi i przemysłu włókienniczego.

ZBIGNIEW KOPCZYŃSKI, mgr inż., specja-

lista d/s transformatorów FTAT „Elta”, za

całokształt osiągnięć w dziedzinie nauki, techniki i gospodarki.

ZDZISŁAW PROCHOWSKI, doc. dr, kierownik Zakładu na Wydziale Ekonomiczno-Socjologicznym UŁ — za całokształt działalności naukowo-dydaktycznej, społecznej i organizacyjnej w zakresie nauk ekonomicznych.

LUDWIK SOBOLEWSKI, działacz sportowy — za całokształt działalności społecznej w dziedzinie kultury fizycznej i sportu.

WOJCIECH JACEK STEC, prof. zw. dr hab., kier. Zakładu Chemii Bioorganicznej Centrum Badań Molekularnych i Makromolekularnych — za całokształt działalności naukowej i dydaktycznej.

ANTONI SZRAM, dr, dyr. Centr. Muzeum Kinetematografii — za całokształt działalności w dziedzinie upowszechnienia kultury i ochrony zabytków.

JERZY WILMAŃSKI, pisarz, komentator Rozgłośni PR — za całokształt działalności literackiej, radiowej, prasowej oraz społeczno-politycznej.

LESZEK WOŹNIAK, prof. zw. dr hab. med., kierownik Katedry Onkologii AM — za całokształt działalności organizatorskiej, naukowo-badawczej i dydaktycznej w dziedzinie onkologii.

Uroczyste wręczenie Nagród Miasta Łodzi odbyło się 18 stycznia w Muzeum Miasta.

Gratulujemy

Przegląd prasy

Niedawno telewizja nasza po raz drugi pokazała znakomity serial produkcji NRD „Hotel Polanów i jego goście”. Podstawą scenariusza były powieści Jana Koplowicza, który przedstawione zdarzenia znał z autopsji. Pisze o tym w tygodniku „FAKTY” (nr 2) Ryszard Kincel.

W rzeczywistości hotel „Bohemia” nazywał się „Austria” i funkcjonował w miejscowości uzdrowiskowej Kudowa-Zdrój (Grenzbrunn). Jego właścicielem był nie Filip Polan, lecz Filip Pollack. Przyjeżdżał tu pracowali Żydzi z Polski. A zachęcała ich następująca reklama:

„Restauracja i pensjonat „Austria” pod nadzorem rabinatu, bardzo blisko Placu Zdrojowego. Znać s doskonałą (czeską) kuchnię, jak również z troskliwej opieki. — Ładne, wysokie pokoje z balkonami. — Światło elektryczne. — Ogrzewanie. — Ogród. — Codzienne nabożeństwo w domu. Właściciel Filip Pollack”.

Autor powieści, Jan Koplowitz, był synem właścicieli tego pensjonatu. Znał więc osobiste stany rabinów i cadyków przyjeżdżających ze wschodniej Polski. W owych czasach prawie jedna trzecia miejsc w hotelach kudo-wskich nastawiona była na przyjmowanie Żydów. W sierpniu 1921 roku wyproszono tu również Bruno Schultza. Zaprzyjaźniła się z nim dwunastoletnia Irena Kejlina. Oto charakterystyczne fragmenty ws. mniei:

„Na ławce naprzeciwko siedzi dziwna postać. Słońce praży, zieleni i kwiaty, a on cały ciemny — ubranie, twarz, włosy. Ciemny, skulony, jakby zamknięty w sobie. Nogi i stopy razem, dłoń ziożone płasko, zamknięte kolanami, ciemna głowa wkloniona między ramionami. (...) Mamma próbowała go wciągnąć do młodszego warsztatu. Milczał i znikł. Próbowała zabrać go na wycieczkę w Riesenbergrube (Polski częstko nazwę Karkonoszy przenosiło na Sudety) — ale to go nie zmieniło. Czyżby serce było płuca? Kiedyś, niezmordowane plechurki wracały z całodziennymi wycieczkami — czekał na nas, podawał wodę, celebrował powrót z nieboszczymi szczytów (Orlica? Szczerbiny Wielkiej?). Ale do Schaedelkapelle (kaplica czaszek w Czermin) przylatczył się i przez parę dni szklował z pamięcią fantasmagorie czaszek i piszcze- li. (...) Pewnego ranka nie było

go na ławeczce. Szukaliśmy go w parku, nie mieliśmy jego adresu. Znikł”.

Rzeczywiście fakty i wspomnienia stały się też podstawą arcydzieła Gabriela Garcii Marqueza „Sto lat samotności”. Ślady powieściowego Macondo można odnaleźć w miasteczku kolumbijskim Aracataca (departament Magdalena). Ciekawy materiał i zdjęcia na ten temat wydrukowano w miesięczniku „KONTYNENTY” (nr 1). Czytamy w nim między innymi:

„Aracataca, miasteczko, w którym urodził się i spędził swe dzieciństwo Garcia Marquez, nazwane jest w tym samym piśmie samotnością, jakie odnajdujemy w powieściowym Macondo. 40-stopniowym upałem ulice, domy i opustoszałe kantyny. Wyrażają ją oczy kobiet i mężczyzn, którzy spędzają życie kołysząc się powoli w bujanych fotelach. Aż trudno wyobrazić sobie dawną wspaniałą Aracataca, kiedy pianole grzechotały pieniędźmi pochodzącymi z bananowej plantacji i tańczono cumbie w kantynach, a mężczyźni przypalali cygara od pięciodolarowych banknotów”.

Jeszcze stoi dom rodzinny Garcii Marqueza. Obecna jego właścicielka zapewnia turystów, że wszystkie wydarzenia przedstawione w książce są prawdziwe. Na przykład — w 1928 roku na stacji kolejowej w Cienaga rzeczywiście zastrzelono trzy tysiące strajkujących robotników z United Fruit Company. Spokojnie dziś i sennie miasteczko przeżywało kiedyś gorące bananową, zjeżdżając się tu ludzie z różnych stron świata.

Z kolei w miesięczniku „MŁDOŚĆ” (nr 1) znalazłem interesujące dane o życiu i twórczości Włodzimierza Wysockiego. Nad grobem zmarłego 25 lipca 1980 roku artysty wciąż zbiera się tłumy jego wielbicieli. Na Cmentarzu Wagańkowskim w Moskwie trwa nieustannie poetyczne requiem. Zebrani wymieniają teksty i nagrania, śpiewają, a pieśni składają świeże kwiaty.

Jakim człowiekiem był Włodzimierz Wysocki? W pewnej ankiecie ujawnił swoje preferencje. Podaje niektóre tylko odpowiedzi: ulubiony pisarz — M. Bułhakow; ulubiony poeta — Achmadulina; ulubiony reżyser i film — Chaplin; „Światła wielkiego miasta”; ulubiony rzeźbiarz i rzeźba — Rodin; „Myśliciel”; kraj wzbudzający sympatie — Rosja, Polska i Francja; idealny mężczyzna — Marlon Brando; nieprzejęta postać historyczna — Lenia i Garibaldi; postać wzbudzająca odrazę — Hitler i jemu podobni; ulubione cechy charakteru — zdolność do poświęceń (ale tylko dla dobrej sprawy); ulubiony kolor, kwiat, zapach, dźwięk — biały, goździk,

NA WŁASNY RACHUNEK

Praktyka pojednania

Jest faktem niezaprzeczalnym i oficjalnie uznanym, że katolicy polscy, stanowiąc większą część społeczeństwa, mają swój pokazy udział najpierw w odbudowie zniszczonego przez wojnę kraju, a później w rozbudowie jego gospodarczego i kulturalnego potencjału. Ale chociaż temu nikt obecnie nie zaprzecza — ani po stronie władzy, ani Kościoła — to przecież pamiętamy, że różnie z tymi ocenami bywało.

A bywało i tak, że Kościół krytycznie odnosił się do udziału wierzących w powojennym życiu publicznym Polski Ludowej, z obawy (a nieraz może tylko pod pozorem), iż będzie się wiązało z działaniami sprzecznymi z zasadami wiary (nieraz przecież chodziło o ekonomiczne i polityczne interesy dawnych klas posiadających). Jedni katolicy okazywali posłuszeństwo zaleceniom ambony, inni pod wpływem różnych okoliczności, szli na daleką współpracę z instytucjami państwowymi i politycznymi, popadając niekiedy w konflikt sumienia, inni wreszcie działali ideowo w ugrupowaniach rozwijających myśl społeczną katolicyzmu polskiego, znajdującą punkty stykowe z założeniami socjalizmu.

Natomiast państwo, chociaż zabiegało o jak najczynnieszy udział katolików w życiu gospodarczym i społecznym, wychodziło z założenia, iż jest on bezwzględnie powinnością obywatela bez względu na jego filozoficzny światopogląd na zasadzie lojalnego, posłusznego wykonawstwa, nie zaś całkowitego współpartnerstwa wierzących i niewierzących. Przypomniawszy katolikom o tym co cesarskie, a co boskie, w podobnej zresztą intencji, co w zawołaniu: „Pisarze do pióra”!

Byłoby jednak nierozumnie zarzucać władzom państwowym w jakimkolwiek okresie Polski Ludowej prześladowanie czy choćby szykanowanie ludzi z powodu wyznawanej wiary katolickiej lub innej, z wyjątkiem wymagań stawianych (nie zawsze) członkom partii, by opowiadali się w słowie i czynie za materialistycznym światopoglądem (każda partia ma jednak prawo wymagać od swoich, dobrowolnych przecież, członków zajmowania określonego stanowiska).

Jaki powód, żeby dziś te przebrzmiałe dzieje przypominać? Od dawna już, choć niekiedy z niemałymi oporami, torowała sobie drogę w środowiskach partyjnych świadomość, że sprawy światopoglądowe nie powinny być przyczyną ograniczeń praw obywatelskich, a od IX zjazdu zdecydowanie bierze górę teoria i praktyka pluralistycznego modelu demokratycznego społeczeństwa i każdy rok tę tendencję rozwija i umacnia, czyniąc wyjątek tylko wobec osób, które nie akceptują założeń ustrojowych państwa, nie respektują jego konstytucji i podważają jego sojusze.

Obie strony musiały przejść długą i niełatwą drogę, zanim mogło dojść do zajęcia przez miarodajne koła kościelne stanowiska w sprawie stosunków katolików do państwa i do ich udziału w życiu społeczeństwa. Mam oczywiście na myśli niezwykle doniosły dokument — opublikowany ostatnio przez Prymasowską Radę Społeczną, a zatytułowany „Katolicy w życiu publicznym”.

Niejaką wyjściową tezę tego dokumentu jest stwierdzenie, że katolicy mają „wynikający z wiary obowiązek wpływać na kształt społeczeństwa, której są członkami”. Mogłoby ktoś powiedzieć, że prawo do wywierania wpływu na kształt życia społecznego i politycznego uzurpowali sobie kręgi katolickie zawsze, co spotykało się ze strony władzy z zarzutem uprawiania „politycznego klerykalizmu”, ale byłaby to, moim zdaniem, podejrzliwość już nie na czasie, wynikająca z nieznajomości szerszego kontekstu tego sformułowania.

Otóż dokument nie przeciwstawia katolików państwu i nie tylko nie odsadza, jak to bywało, działaczy państwowych i politycznych od czci i wiary, ale oddaje im należny honor: „Kościół uznaje za godną pochwały i szacunku pracę tych, którzy dla posługi ludziom poświęcają swoje siły dobru państwa i podejmują się tego trudnego obowiązku”.

Owszem, problematyka tego co cesarskie i boskie pozostaje w mocy, głosi się bowiem prawo i obowiązek moralny wyrażenia odrębnego stanowiska w wypadku zapadnięcia decyzji sprzecznej z zasadami religii czy głosem sumienia, ale nie musi to oznaczać wycofania się ze współdziałania w pozostałych kwestiach, stanowiących przedmiot współpracy.

Albowiem w związku z tym — jak bardzo już skurczyły się obszary, na których mogłoby dochodzić do moralnych rozbieżności — pomiędzy wierzącymi a niewierzącymi na obecnym etapie rozwoju socjalistycznej demokracji?

Nie brak w dokumencie sformułowań, które powinni włączyć do serca nie tylko ludzie wierzący, jak np. następujące: „Nie może być usprawiedliwieniem bierności i bezczynności przekonanie, że życie społeczne jest źle zorganizowane, że źle i trudne do naprawy są jego struktury, że nie należy do niego”. Można tu jedynie dopowiedzieć, że konieczność stałego doskonalenia struktur życia społecznego, by odpowiadały one zmieniającym się potrzebom, jest tezą głoszoną oficjalnie przez władzę, które też apelują o porzucenie postaw bierności i bezczynności.

Drewno mnie jednak pytanie — jak duża część przyznających się do katolicyzmu zdolna jest wyzwoleć się z zastarych stereotypów myślenia, nie znajdujących już pokrycia w obecnej polskiej rzeczywistości. Kościół w Polsce przedstawił ogólny wizerunek i zadania o wielkiej doniosłości dla całego społeczeństwa i o wielkim znaczeniu dla przyszłości kraju.

JERZY KWIECIŃSKI

W najbliższych numerach „Ogłosów”

— Jaki jest stosunek chrześcijan do nas? Powiedziałbym, że wzbudza ciekawość. Mamy w Warszawie synagogę. W czasie wakacji przyjeżdżają do niej wycieczki z całego kraju, nieraz z najodleglejszych zakątków — mówi prezes Związku Religijnego Wyznania Mojżeszowego MOZES FINKELSTEIN.

— Kiedy przychodzi noc, strach łapie za gardło jednakowe wszystkich. Strach, a może żalostka, i tych grypujących i nie grypujących. I amatorów przestępstwa, i recydywistów — reportaż JACKA MACIASZKA.

— W tym fachu zawsze można zarobić i zawsze można dorobić, choćby po godzinach oficjalnego polowania. Lapięz dajmy na to gapowicza, wyciągasz go z tramwaju, żeby nie było niepotrzebnych świadków, a on weiska ci do kieszeni tysiąc złotych — reportaż REMIGIUSZA CAŁOPALKA o kontrolerach MPK.

— Przed wyjazdem do Berlina sączył się z najpiękniejszą dziewczyną Trewiru, królową bałw, 22-letnią Jenny von Westphalen z rodziny arystokratycznej — o wielkiej miłości Karola Marksa i jego teorii naukowej pisze EDMUND LEWANDOWSKI.

— Przeczytałem w starych zapiskach, że jeszcze w XIX wieku w stawach pod Łodzią, zakonnicom łowił pstrągi. Ponieważ nie mogły pochwycić ze sztucznego zarybienia, musiały dostać się do stawów z nasilających się strumieni i rzek — rozmowa PAWŁA TOMASZEWSKIEGO z ekologiem, dr. hab. MACIEJEM ZAŁEWSKIM.

E.L.

zany. Zebractwa, wysiadywania kątów i wysłuchiwanie tego, że tylko ci tam, wyżej, są mądrzy. Bo sprytniejsi. Lepiej wyposażeni. Wtedy postanowieniem zmierzyc się z prowadzeniem instytucji, która gdzieś tam oscylowała między satyrycznym rozumianym show biznesem, a czymś tam. Niestety, trafiłem na zły czas i stan wojenny przekreślił zamiary. A dalej to już sprawa przypadku, jak to w życiu bywa. Ta zupełnie nowa materia wyzwała we mnie jakby dodatkową energię, emocje, tyle że skanalizowane w innym kierunku.

— Kto zyskał, kto stracił?

— Jeden z moich kolegów — autorów, jak pan wyraził zdziwienie, nie tyle z powodu podjęcia się takiej funkcji, lecz że wybierając stracił, jak się wyraził: mnóstwo pieniędzy.

że powiedział, że coś zaniedbał, że błąd próbuje upchnąć w szufladzie. Nb. miałem kiedyś szefa, który stał się dla mnie wzorem. Gdy do niego przychodziłem w jakiejś sprawie i mówiłem: „Może pan dyrektor zapomniał...”, on odpowiadał niezmiennie i prawdziwie: „Nie, proszę pana. U mnie nie w szufladzie nie leży — i otwierał szufladę mówiąc: — Proszę, jest zupełnie pusta”. Myślę, że to jest dobre wskazanie na życie urzędnika. Tego się trzymam.

— Pojęcie kariery jest panu obce?

— Niektórzy to nazywają karierą. Tylko czy akurat dla autora?

— Temu pojęciu do dziś przypisuje się jakiś dwuznaczny sens. Każdy normalny człowiek pragnie zrobić karierę, wybić się, stać się kimś. To w przeciwnym postawie upatruje coś niezdrowego. Czy pan so-

może być bezinwestycyjna? A przecież tak jest. Oto pierwszy z brzegu przykład — Filharmonia. Temat ten nie pojawił się dzisiaj, a przed kilkunastu laty! Dalej — niedawno gościł w Polsce Filharmonię Izraelską. Właśnie pan dlaczego ominięła Łódź? Otóż nie dlatego, że nie mieli gdzie koncertować, lecz z powodu warunków hotelowych, jakie mamy do zaoferowania. Słowem: odpowiedź wynikająca z analizy stanu i możliwości pozwoli nam stworzyć rzetelną i ambitną ofertę.

— Skoro kultura nie będzie „podawana na tacy”, to...

— Wiem, wiem, co pana niepokoi. Dostęp do kultury. Musimy stworzyć pewne strefy ochronne, chociażby w zakresie prawa dostępu do książki. To są gwarancje prawne, wynikające z istoty naszego ustroju. Powie pan: dlaczego do książki, a nie do muzyki? Otóż dlatego, że kontakt z książ-

Domu Obuwiu przeznaczamy dla Muzeum Sztuki. Będzie to doskonałe miejsce na organizowanie czasowych ekspozycji. Przecież nasze Muzeum posiada bezcenne zbiory, podziwiane na całym świecie. A tymczasem zaledwie 4,5 proc. tych zbiorów zdolni jesteśmy udostępnić. Listę aktualnych prac remontowo-adaptacyjnych mogę poszerzyć, proszę: o dawny pałac Grohmana, przy ul. Tylniej, przeznaczony na potrzeby Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego; zespół pałacowo-ogrodowy Herbsta, przy ul. Przedzwinianej 72, gdzie Muzeum Sztuki będzie miało swój oddział na ekspozycję wewnątrz. A Muzeum Kineematografii, przy pl. Zwycięstwa, Muzeum Ruchu Młodzieżowego, przy ul. Gdańskiej 107? A sprawa Filharmonii? Już sama Filharmonia to temat-rzeka, który, podkreślam, istnieje nie od dziś, lecz od kilkunastu lat! Mówiąc o Filharmonii musimy uwolnić się od krępującego wyobraźnię pojęcia „kryzys”. Kryzys minie, a miasto, ludzie i potrzeby zostaną. Trzeba się więc zdobyć na wizję przyszłościową. I zdecydować się: budujemy Filharmonię — jak to uczynił Lublin wznosząc gmach na 1800 miejsc z dwiema salami koncertowymi — czy Centrum Imprezowe, w którym będzie miała siedzibę Filharmonia z bogatym zapleczem i ambicjami. Lubelska Filharmonia z 1800 miejscami... Już dziś można sobie wyobrazić koncerty filharmoniczne z taką widownią. Lecz to nie nasza sprawa. Nasze miasto tymczasem sprawdziło się w organizacji Międzynarodowych Targów Interfashion. Ta ważna impreza międzynarodowa musi mieć dobre, nowoczesne zaplecze, jest więc najwyższa pora i okazja, aby podjąć odważną decyzję z myślą o kulturalnej przyszłości miasta. Tu nie wystarczy dążyć prezydenta miasta Łodzi. Najwięcej do powiedzenia będzie miała Rada Narodowa. I gdzie bowiem o poważne środki, w samych założeniach techniczno-ekonomicznych — rzędu 400 mln zł. Lecz dzięki nim już za trzy lata będziemy opierać konkretami i z rozmachem realizować przyszłościową myśl. Ale, podkreślam, musimy uwolnić się od pojęcia „kryzys”, aby wyobraźnia dośięgnąć nadchodzący czas.

Jak pan widzi, problemów jest wiele, bardzo wiele, a przecież nie dotknęliśmy nawet tak ważnych spraw jak: finanse, udział związków zawodowych. Dawne związki dużo robiły dla spraw kultury, tworzyły warunki, dostępność, a dziś? Dużo słów i niewiele poza nimi. Mamymy dobre przepisy w tym zakresie i co z tego? Nie generalizując pytam: co robia zakłady pracy? Niewiele, a jeśli, to dla zachowania honoru domu. A inne problemy z obywateli kultury? Nasza obecność kulturalna za granicą? Chcemy i musimy być obecni na rynkach zagranicznych z naszymi wyrobami — to jest oczywiste. Musimy zdobywać rynki coraz lepszymi i nowoczesniejszymi ofertami. Lecz w parze z tym musimy zdobywać dla naszej kultury miejsce w świadomości innych narodów. Niczego nie deprecjując i nie umiając, tu „Cepelia” nie wystarczy, tak jak nie wystarczy już sielski obrazek Polaki z przypięciem. Obok ekspansji ekonomicznej potrzebna jest ekspansja kulturalna. Co to oznacza i jaką ma wagę — posmakowaliśmy uczestnicząc w bogatych i dobrze odnotowanych imprezach kulturalnych w Lyonie we Francji, na zagranicznych koncertach naszego Teatru Wielkiego, Filharmonii, czy wręczając duże ekspozycje Muzeum Sztuki w Centrum Pompidou, które wydało klasę ukazującą łódzką awangardę. To jest najsukcesowniejse przecieranie ścieżek dla dzieł naszych rąk i myśli.

Tematów, jak pan widzi, jest mnóstwo...

— Dziękuję za ich przedstawienie. Do wielu z nich będziemy wracać na naszych łamach.

— Tematów, jak pan widzi, jest mnóstwo...

— Dziękuję za ich przedstawienie. Do wielu z nich będziemy wracać na naszych łamach.

Rozmawiał
MARIAN
ZDROJEWSKI

Pogoda dla rolników

Wiele niekorzystnych zjawisk daje się dostrzec w naszym życiu społeczno-gospodarczym, nikt jednak nie mógłby stwierdzić, iż nad Polską krąży widmo głodu. Nie ulega bowiem wątpliwości, że na tle całej gospodarki rynek żywnościowy prezentuje się najkorzystniej. Trudno tutaj, rzecz jasna, mówić o pełnej równowadze i o kraju mlekiem i miodem płynącym, lecz faktem jest, że rolnictwo pierwsze otrząsnęło się z marazmu i pierwsze wyszło z kryzysu. Stało się tak m.in. za sprawą przemysłowej polityki rolnej, której kształt został sprezyjowany w woj. łódzkim na wspólnym plenum KŁ PZPR i WK ZSL w kwietniu 1983 r. Duże znaczenie miał także konstytucyjny zapis o trwałości chłopskiej gospodarki rodzinnej, a ponadto kilka lat urodzaju i pomysłnej pogody.

Wydać się jednak, że właśnie to ostatnie zjawisko, które można nazwać latami tłustymi, jednych jakby uspiło, drugich zaś wprowadziło w euforię, że staliśmy się samowystarczalni pod względem żywnościowym.

A prawda jest taka, że w I etapie reformy gospodarczej przekraczaliśmy roczne plany eksportu artykułów rolnospożywczych, nie wykonywano natomiast planu importu surowców do produkcji rolnej, głównie komponentów paszowych i środków ochrony roślin. Mimo słusznych założeń zabrakło konsekwencji w realizacji polityki rolnej, wskutek czego relatywnie zmniejszył się poziom inwestowania w kompleksie żywnościowym. Udział nakładów na rolnictwo maleł: w 1985 r. wyniósł 24 proc., w 1986 — 20 proc., choć planowane 30 proc. W woj. łódzkim nakłady wynosiły zaledwie 10 proc.

Trzymając się danych warto jeszcze zaznaczyć, że dostawy nawozów azotowych wykonano w 74 proc., zaś dostawy środków ochrony roślin w milionym 4-leciu — tylko w 60 proc.

W woj. łódzkim nastąpił wprawdzie w ostatnich latach wzrost dostaw sprzętu rolniczego, głównie konnego oraz niektórych maszyn ciągnikowych, nadal jednak brakuje ciągników, przyczep, kosłówek rotacyjnych, kombajnów, pras i opryskiwaczy. Ponadto występują trudności w zaopatrzeniu w olej napędowy. Z tego powodu jesienią nie zarożono w kraju 800 tys. ha ziemi.

Cieszy fakt, że w województwie łódzkim zwiększyła się ostatnio liczba gospodarstw powyżej 10 ha oraz wzrosła przeciętna obszar gospodarstw z 4,3 ha do 4,5 ha. Jak jednak te dane wskazują, w aglomeracji dominują gospodarstwa drobne, dla których niezbędne są małe ciągniki, kombajny i inne małe maszyny.

Mimo wielu braków, np. węgla, którego w minionym roku rolnicy w kraju nie otrzymali 2,5 mln ton, choć według umów kontraktacyjnych tyle im się należało, produkcja rolna mogłaby wzrosnąć, gdyby prowadzono efektywną, prawidłową gospodarkę ziemią, która jest w coraz wyższej cenie. Popyt na ziemię jest większy od podaży, a ponieważ wyczerpują się zasoby PFZ, zmiany w strukturze obszarowej winny następować w wyniku obrotu międzygospodarskiego. Ale tutaj na przeszkodzie stoją niedoskonałości ustawy o emeryturach rolniczych. Otóż starzejący się rolnik nie jest w stanie wiele produkować dla państwa, lecz ustawa tego nie uwzględnia. I dlatego 85-letnia kobieta nie może przekazać gospodarstwa wnukowi, ponieważ nie sprzedawała ostatnio państwu plodów rolnych. Podstawą do uzyskania emerytury powinny być planowane przez rolnika składki, a nie wielkość produkcji. A jeśli stary rolnik nie ma następców i opłaca składki emerytalne, to powinien mieć prawo do emerytury i do sprzedaży swego gospodarstwa jakiemuś młodemu rolnikowi z sąsiedztwa.

Co się zaś tyczy wymienionego wyżej węgla, rolnicy są zdania, że skoro w b. roku wzrosła poważnie cena węgla, to powinien on być ogólnie dostępny, w wolnej sprzedaży.

Panuje opinia, że niedobór mieszkań, artykułów przemysłowych, samochodów, mebli, usług itp. jest boleśniej odczuwalny niż niedobór żywności. Wobec tego ludzie zmuszeni są kupować wódkę oraz mięso, jaję i drób, przy czym te ostatnie na wolnym rynku, gotowi płacić wysokie ceny. A jednocześnie krzyczą się, że nie wolno podwyższać cen żywności, bo pociąga to za sobą windowanie cen skupu, nakręcanie spirali inflacyjnej i służę bogaceniu się chłopów. Tymczasem ceny żywności nie zależą od rolników, tylko od cen środków produkcji. Dopóki ceny skupu będą urzędowe, a ceny na środki produkcji umowne, rolnik zawsze będzie stracił. Dzisiaj parytet dochodów ludności rolniczej i nie-rolniczej kształtuje się w stosunku 85:100.

Ustawiczny kontrendans cenowy, przeszkody w wolnym obrocie ziemią, fakt, że rolnik nocuje jeszcze przed punktem skupu, żeby sprzedać państwu zboże, stan zaopatrzenia w środki produkcji — to wszystko podważa zaufanie chłopów do słusznej w założeniach polityki rolnej.

Zdarzają się jeszcze nieporozumienia na niwie partnerskiej współpracy w koalicyjnym systemie sprawowania władzy. Szczególnie dotyczy to właściwego doboru kadr, co nie jest bez znaczenia dla ZSL, partii politycznej klasy chłopskiej, reprezentującej interesy wsi. Koalicyjność nie może polegać tylko na konsultacjach, ale na możliwości uczestnictwa we władzach, działaniach i decydowaniu. Partnerska współpraca międzypartyjna sprzyja bowiem osiąganiu lepszych wyników w rolnictwie. Być może nie dojdzie już do takiej sytuacji, jak przy wytyczaniu nowych granic Łodzi, kiedy to rące ludowców broniących gruntów rolnych nie pokryły się z decyzjami administracji i opinią radnych.

O takich to m.in. sprawach mówiono podczas obrad V Zjazdu Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego w Łodzi, na którym stosunkiem głosów 101:21 prezesem WK ZSL wybrano ponownie Jerzego Chojnackiego.

Jeden z dyskutantów zacytował anegdotę o cesarzu chińskim, który pytał Konfucjusza, co jest niezbędne państwu i narodowi. Konfucjusz odparł, że wojsko, chleb i zaufanie. A co mógłby stracić bez groźnego dla mnie uszczerbku? — pytał cesarz. Konfucjusz odrzekł, że po stracie wojska cesarz miałby jeszcze kto ochraniać, przy braku chleba naród potrafiłby zaciśnąć pasę, ale przy stracie zaufania cesarz przestaje być cesarzem.

W naszym systemie nie ma cesarzy, a świadoma potknięć na zakrętach historycznych władza ludowa zrobi zapewne wszystko, aby nie tracić zaufania. Nie będzie więc odstępstw od linii reform demokratyzacji ani od wspólnej polityki rolnej NK ZSL i KC PZPR. Była tylko pogoda dopisała.

RYSZARD BINKOWSKI



Foto: Grzegorz Galasinski

Kryzys tkwi w nas samych...



Foto: Grzegorz Galasinski

— To nie jest dalekie od prawdy. Zyskał pan stanowisko, któremu co prawda towarzyszy prestiż, powaga, lecz jako twórca? Stąd proszę...

— Raczej ja panu powiem: nie przekreśliłem do końca swoich ambicji autorskich. Już w czasie pracy w Urzędzie wraz z panem Korczem napisałem musical na motywach Pinokia, który, jak słyszę, jest bardzo udany. Teraz piszę inny, na motywach powieści Władysława Reymonta „Ziemia obiecana”. A zatem i na to znajduję czas, a swoich zainteresowań i przyjemności obcowania z twórczą materią nie odczyłem zupełnie. Za to zupełnie zarzuciłem małe formy. Uważam, że piosenki można pisać przez 10 lat w swoim życiu. Potem to już nie wystarcza.

— Zrozumiałe. Zdobywane doświadczenie skłania twórcę do poszukiwania innych, większych form wypowiedzi.

— Nie tylko to. Piosenki można pisać latami, przejść na absolutne rzemiosło w tym, co się robi i zarabiać duże pieniądze. Ja też w pewnym okresie zarabiałem, lecz osiągnięcie pewnego standardu życiowego powyżej średniej, powiedziałabym, dało mi prawo do tego, aby spróbować czegoś w rodzaju posłannictwa... Zajmowane stanowisko, jak każde tego rodzaju, jest pod silnym ostrzałem. Więc przez wiele lat odrzucałem nawet interesujące propozycje autorskie. Musiałem dbać o dobre imię własne i urzędu. Taki już jestem. We własnej, oczywiście, ocenie. Jak mnie widzą inni? Trudno powiedzieć. Trzeba by przeprowadzić sondaż wśród ludzi, z którymi pracuję. Sądzę jednak, że 80 proc. uważa mnie za sprawzonego, za człowieka, który jak coś przyrzeknie, to słowa dotrzyma, że mówię prawdę, a kiedy nie mogę czegoś zrobić — mówię o tym. Takimi zasadami kieruję się w pracy. Nikt nie mo-

bie wyobraża aktora, który nie chce być gwiazdorem? Lekarza, szafiera, krawca, stolarza, inżyniera, adwokata, który chce być miernotami? To jest wbrew naturze. Historia, także literatury, potwierdziła to. Interesuje się tylko aniołem bądź szatanem, ci przechodzą do historii, ostają się w ludzkiej pamięci.

— No właśnie, a tu leżnia woda. Tylko że ja nie godzę się z takim stanem rzeczy. Dlatego tu jestem. Tutaj można robić rzeczy pozytywne. Proszę pana, nie sądzę... A zresztą, nie będę wyliczał, ile mamy teatrów, muzeów, domów kultury — nie o to przecież idzie. Widzę to tak: W minionych latach wszystko, co mieliśmy do zaoferowania, podawaliśmy ludziom na tacy. Od podawania kultury „na tacy” przechodzimy do tworzenia ambitnej oferty kulturalnej. Oczywiście, to wymaga ogromnej pracy, rzetelnej analizy aktualnego stanu i to robimy. Więcej, do oceny życia kulturalnego — materiału bardzo delikatnej i złożonej — zaprosiliśmy wybitnych krytyków z różnych dziedzin, aby do naszych opracowań przygotowali coś na kształt referatów. To nam pozwoliło rzetelnie ocenić aktualny stan, dokonać analizy struktury, wzbogacić ofertę i podjąć szereg bardzo złożonych problemów, że wymienię bodaj kwestię podziału środków finansowych. To prawda, że niezbędne będzie zwiększenie dochodów z kultury, lecz przy analizie budżetu musimy sobie zadać kilka zasadniczych pytań: Czy np. muzealnictwo musi i może zwiększać dochód? A w ślad za tym kolejne pytanie: Czy muzealnicy to są tylko strażnicy naszych dóbr, naszego dziedzictwa? Owszem i muzealnictwo może uczestniczyć w dochodach, poprzez interesujące inicjatywy wystawiennicze, jak chociażby „4XParę”. Lecz w ślad za tym pojawia się inna ważna kwestia: Czy kultura

ka rodzi wszystkie dalsze potrzeby człowieka. Oczywiście, na wiele pytań trudno jest dziś odpowiedzieć. Wiem jedno: musimy stworzyć ambitną ofertę, zawrzeć w niej również ambitne propozycje z dziedziny sztuki, prawdziwej i niezakłamej. Stworzyć i zagwarantować prawo dostępu do książki, poszerzyć krąg odbiorców kultury. Przecież zaledwie ok. 7 proc. naszego społeczeństwa interesuje się kulturą, lecz — można zaryzykować twierdzenie — są to ci sami, którzy funkcjonują w kulturze, ci którzy zapełniają 80 proc. widowni teatralnych i koncertowych. To są ci sami ludzie. Poszerzenie kręgu odbiorców to sprawa równie ważna, jak oferta, bowiem istnieje tu ścisła współzależność...

— ...ale tak się składa, że od lat wiemy, co chcemy, mamy ambitne plany, interesujące programy i... to wszystko.

— Powiedziałem panu wcześniej, że jestem tu dlatego, gdyż mogę robić rzeczy konkretne i pozytywne, które zostają. Plany i wizje są nieodwołalne, lecz za nimi muszą stać fakty. O oto one: Stworzyliśmy Centrum Informacji Kulturalnej, placówkę o nowoczesnej formule menażerskiej, organizatorskiej, promocyjnej. Centrum wydaje „Kalejdoskop”, który podaje nie tylko pełen i bogaty serwis informacyjny w nowoczesnej formie graficznej, dziennikarskiej, lecz prezentuje na swych łamach także szerokie obszary kulturalnej Łodzi, twórców, placówki. CIK przenosi się do nowych, nowoczesnych urzędzonych pomieszczeń przy ul. Zamkowej. Będzie tam nie tylko komputerowa mapa aktualnych wydarzeń, lecz i kawiarnia, w której zamierzamy stworzyć żywe miejsce spotkań świata artystycznego i kulturalnego. Dalej. Przy zbiegu ulic Piotrkowskiej i Tuwima remontowane pomieszczenia dawnego

Bardzo dobrze reklamowany magazyn poradniczo-hobbistyczny „Pan” bitykawnie znika z kiosków. Wykupują go głównie mężczyźni. Maja teraz własny miesięcznik, w którym połączono seks z majsterkowaniem. Akty pięknych dziewczyn sąsiadują z reczną obróbką drewna... Nie wiadomo, co ważniejsze? Ale chyba jednak seks, a nie majsterkowanie.

Już pobieżny przegląd naszych czasopism, w tym również tygodnika „Odgłosy”, wskazuje, że widmo krąży po Polsce, widmo erotyzmu i erotomanii. Tradycyjna pruderia i nauka moralna Kościoła katolickiego zostały wystawione na ciężką próbę.

W najbardziej religijnym społeczeństwie Europy nastąpiła desakralizacja etyki seksualnej, oddzielenie erotyki od religii. Ogromna większość młodzieży wkracza w życie seksualne przed zawarciem związku małżeńskiego. Przeszło 90 proc. nowożeńców zdążyło wcześniej zakosztować seksu. Co trzecia panna młoda jest w ciąży bądź urodziła już dziecko. Nawet akromne panny Oslabedzie rezygnują do browolnie z cnoty przed ślubem. A biedni księża Wyprzycy z coraz większym trudem transportują niedotłamszona żądze życia na wyższe wartości duchowe.

Zjawisko erotomanii dostrzegano już w Polsce przed wojną. Sześcioletni lat temu Stanisław Ignacy Witkiewicz pisał:

„Erotomania rozprzestrzeniła się jak lepka waga w zaczynającym się nocnym życiu miasta. Wszystko zdawało się być tylko maską, pokrywającą rozwaloną bezwstydnie pierś — w wszystko: od szylku na sklepie do teczki pod pachą i munduru — u nich, u mężczyzn. Oni chodzili bez masek, obnosząc w triumfie tę swoją jedyną, bezcelną wartość, akcentując nieprzystojność obsesjonalnej myśli futrami, kapeluszami, pantofelkami, «merekami», «wstawkami», «zakładkami», tymi w ogóle kobiecymi «fintyluskami», tym całym galganiarstwem...».

Ale tak było w latach dwudziestych. Natomiast teraz obserwujemy coś więcej. Porównanie z magią już nie wystarcza. Trzeba mówić o nadciągającej burzy.

Charakterystycznym znakiem czasu jest konflikt wokół podręcznika „Przysposobienie do życia w rodzinie”. Rozdział o życiu erotycznym współcześni Wyprzycy i Pirożyńscy potraktowali jako wezwanie do anarchii seksualnej. Książkę uznano za straszliwe zło społeczne i moralne. Sprawa nabrała charakteru politycznego przed zbliżającym się referendum.

Tylko młodzież przysłała się wszystkiemu z rozbrawieniem. Kwestie opisane w wyklepym podręczniku zna przecież z innych źródeł. Badania socjologiczne wykazały, że jedna trzecia maturzystów w liceach i jedna druga w technikumach łódzkich oraz dwie trzecie studentów III i IV roku UŁ miało już stosunki seksualne.

Niefatno jest więc w Polsce pisać o życiu erotycznym. Zaraz podnoszą się głosy protestu. Ale zapotrzebowanie na tego rodzaju literaturę jest ogromne. Najlepiej zresztą znają ją świętoszkowscy przeciwnicy. Zawsze zdumiewająco szybko reagują i potrafią bezbłędnie wskazać gorszące fragmenty. Wykazują niebawoma czujność. Być może pod maską świętego oburzenia kryje się autentyczne zainteresowanie.

Nowemu miesięcznikowi „Pan” wróży w tej sytuacji powodzenie. Śmieszmy się jednak do dziwnego połączenia seksu z majsterkowaniem. Ciekawe, kto wpadł na taki pomysł? Dostrzegam tu jakiś prowincjonalizm i nie przewidywalność.

Co innego bowiem seks i polityka. To taki Oba zjawiska można bez trudu połączyć. Już William Szekspir zauważył, że w historii politycznej, obok żądz władzy, właśnie seks jest potężną siłą sprawczą.

Znawcy twierdzą, że władza i erotyzm dostarczają podobnej rozkoszy. W znakomitej powieści Lona Feuchtwangera „Żydówka z Toledo” stara królowa Ellinor mówi do swej córki, że „polityka potrafi rozpalć krew jak najpiękniejsza noc miłosna”. A były sekretarz stanu USA Henry Kissinger powiedział kiedyś: „Świadomość sprawowania władzy jest uczuciem prawie seksualnym”.

Nietrudno wyobrazić sobie prawdziwego polityka w łóżku. Jest to człowiek przyzwyczajony do wielkich namietności i żywiołów. Musi ciągle zmagać się z różnymi procesami spon-tanicznymi. Poznałe dobrze psychiki ludzi. Miłość stanowi dlań jeszcze jeden żywioł między-ludzki, zderzenie woli i uległości.

A co może robić w łóżku majsterkowicz?

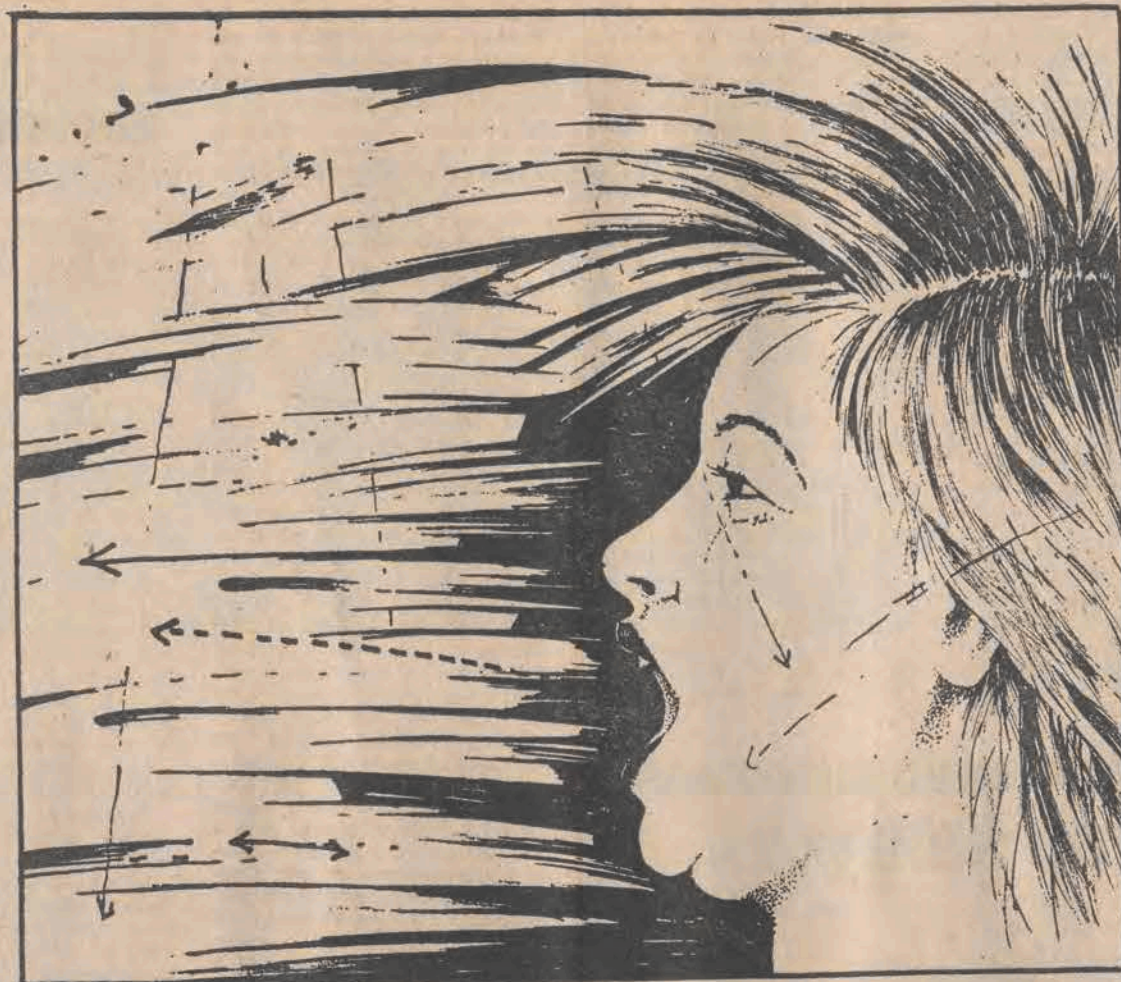
Przepraszam zainteresowanych, ale obawiam się, że kobieta jest dla niego obiektem, który chciałby naprawić, ulepszyć, zbudować od nowa lub — nie daj Boże — odstawić do rupe-ciarń. Nie wyobrażam sobie, żeby jakiś metodyczny, skrupulatny majsterkowicz mnie roz-bierał. Nie byłabym chyba w stanie powstrzy-mać śmiechu.

Majsterkowicz nie pasuje raczej do roli ko-chanka. Ale za to może być dobrym ojcem. Jeśli w dodatku zwinie swój łóż w jakiś ma-sterkowiczka, łatwo mogą „dorobić się” liczne-go potomstwa. Przy czym dzieci potrafią do-kładnie ukształtować na obraz i podobieństwo swoje: fizycznie i duchowo.

Te ostatnia zdolność posiadają przede wszy-skim ci, którzy mają silną i władczą osobowość. Emanuje z nich potężna siła zniewala-jąca, absorbująca, przekształcająca. Na przy-kład, taka kobieta była bohaterka opowiadania Ivo Andrića „Portret rodzinny” — pani Nata z rodu Kamenkovićów. Urodziła ona dwie córki.

„Nie były jednak podobne do matki, tak, jak dzieci bywają podobne do rodziców. Gdzieś tam! Były do niej podobne całkowicie, zoolog-icznie, mechanicznie, tak jak małe rybki by-wają podobne do dużych ryb, różniąc się od nich zaledwie rozmiarem (...). Dziewczynki ro-sły podobne do siebie, jak bliźniaczki, a do matki jak kopia do modelu. Dzieliła je różnica dwóch lat. Obydwie były niedużego wzrostu, czarniawe, już z poduszeczkami sadła, pod któ-rymi kryły się mięśnie spójne do szybkiej i gwałtownych reakcji; usta ściśnięte, zamiast matczyńskich wąskich — meszek ponad uzgard-łowie odętą wargą, gniewny i obrażony wyraz twarzy, rozkazujący i pogardliwy sposób mó-wienia”.

Kupiec galanterijny Nikola Dmitrijević, zwa-ny Czapa, został całkowicie zniewolony przez własną żonę. Nata Kamenković nie gładła go



Rys. Janusz Szymański-Głone

Niektóre kobiety po ślubie przepoczwarczają się, lecz odwrotnie niż w przyrodzie, i z pięknych motyli wyrastają monstrualne gąsienice.

Widmo erotyzmu i erotomanii

MIROSLAWA SARBINSKA

wprawdzie, jak drapieżna modliszka, lecz wy-luszczyła i pozostawiła czczym od wewnątrz. Nikola przestał samodzielnie istnieć i znaczyć. W domu nie odważył się nawet otworzyć okna i przesunąć krzesła bez zgody żony. Kobieta — żywioł, żywioła „majsterkowiczka”, potrze-bowała go tylko do spłodzenia dzieci z jej własnego rodu Kamenkovićów.

Dopiero po śmierci Naty i wydaniu za mąż obu córek Nikola Dmitrijević stopniowo ożywił się i jakby zmartwychwstał. Lecz początkowo próżnia, w której nagle i nieoczekiwanie znikła monstrualna żona, wciągała go w otchłań jak potężny wir rzeczny.

Podobnym monstrum kobiecym była Margita Katanić z opowiadania pt. „Szarak”. Jej związek małżeński z drobny, spokojnym Isidorem okazał się już wkrótce ciężkim bledem i straszliwą pomyłką. Margita zwana Kobrą dyspo-nowała niesamowitą energią życiową i taką „chęcią komenderowania, poskramiania i gne-bienia innych, że zdawało się, iż pułk żołnierzy nie byłby w stanie zaabsorbować wszystkich jej sił”.

Ta ciężka, przekarmiona, rozlaźla kobieta terroryzowała męża, rodzinę i lokatorów pie-ciopietrowej kamienicy. Chciwa, nieufna i zła wciągała go w ataki i ataki. Kobieta była gotowa do ataku na każdą okoliczność. Kie-rowała nią nienasycona potrzeba władzy, upo-dlania i miżdżenia słabszych. Nie mogła znieść myśli, że komus jest dobrze.

Isidor Katanić, którego przezwala Szara-kiem, często zastanawiał się, dlaczego młode kobiety szybko „przepoczwarczają się w zgorz-kniałe gospodynie o nieczułym sercu, krótkim rozumie, zjadliwym języku, podejrzliwym spoj-rzeniu — w zaprzysiężonych wrogów wszelkich wzmożonych myśli, nieskrepowanej radości i piękna? Co to może być? Choroba to nie jest, bo takie szkaradne, wysuszone lub przekarmio-ne, potrafią przeżyć wszystkie swoje ofiary i dożyć późnej starości”.

Isidor doszedł do wniosku, że tego rodzaju kobiety są przekleństwem społecznym wyni-kającym z logiki określonego systemu i opacz-nego wychowania. Myślał sobie, że na pewno istnieją też inne kobiety i lepsze rodziny, ale monstrualna żona przesłaniała mu pole widze-nia, zasłaniała resztę społecznego świata.

Trzeba przypuszczać, że są kobiety, które po ślubie przepoczwarczają się, lecz odwrotnie niż w przyrodzie, i z pięknych motyli wyrastają monstrualne gąsienice. Ten typ kobiet wy-woluje po drugiej stronie chorobliwy mizogini-zm. Maria Kornatowska utrzymuje, że nasze kino moralne niepokoiło było w wyso-kim stopniu mizoginiczne. Na tle dobrych me-żczyzn zwykłe ukazywało wstrętne kobiety.

Można przypuszczać, że mizoginizm w sztuce filmowej ma jakieś społeczne podłoże. Wskazu-je chyba na to list pewnego czytelnika z War-szawy zamieszczony w drugim numerze ma-gazynu „Pan”. Piszono między innymi:

„W rodzinach mężczyzna ma coraz mniej do powiedzenia i służy głównie do drobnych do-mowych napraw. Taki gorszy usługowiec, do którego ma się nieustannie pretensje. W pro-nie moich kolegów 35-latków widzę, co na-prawdę dało równouprawnienie, które kobiety rozumieją jako ich uprzywilejowanie. On usłu-puje dla świętego spokoju, ona mnoży preten-sje. Taki konflikt nuklearny na skalę rodzinną. Coraz częściej ten konflikt kończy się zagładą małżeństwa”.

W kręgu moich obserwacji i doświadczeń często znajduję podobne przypadki. Z prze-rażeniem obserwuję, jak kobiety rozsypują się w grube, gderliwe żony i matki, które tylko poza domem stać na przyjemny uśmiech. Nie rozumiem kobiet sięgających po władzę nad mężczyznami. Kobiety winny czarować me-żczyzn. urodą i subtelnością, a także pewną

biernością. W stosunkach damsko-męskich ko-bieta musi być bardziej pasywna, mężczyzna zaś bardziej aktywny. Sytuacje odwrotne uwa-żam za patologiczne.

W poprzednim esejie pisałam, że trudno po-godzić wielką miłość duchową z silnym po-żądaniem seksualnym. Miłość platoniczna jest zresztą ex definitione pozbawiona elementów zmysłowych. Ale istnieje jeszcze inne prze-ciwieństwo w miłości. Otóż częściowo rozcho-dzi się wzajemnie miłość erotyczna i macierzyńska. Znam kobiety, które w takim stopniu po-chłonięte są sprawami prokreacji i opieki matczynej, że prawie nie zauważają seksu i ignorują współmałżonka. Podobny przypadek znakomicie opisał Bruno Schulz w „Sklepek cynamomowych”. Oto charakterystyczne por-trety cioci Agaty i wuja Marka:

„Ciotka narzekala. Był to zasadniczy ton jej rozmów, głos tego mięsa białego i płodnego, bujającego już jakby poza granicami oso-by, zaledwie luźnie utrzymywanej w skupieniu, w wieżach formy indywidualnej, i nawet w tym skupieniu już zwielokrotnionej, gotowej roz-paść się, rozpaść, rozpaść w rodzinę. Była to płodność niemal samorodcza, kobiecość po-zbawiona hamulców i chorobliwie wybujała. Zdawało się, że sam aromat męskości, zapach dymu tytoniowego, dźwięk kawalerski mógł dać impuls tej zaognionej kobiecości do roz-pustnego dzieworództwa. (...) Wuj Marek, ma-ły, zgarbiony, o twarzy wyjątkowej z plei, siedział w swym szarym bankructwie, pogo-dzony z losem, w cieniu bezgranicznej pogar-dy, w którym zdawał się wypoczywać. W jego szarych oczach tlił się daleki żar ogrodu, roz-pięty w oknie. Czasem próbował słabym ru-chem robić jakieś zastrzeżenia, stawiać opór, ale była samowystarczalnej kobiecości odru-cila na bok ten gest bez znaczenia, przecho-dziła triumfalnie mimo niego, zalewała szeroki-m swym strumieniem słabe podrygi męskości. Było coś tragicznego w tej płodności niechłuj-nej i nieumiarkowanej, była nędza kreatury, walczącej na granicy nicości i śmierci, był ja-kiś heroizm kobiecości triumfującej urodzajno-ścią nawet nad kolektywem natury, nad insufi-cjencją mężczyzny”.

Nawiasem mówiąc: kto dziś z naszych li-tératów potrafi tak pisać jak mały wielki czło-wiek z Drohobycza. Nie chodzi tylko o dezyn-wolturę językową, lecz w szczególności o nie-zwykłą wizję rzeczywistości, magiczną aure pan-tonii. Przypomina to bardzo „realismo ma-gico” Gabriela Garcíi Márqueza. Kto wie, czy Bruno Schulz, gdyby przeżył wojnę, nie zdobył-by Literackiej Nagrody Nobla?

Wracając do sprawy miesięcznika „Pan” i seksu, pragnę zauważyć, że kobiety mniej za-interesowane są pornografią niż mężczyźni. Akty meskie nie pociągają zbyt wiele kobiet. Natomiast mężczyźni lubią malować, rzeźbić, fo-tografować i oglądać piękne, młode, nagie dziewczyny. Dlaczego? Może wyjaśnienie za-warte jest w tym, co głosił Emil Zegadłowicz, że dusza kobiety jest jej ciałem i tworzy z nim jedną nierozdzielalną całość. W każdym ra-zie istota kobiety ma bardziej cielesny cha-rakter niż istota mężczyzny.

W starożytnej Grecji przedstawiano jednak początkowo tylko nagich mężczyzn. Pierwszym aktem kobiecym był posąg Afrodyty sporządzo-ny przez Praksytelesa (IV wiek p.n.e.) dla świątyni w Knidos. Na podstawie rekonstruk-cji tej rzeźby można przypuszczać, że knidyjska bogini miłości była mało kobieca. Zu-pełnie inne wrażenie robi Afrodyta z Melos, czyli Wenus z Milo.

Później zwycięski Kościół chrześcijański sta-nowczo potępił wszelkie akty. Uznano bowiem, że oglądanie nagich ciał stanowi podniecie do rozwiązłej miłości. Trzy wieków średnich

bagatelizowali więc tora, koncentrując uwagę na twarzy i oczach.

Na powrót nagości w sztuce czekano dość długo. Przywrócił ją odważni artyści okresu Odrodzenia: Michał Anioł, Tycjan i inni. A współcześnie w kulturze masowej nagość sta-la się czymś normalnym. Jest dziś wszechobec-na. Rozebrana kobieta może być symbolem bądź akcentem reklamowym prawie wszyst-kiego.

W pewnej jednostce wojskowej dowódca po-lecił uzdolnionemu artystycznie żołnierzowi namalować coś współczesnego w sali szko-lecia politycznego. Gotowy obraz (1,5x8 m) pierwszy zobaczyli koledzy plastyka. Pośrodku stał żołnierz z karabinem automatycznym. Był ciepło ubrany, na głowie miał futrzana czapkę z nausznikami. Otaczało go osiem całkiem na-gich kobiet.

„Dwie stały tuż przy nim po dwóch stro-nach, zerkając ku niemu kokietyrnie, on zaś obejmował każdą z nich za ramiona i śmiał się zuchowato; pozostałe niewiasty upozowane były dokoła, patrzyły na niego, wyciągały ku niemu ręce albo po prostu tylko stały (jedna zaś leżała), ukazując swoje pętnie kształty”.

Wicek zaczął objaśniać kolegom, że kobieta na prawo od sierżanta to Alena, jego pierw-sza babka, która miała w wieku 16 lat. Była żoną pewnego oficera, więc pasuje tutaj jak ulał. Ponieważ lepiej się prezentowała od ty-lu, dlatego przedstawił ją drugi raz na skraju obrazu odwrócona, jakby gdzieś odchodziła. Z kolei z lewej strony żołnierza namalował Loj-zkę, koleżankę ze studiów. Miała małe piersi, długie nogi i śliczną buzię. Studiowała razem z nim na tym samym roku. Następna kobieta dobrze znała na pamięć wszyscy studenci szko-ły plastycznej, lecz nikt jej nie tknął. Pozo-wała tylko, a po zajęciach matka zabierała ją do domu.

„Za to ta — kontynuował — to była kurwa (wskazał kobietę rozwaloną na jakiejś stylowej sofie), podejdźcie bliżej panowie (podeszliśmy), wi-dzicie te kropki na jej brzuchu? to od papie-rosa, zrobiła to jej jakoby zazdrośna babka, z którą żyła, ponieważ ta dama, panowie, lu-biła i to, i to, ta miała temperament jak sto diabłów, dala by z nim radę całemu światu i nam wszystkim, jak tu jesteśmy, razem z na-szymi małżonkami, naszymi kochankami, na-szymi dziećmi i pradiadkami”.

W tym momencie interesujący wykład Wicka przerwała wejście oficera politycznego. Nie spojrzął nawet na obraz, lecz od razu rozpo-znał zajęcia. Przystąpił do czytania broszury wyjaśniającej różnice między armią socjalistyczną a kapitalistyczną.

Chwile potem nieoczekiwanie zjawił się do-wódca jednostki wojskowej. Na widok malo-widła Wicka stanął jak rażony gromem. We-soly artysta usiłował przekonać go, że obraz ma charakter alegoryczny. Żołnierz symboli-zuje armię, a nagie kobiety — klasę robotni-czą, burżuazję, wolność, równość, zwycięstwo... Na przykład, kobieta odwrócona tyłem do sali oznacza schodząca już ze sceny dziejów klasę burżuazji...

Oburzony komendant nie dał się jednak przekonać. Stwierdził, że jest to malowidło dobre dla onanistów i kazał je natychmiast usunąć.

Tak skończyła się historia opowiedziana przez Milana Kundere w powieści „Żart”. Natomiast pięć wieków wcześniej na poważniejszy „żart” pozwolił sobie Jean Fouquet (1420—1481). Namalował otóż piękną Agnès Sorel, ko-chankę króla Francji Karola VII, jako Matkę Boską... i obrazu nie usunął, choć zdołał skrzydło ołtarza. Zmysłowa, pociągająca Ma-donna ma suknie z tak wielkim dekoltem, że całkowicie odsłania lewą pierś. Przy czym nie ma to nic wspólnego z uwydatnieniem ma-cierzyństwa.

Nie mniej ryzykowne „żarty” realizował w Hiszpanii Francisco Goya w Lucientes (1746—1828). W pewnym kościełku namalował piękne, zmysłowe „anielec”, wśród których rozpoznawano twarze wcale nie anielskich kobiet. W ponurych czasach inkwizycji, czyli Świętego Oficjum, niebawem odważył wymagało nana-lowanie nagiej księżniczki Alby jako Mał. Uka-zywanie nagości było wtedy dowodem odstę-pstwa od Kościoła katolickiego. A kacerzy po-syłano na stos.

Cayetana Alba nie przypuszczała chyba, że obraz „Maia naga” przetrwa tak długo i mi-liony mężczyzn będą podziwiali jej wdzięki oraz talent jednego z najwybitniejszych ma-larzy Hiszpanii. Teraz jednak znane są bar-dziej szokujące przedstawienia.

Na rozkładówce pierwszego numeru „Pana” bezwstydna dziewczyna pokazuje całą swą intymność. Ale nie jest to żadna księżniczka, lecz zawodowa striptizerka. Miss Natura z 1985 roku rozbiera się obecnie dla pieniędzy. Ma przy tym trene artystyczna...

Oglądanie w lokalu gastronomicznym na-giej kobiety uważam za coś obrzydliwego. Po-gardzam mężczyznami, którzy szukają takiej podniecy. Może nieświadomie popychają ich ku temu niechłujne żony, monstrualne, roz-lazłe gąsienice... Może odpychała ich grube warstwy pudru, szminki i innych świństw?

„Polecam paniom (a nawet mężczyznom po-golieniu) — radził Stanisław Ignacy Witkiewicz — aby nie używały pudrów kupnych, bo na-walają na twarze ohydnych masek, bo sobie popują przedwcześnie podmaszcza, i wyć bę-da po (samotnych) nocach, jak stare, wyniliale i parszywe suki. Twarz nie powinna być po-kręta pudrem, tylko napudrowana tyle, że-by nie świeciła się jak samowar, po czym pu-dru powinien być starty. Wystarczy zwykła mączka różowa i puszek (a nie te ohydne, brud-ne, zaklejone kokocim sadłem poduszki ja-kieś, którymi się uciera w tę nieszczęsną mordo-skórę wszystkie możliwe świństwa. (...). A robienie sztucznych usteczek w kształcie serca, i to jeszcze karminem, a nie korałem jest ohyda ponad wszelką miarę paszlandną. Nie widać ust, tylko jakieś wstrętne malatu-ry, spomiedzy których lypnie czasem zdechło-foletowy, przez kontrast, język czy dziąsła. Fu!”.

Firma wciągał mnie coraz bardziej. Zawarłem ciekawe znajomości. Poznałem reżyserów, scenarzystów, aktorów, scenografów. Przebywając wśród nich nie mogłem nie natknąć się na arcyinteresującego przedstawiciela tej branży. Stanowisko zajmował raczej skromne — zaopatrzony, ale pracujący od pierwszej chwili w łódzkiej Wytwórni Filmów Fabularnych oddał tej instytucji nieocenione usługi. Niektóre jego wyczyny obrosły w legendę.

Kierownicy i dystrybutorzy różnych placówek handlowych dobrze znali Henryka Szlachetę, bo o nim mowa. W zdobywaniu materiałów niezbędnych do produkcji filmów nie przebiegał w środkach. I zawsze wychodził obronną ręką. Gdyby dostał polecenie ściągnięcia z nieba gwiazdki, jestem przekonany, że już nazajutrz zajaśniałaby ona pełnym blaskiem pod sufitem hali zdjęciowej przy ul. Łąkowej. Forteli, do jakich się uciekał, mógłby mu pozazdrościć oślawiony szlachcic herbu Wczele z „Trylogii”.

Przy kręceniu „Kariera Nikodema Dyzmy” (pierwsza wersja według scenariusza Ludwika Starskiego z Adolfem Dymą w roli głównej) zaszła konieczność zakupu czegoś, czego nie miał na składzie sklep zaopatrujący wyłącznie instytucje. Natomiast to coś miał sklep prowadzący sprzedaż dla prywatnych nabywców. Kierownik sklepu, powołując się na odpowiednie zarządzenie, kategorycznie odmówił sprzedaży atrybutów dla Wytwórni.

Mógł Szlachetę zmobilizować ludzi i po trochu wykupić nieodzowne artykuły, jednak popadłby wówczas w konflikt z wszechwładną księgowością, nie uznano by mu takich rachunków.

— Wiesz pan może sprzedać tylko prywatnej osobie? — upewnił się pan Henryk.

— Tak — potwierdził kierownik sklepu.

pożyczona z żołnierzami i czy ma strzelać?

— Strzelać? Broń Boże! Ona ma być tylko na blo, dekorację.

— Wobec tego nie musi jej pan wypożyczać. Po znajomości tanto ją panu sprzedam.

W owym to czasie upłynięto w ramach demobilu niepotrzebne części uzbrojenia, m.in. armaty, które należało sprzedawać hutom jako złom. I właśnie jedną z nich dzięki Szlachetowi nabył za grosze „Film Polski”.

Armata znalazła się w atelier przy ul. Łąkowej. Wykorzystano ją przy realizacji kilku filmów. Ale taki stan nie mógł trwać długo. Głównemu księgowemu wpadła w ręce faktura z tego zakupu. Uznając transakcję za niezgodną z przepisami, księgowy polecił obciążyć Henryka Szlachetę pełną sumą nabytku i należność potrącić przy najbliższej wypłacie.

I tak się stało. Stanowiąca już własność Szlachetę armata po bojowych i filmowych trudach odpoczywała w rekwizytorni Wytwórni. Aż podczas inwentaryzacji wybuchła awantura. Prywatna własność w państwowym magazynie? Szlachetowi postawiono ultimatum: jeśli w ciągu tygodnia nie zabierze swej pukawki, cłannikiem przytaszczy się ją do domu, w którym mieszka.

— Pan idzie sobie wyobrazić, co ja wtedy przeżyłem? — użalał się Szlachet Adamowi Bieńkowskiemu. — Podwórko pełne łobuziaków, bez przerwy strzelają z procy, teraz zaczęliby strzelać z mojej armaty, a ja bym za to odpowiadał!

Bieńkowski starał się go pocieszyć.

— Przecież armata jest bez zamka i nie ma do niej pocisków...

Szlachet machnął ręką.

— To pan nie wiesz, jakie te dzieci są teraz

Kilkanaście prze zabawnych opowieści o Henryku Szlachecie.

Czy kukurudz jest zbóż?

ADAM OCHOCKI

- To ja się decyduję na kupno.
- Pańskie nazwisko?
- Dyzma.
- Imię?
- Nikodem. Nikodem Dyzma.
- Adres?
- Łódź, ulica Łąkowa 29.

Jeszcze tego samego dnia przed siedzibą Wytwórni zajęła ciężarówka z towarami dla ob. Dyzmy Nikodema, zamieszkałego jak wyżej. Kasjer mógł już lekką ręką uregulować należność.

Innym razem potrzebny był krochmal. Henryk Szlachetę nigdzie nie mógł go zdobyć. Biegając po mieście zauważył dwie siostry zakon-

— Bardzo przepraszam, skąd siostrzyczki wzięły krochmal do swoich kapelusików?

— Z klasztoru.

— To może siostrzyczki podzielić się z nami? J-stem Szlachet z „Filmu Polskiego” — wyciągnął rękę. — Kręcimy „Młodość Chopina” i w żadnym sklepie...

Usłużne zakonnicie powiodły pana Henryka do klasztoru, dokąd niebawem zjechał samochód Wytwórni po poszukiwany krochmal.

Dużą popularność poza fortelami zdobyły Henrykowi Szlachetowi jego unikalne odzywki. Zawsze byłem przekonany, że prymat w kaleczeniu języka polskiego po wsze czasy należy będzie do naszego przedwojennego fotoreportera z „Republiki”, Michała Śpiewaka. Nawet do pięć nie dorósł on panu Henrykowi, choć wzrostem przewyższał go co najmniej o dwie głowy.

Niesmiertelną sławę zdobyło Henrykowi Szlachetowi powiedzenie, które narodziło się przy realizacji wyżej wspomnianego filmu o Fryderyku Chopinie. Jest tam taka scena, gdy pocisk rozbija przydrożną kapliczkę z figurą Madonny. Reżyser, licząc się z możliwością powtórzenia zdjęcia, polecił panu Henrykowi zamówić kilka takich figur na zapas. Wywiązał się z tego zadania na medal, stając się „pięć matek bosek” na swój rozmiar.

Powiedzenie to weszło w krew panu Henio- wi. Odtąd, odbierając telefony w Wytwórni, przedstawiał się z gracją:

— Tu mówi Szlachet od matek bosek!

Pewnego dnia pojechał do Ogrodu Zoologicznego na Polesiu Konstantynowskim. Przedstawił się, a jakże, dyrektorowi kim jest i wysłuszył powód swej wizyty.

— Potrzebny nam jest do filmu boczek.

— Boczek? Chyba pomylił pan adresy. Nie jesteśmy masarnią, lecz ogrodem zoologicznym.

— Ale ja sam widziałem, na własne oczy, tam za tym domkiem, gdzie mieszka elefant, dwa boczki, a my chcemy jednego!

— Co pan wygaduje? Jakże boczki pan tam widział?

— Co znaczy jakie boczki? Takie co chodzą po łące, robią z dziobem klap-klap i zjadają zabki!

A oto jeszcze jedno kapitalne powiedzenie pana Szlachetę.

Dwie pracownice Wytwórni błądzą nad losem koleżanki, która związała się z prątnikiem gruzlikiem. Szlachet siedział w kasku i czytał gazetę. Usłyszawszy tę wiadomość, podniósł głowę.

— Co? On ją prątnuje?

A owa niesamowita historia z armatą? Pan Henryk jako jedyny w kraju obywatel stał się właścicielem działa bojowego!

Miało ono zagrać w jakimś filmie batalistycznym. Henryk Szlachet udał się do kwatery strzostwa WP po zgodę na wypożyczenie armaty. Spotkał krajana z Bielska-Białej, swego rodzinnego miasta, w stopniu majora. Wyśchawszy interesanta, major zadał mu fachowe pytanie:

— Panie Szlachet, czy ta armata ma być wy-

mańca, a nie niewypałów od armat leży na polach. Mnie już gwoździą. Pan dzielnicowy powiada, że jak zobaczy armatę na podwórku, oędzie żądał ode mnie pozwolenie na broń! Skonczyło się pomyślnie. Szlachet pojechał na Śląsk i sprzedał hucie nieszczęsnej armatę. Jeszcze zarobił na tym sporą sumkę i pluł sobie w brodę, że nie zakupił wówczas kilku armat...

Owa arcyzabawna historyjka natchnęła przed trzydziestu kilku laty Jerzego Waldorffa do napisania humoreski, której bohaterem była właśnie armata i jej nabywca Henryk Szlachet, występujący w utworze jako kierownik produkcji zespołu filmowego — Krewicz.

Po przejściu na emeryturę pan Henryk pracował na pół etatu w Wytwórni.

— Czemu nie odpocznie pan na stare lata? — zapytał go.

— Na stare lata? Ja jestem stary? — oburzył się.

— Ja jeszcze pryskam z młodością!

Mieszkał tuż koło mnie, na rogu Wojska Polskiego i Spornej. Spotykaliśmy się często na przystanku tramwajowym. Kiedyś w mojej obecności poprosił sprzedawczynię kiosku warzywno-owocowego o klapsy. Skosznowawszy mizerną gruszkę, skrzywił się z niesmakiem.

— Jak to jest klaps, to kukurudz jest zboż! — oświadczył i zwrócił kupione owoce.

Zapraszał go do siebie. Pierwszą wizytę złożył mi, gdy wyszedłem ze szpitala po trepanacji czaszki.

— Podobno miał pan profanację czaszki? — powiedział z troską na progu, ścisnąc mi wlewnie ręce.

Dowiedziawszy się, że zbieram numizmaty, wzbogacił mnie kolekcją o bezcenne monety i banknoty z łódzkiego getta. Nie chciał przyjąć pieniędzy.

— Za takie rzeczy nie bierze się zapłaty.

Dużo mi opowiadał o sobie. Po opuszczeniu go przez żonę, która wraz z córką wyjechała na stałe na Zachód, przysłał, już nie kipał humorem jak ongiś. Do tego doszła przewlekła choroba, co jakiś czas przebywał w szpitalu. Zmarł nagle trzeciego września 1980 roku. Jak co dzień pojechał do Wytwórni. Poczuł się źle, wezwano karetkę pogotowia. Śmierć nastąpiła w drodze do szpitala. Nie obeszło się bez kryminalnej zagadki. Pan Henio jak zwykle miał przy sobie torbę-konduktorkę, a w niej cenności, z którymi się nie rozstał. Torba zniknęła owego dnia w tajemniczych okolicznościach. Potem odbył się pogrzeb, przyjechała córka z zagranicy — i taki był epilog żywota niezapomnianego wesołka z wytwórni filmowej.

Opowiadki o nim miały stanowić jedynie fragment rozdziału moich wspomnień o przygodach filmowych. A że stało się inaczej, to wina Witolda Fillera. Szef „Szpilek” przysłał mi list: „Chciałbym zachęcić Pana do napisania czegoś w naszym nowym cyklu pt. „Księga humoru”. Czyli minisylwetki jakiegos współczesnego Franca Fiszera i kilku jego autentycznych anegdot, bon motów, dykterek. Na pewno Pan ma (lub miał) takiego w kręgu łódzkich znajomych”.

Od razu pomyślałem o Szlachecie. Z napisanego już rozdziału wyciąłem trzy kartki dotyczące pana Henia i posłałem redaktorowi. Po wydrukowaniu ruszyła lawina. Czytelnicy i znajomi dorzucali coraz to nowe historyjki. I tak cegiełka do cegiełki powstał pantheon sławy Henryka Szlachetę, co mnie skłoniło do poświęcenia mu oddzielnego rozdziału w książce.

Kilka ciekawostek ujawnił Szymon Kobylński.

Szlachet poprosił telefonistkę o połączenie z „człeską”, na co paniienka z recepcji odpowiedziała, że Czyżewska wyszła za mąż za granicę i nie ma do niej połączenia. Na to pan Henryk:

— Ale ja poproszę o człeską! Dżestęgi!

W dobre trudności paszportowych Szlachet zlatował swym kuzynom podróż do Izraela. Biegająca po urzędach wymęczyła go solidnie. Złajany opadł bezwładnie na ławkę w biurze filmowym i westchnął z rozpaczą:

— Pięć tysięcy lat smy tego państwa nie mieli i na mnie musiałoby trafić!

Natomiast nie mogę się zgodzić z „poprawką” pana Szymona, dotyczącą zdarzenia z siostrzyczkami zakonnymi. Kobylński twierdzi, że Szlachet, nie wiedząc jak należy się zwracać do mniszek, zagadnął ją: „Proszę księdza samicki”. Bardzo zabawne, ale delikatny, dobrze ułożony pan Henio nie mógł tak powiedzieć. Przypuszczam, że to któryś ze znajomych skomponował tę odzywkę i włożył ją w usta Szlachetę.

A oto obfity plon zebrany przez telefon.

Pan Henryk żywo interesował się modną w latach pięćdziesiątych miczurinowską metodą wytwarzania nowych odmian owoców drogą skrzyżowania gatunków.

— A wiesz — zagadnął kolegę — co by było jakby skrzyżowaliśmy pierś kobiecą ze szciotką do zamiatania? Pieszc ciotka!

W r. 1949 Leonard Buczkowski kręcił film (tytuł uleciał z głowy memu informatorowi), którego akcja częściowo rozgrywała się w Łąku, na tle stadniny koni. Szlachet dostał odpowiednie polecenie i połączył się z dyrektorem stadniny.

— Pan dyrektor? Bojowe zadanie! Na jutro rano „Film Polski” przyjeżdża do was na zdjęcia. Mój moczodawca prosi o przygotowanie dwadzieścia zebrańców!

Dyrektorowi udało się zmobilizować trzech autentycznych dziadów kościelnych z okolicy, więcej zebrańców nie znalazł. Zamiast nich skłonił kilkunastu chłopów z sąsiednich wsi by zgodzili się, odpowiednio przebrani, wystąpić w filmie.

Nazajutrz, skoro świt, ekipa filmowa przybyła na miejsce. Poczyniono przygotowania, ustawiono kamery. Gdy na drodze ukazał się zastęp chłopów w lachmanach i trepach z łyka, Szlachet obwieścił triumfalnie:

— Są moje zebrańcy! Można zaczynać!

Po dłuższym przestoju przystąpiono wreszcie do zdjęć. Przygłopolowało stado dzikich zebrańców, a poprzębiani na zebrańców chłopcy rozeszli się z markotnymi minami do domów, bo zrezygnowano z ich udziału w kręceniu filmu.

Ożywną dyskusję na łamach „Szpilek” wywołało przytoczone przeze mnie powiedzenie Szlachetę „Jak to jest klaps, to kukurudz jest zboż”. „To nie tak było!” — rozległy się protesty z różnych stron.

Adam Bieńkowski dowodził, że rzecz działa się nie przed kioskiem warzywno-owocowym, lecz w magazynie Centrali Tekstylnej. Panu Henrykowi zaoferowano belę aksamitu i starano się mu wmówić, że to plusz w najlepszym gatunku, na co Szlachet zareagował: „Jak ten aksamit jest plusz, to kukurudz jest zboż”!

Szymon Kobylński udawał, że szło o tkaninę flanelową w kiepskim gatunku, którą Szlachet określił: „Jak ten śmat jest franel, to kukurudz jest zboż!”. Poparł to pan Szymon informacją, że Tuwim kochał owo powiedzonko i wiedział co kocha. Przy okazji zarzucił mi, że „unicestwiam wdzięk powiedzonek przesławne-go Henryka Szlachetę”, no i dorzucił kilka uszczepionych słów pod moim adresem.

Nie pozostałem mu dłużny. Przytoczywszy swoje racje (wspominam je w końcu tego rozdziału) napisałem w „Szpilekach”:

Gdyby „Szpilek” miał prawo debitu w zaświatach, anioł-intendent Henryk Szlachet po przeczytaniu listu Szymona Kobylńskiego skrzywiłby się z niesmakiem, poszczypał swą krótką, ryżą brodkę i powiedział: „Jak ten filipik jest polemik, to kukurudz jest zboż”.

Małgorzata Stark z Krakowa relacjonowała: „Jak ten baweln jest wełen” itd. Przy okazji zdradziła ciekawostkę — jak narodziło się to oślawione powiedzenie Szlachetę. Otóż w pierwszych dniach po wyzwoleniu pan Henryk zadzwonił do Kroniki Filmowej i oświadczył znajomemu kapitanowi, że ma bardzo ważny problem do rozwiązania, a mianowicie — czy kukurudz to jest zboż, bo dostał do wypełnienia blankiet: ilość zboż na składzie.

— A ja nie mam zboż, panie kapitanie, ja mam kukurudz. To ja się zapytuję: czy kukurudz jest zboż?

Po śmierci Szlachetę ciepłe wspomnienie o nim zamieścił w „Szpilekach” reżyser filmowy Janusz Nasfeter. Przypomniał jak to kiedyś we dwójkę odwiedzili z panem Henrykiem zakład gastronomiczny, zamówili dewolaje, a gdy zaserwowano im jakieś ochłapy, jego współbieśnik orzekł: „Jak ten mięs jest dewalaj...” — no i oczywiście nieodzowny „kukurudz” i „zboż”.

Tak więc „Szpilek” zaznajomił swych czytelników z pięcioma wersjami odzywki Henryka Szlachetę. Nie wątpię, że wszystkie są autentyczne. Szlachet chętnie powielał swoje powiedzenia. Widząc jaką wesołość wywołują jego spiczę, nagiął je do nadarzającej się okazji. Wesoły, pogodny, cieszył się życiem i powszechną sympatią. Chętnie rozveselał towarzysztwo.

Niewątpliwie był urodzonym aktorem. Kilka razy zresztą występował z powodzeniem w epizodach filmowych. Pamiętam go z granego przed laty filmu „Polonia Restituta”, gdy przysłuchując się obradom przedwojennego sejmiku w trakcie przemówienia posła Hermana Liebermana z PPS, charakterystycznym gestem szczyple sobie brodkę.

Szkoda, że nikt nie pomyślał o tym, żeby Henryk Szlachet zagrał w filmie samego siebie: życzliwego, pełnego serdeczności dla wszystkich człowieka, niezrównanego wesołka — w butach na karykaturalnie grubej podeszwie, i w tej wełnianej czapeczce narciarskiej...

Fragment pamiętnika „Reporter przed konfeso-nalem, czyli pół wieku z piórem w ręku”, który w połączeniu z pierwszym tomem wspomnień dziennikarskich autora ma się ukazać w tym roku nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.

Na planie filmowym

GRZEGORZ GAŁASIŃSKI



— Czy pan żyje?
— Młodością, która goni w piętkę. Resztkami sił czeplam się młodości.
— A dom, rodzina? Jakże miejsce wyznaczyła im pani w swoim życiu?
— Domu mogłabym nie mieć. Gdyby to było możliwe stałabym się w podróży. Lubię hotele, pociągi, samoloty. Lubię nocować u przyjaciół na kanapie. Ale bardzo ważne są dla mnie dzieci.
— Zawsze była pani światową damą. Jak ktoś taki znajduje się w szarej, niewesołej, polskiej rzeczywistości?
— Nie zgadzam się z tą damą. Może jestem światowym człowiekiem, a i to przesada. Jestem w tym lut prawdziwy, to światowość polega na tym, że chyba umiem się znaleźć w

razę wyłączałam się tego lata, bo napisałam sztukę „Dama z walizką”. Liryczny portret starzejącej się pani, która przybyła do kraju z Londynu i odbywa podróż w czasie.
— Wydała mi się, że obecnie pisze pani mniej tekstów piosenek?
— To prawda, pociągają mnie większe formy, chociaż nie mam przesadnych złudzeń. Moja przyjaciółka powiedziała: „Twoje formy są dłuższe ale nie większe”. Piszę trochę piosenek na płytę autorską — wspólnie z Sewerynem Krajewskim — pt. „Części zamienne” (części do serca). Na Festiwalu Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu zostanie zaprezentowany koncert poświęcony swojemu przeglądowi mojej twórczości. Wystąpią w nim nie tylko aktorzy np. Krystyna Janda, Ewa Błaszczyk, ale piosenkar-

— Ale uchodził pan przede wszystkim za poetę?
— Może tacyśli słuchacze uważają moje piosenki za poezję, jeśli tak to bardzo się cieszą. Są one poezją, ale są także okrucieństwami lirycznymi, zabawkami. Różnie to bywa. W tej chwili moją ulubioną piosenką jest wykonywana przez Marylę Rodowicę „Zaczęty reszty”, która rozpoczęła właśnie swój antenowy żywot. Może zaprezentujemy ją Czytelnikom „Odgłosów”?

„Zaczęty reszty”

W niemożliwym niebie —
niemożliwym anioły,
w niemożliwym niebie,
niemożliwym domu.
I wcale nie trzeba
chodzić do szkoły,
i nie ma końca
blazeńskim gnom.
Ta piosenka jest tylko dla ciebie
i gdy usłyszysz ją z Leokadią
wiedz że mogła fruwać po niebie,
a musi płynąć przez radio.
Ta piosenka jest tylko dla ciebie,
w niej dźwięczy mój śmiech i szloch,
gdy dopadnie cię w Pile lub Lebie,
pomylisz cichutko — ech, ech.

W niemożliwym domu —
niemożliwa przedmioty,
w niemożliwym domu —
niemożliwy stół,
i już od południa —
także i poety,
a wszystko — ale —
nieznośnego pół.

Ta piosenka — eta

W niemożliwym ranek —
niemożliwe prezenty,
z niemożliwych sanek
na śnieg spada kwiat,
i jest Zakopana,
szczyt zaczęty
niezapisany od tyłu lat...

— A co jest dla pani poezją?
— Nie podejmuję się dać definicji, ale mogę powiedzieć — kto jest dla mnie poezją w Polsce: Wisława Szymborska, po niej długo nikt, Ewa Lipska, Zbigniew Herbert, Jan Poleski, Marek Gajdański z Poznania. Z dawnych poetów kocham Tuwima, ze światowych Szekspira. Za wielkiego poetę uważam również Jamesa Joyce'a, choć w zasadzie nie pisałem poezji, lecz piosenki. W polskiej prozie utwory Wiesława Myśliwskiego odbieram jako poezję. Jego „Kamień na kamieniu” jest na miarę współczesnego „Pana Tadeusza”.
— Wraz z upływem lat zmienia się człowiek. Jak to przebiega u pani?
— Jak w starym powiedzonku: charakter zmienia się co 7 lat. Podobno co 7 lat następuje całkowita wymiana krwi w człowieku. To mi dała na wyobraźnię. Zmieniam krag znajomych, rodzaj pracy, chciałem powiedzieć, że zmieniam poglądy, ale nie mam właściwie poglądów. Jestem typową optymistką. Podejrzewam, że chyba do końca życia nie wyrobię sobie wyrażonego systemu wartości, przynajmniej politycznych. Lubię szczerść i naturalność. To chyba jedyna stała cecha mojego charakteru. Poza tym jestem jak bumerang, po wszystkich burzach życiowych wracam do tego samego mieszkania, pod ten sam adres.
— Co przeżywa pani bardziej, osobiste konflikty i problemy czy niepewności zawodowe?
— Osobiste konflikty.
— W życiu prywatnym jest pani obecnie sama?
— Nie jestem sama.
— A kto jest obok pani?
— Nie wiem, czy to jest człowiek lubiący występować publicznie, np. w wywiadzie, bo ja mam stosunkowo małe opory. Jestem dość otwarta. W każdym razie mogę powiedzieć, że zajmuję się również pisaniem. Lubię dzieła wielkich filozofów, muzykę Tadeusza Nalepy, duże płaszczyzne plaże.
— Maltęstwo z tak określonej osobowości jak Daniel Passent, z pewnością wycisnęło piętno na tym jaką się pani stała. Jak duży?
— Wydała mi się, że oboje wywarliśmy na siebie wzajemny wpływ. Ale nie tak duży, jakby to można przypuszczać. Spotkaliśmy się jako uformowane osoby, po trzydziestce. Ja miałam za sobą doświadczenia STS, premierę sztuki „Niech no tylko zakwitną jabłonie”, wyjazdy z przyjaciółmi na Mazury, a Daniel trudnił samotne dzieciństwo, studia w Leninradzie i Princeton, a także kilka lat „Polityki”. Na pewno wniosł do mojego sposobu myślenia trochę zdrowego sceptycyzmu i niezdrowej skłonności do niedomówień. I czegoś czego w nas obojgu nie bardzo lubię. To jest jakiś w danej chwili wygodny, połowiczny ogląd świata. A może to już było we mnie, autorkę tekstów piosenek...
— Jaka jest wasza córka?
— Agata ma 15 lat, chodzi do I klasy LO im. J. Zamojskiego w Warszawie. Niezłe się uczy, ma wręcz dzikie poczucie humoru. W szkole przezywa ją „Pajac”. Trochę pisze, na razie kilometrowe listy do koleżanek. Jest również tenisistką, zdobyła mistrzostwo juniorów młodszych Warszawy. Jej największa rywalka Ania Mol mieszka w Łodzi. Agata nie jest jednak zawistna w sporcie. Lubi koleżanki i kolegów. Umie przegrywać.
— Agata rzadko panią widzi, bo nie jest pani typem kobiety domatorki?
— Oj, chyba nie Wystarczy mi jeden pokój i maszyna do pisania. Jak mogę wykrećam się od prowadzenia gospodarstwa, które prowadzi moja mama. Ona bardzo pomaga mi w życiu. Jest szarą eminencją. Jej działalność jest niemal nieuchwytna. Ale dzięki niej jest coś z nastroju tradycyjnego domostwa, co bardzo lubię. W dni powszednie cisza, w święta zapach pieczonego ciasta. Nie lubię w polskim obyczaju, w odróżnieniu od francuskiego pewnego rytuału jedzenia. Gdy jestem na Zachodzie podoba mi się, że ludzie dużo i często jedzą na mieście. Lubię przebywać w lokalach, od ponurych spehunek i mordowni, a skończywszy na wytwornych restauracjach.

— Może to kwestia genów?
— Może. Moi rodzice mieli przed wojną restaurację w Zakopanem, która do dziś istnieje, nazywa się „Watra”. Gdy tam przebywałam, zawsze czekałam, kiedy kelner zawoła: „Dziedziuszka przyjechała”. Ale nie z tego, nawet pewnego razu wyrzucono mnie z przyjaciółmi z „Watry”, gdy nie mieliśmy pieniędzy na tzw. konsumpcję.
— W jaki sposób ładuje pani swój wewnętrzny akumulator?
— Włóżcie się. Bardzo dużo chodzę. Często zaglądam sama do rozmaitych barów, sporo jeżdżę po Polsce i nie są to podróże w poszukiwaniu tematów. Po prostu od wczesnej młodości jest mi potrzebny pewien sposób obcowania z ludźmi, który nie jest konwersacją. Lubię przebywać w tłumie, odcierając się o ludzi. Nie boję się ludzi. Nie boję się chodzić po nocach. Nie boję się także lasu. A będąc w Ameryce nie bałam się chodzić po czarnych dzielnicach. Najbardziej boję się być sama w nocy w pustym mieszkaniu.
— Czy często potrzebuje pani takiego uzupełnienia braków w sferze psychicznej?
— Niezbyt często. Mam wrażenie, że we mnie stała pracuje jakiś motorek. Czasami jest to aż zbyt intensywne, nieomal bolesne. Może to zabrzmi śmiesznie, ale potrzebuję się wygasić, jakbym miała gorączkę. Nawet potrzebuję nudy. Tak, lubię się ponudzić. Lubię też czekać. To nie jest kwestia natłoku zajęć, lecz napięcia wewnętrznego. Nuda pozwala mi odpocząć od siebie samej.
— W pisaniu potrzeba siły, nie tylko fizycznej?
— Dla mnie pisanie jest odpoczynkiem. Życie bardziej mnie męczy niż pisanie.
— Pomyślała pani o wyprawie z rekawą, nawet gdy posiada się talent pani formatu.
— Moje pomysły wypływają wprost z życia. Niemal każda piosenka, każdy fragment sztuki jest szaryfrowanym czy przetworzonym faktem, portretem człowieka, utrwaleniem chwili. Jestem jak krawiec, który szyje z dostarczonego materiału.
— Czy śledzi pani uważnie rynek muzyczny, w którym się porusza, czy też wszelkie innowacje, prądy i mody, nie mają dla pani znaczenia?
— Nie śledzę rynku uważnie, ale to i owo wpada mi w ucho i oczywiście ma ogromne znaczenie. Bardzo lubię „polskiego rocka” i wiele piosenek napisanych przez młodych ludzi znam na pamięć. Mogę je cytować np. „Stempel na twarz”, „Kombinat”. Podobno mi się zespoli „Kult”, „Maanam” i wydaje mi się, że w okresie stanu wojennego „pokolenie rocka” znalazło bardzo ciekawe środki wyrazu w odróżnieniu od mojego pokolenia.
— Czy nadal ma pani dużo zamówień na teksty piosenek od ich wykonawców?
— Nie za dużo, może dlatego, że niechętnie piszę na zamówienie. Sama wolę znajdować wykonawcę.
— Podobno pisze pani tylko dla gwiazd?
— Wcale nie. Właśnie piszę teksty dla debiutantki Kingi Górny. Dla wielu gwiazd pisałam, gdy nie były gwiazdami np. dla młodziutkiej Lucji Prus czy wschodzącej Maryli Rodowicę. Pisałam też dla teatru, który był w powojakach, to Teatr Współczesny we Wrocławiu za dyrekcji Jana Prochyry. Wspólnie z Zygmuntem Koniecznym napisaliśmy dla nowo narodzonego zespołu piosenki do widowiska „Sztukmistrz z Lublina”.
— Jak często śłucha pani do pisania?
— Prawie codziennie, czasami piszę tylko kilka zdań, czasami notuję pomysły. Właściwy akt tworczy nie odbywa się przy biurku, ale w drodze, na ulicy, w tramwaju, w samochodzie.
— Co na warsztacie?
— Robię ostatnio poprawki do sztuki pt. „Dama z walizką”, której premiera w reż. Andrzeja Maja zapowiadana jest na marzec 1988 roku. Boczny tor to moja praca w PWST w Warszawie, gdzie wspólnie z Piotrem Kozłowskim tłumaczymy dla studentów IV roku Wydziału Aktorskiego piosenki Beatlesów.
— Gdy pracuje, przypomina pani o wszystkim?
— Wprost przeciwnie, mam w głowie całą książkę telefoniczną. Myślę o wszystkim naraz.
— W swoich piosenkach rozdziela pani różne recepty na życie. A jaką receptę przepisałaby samej sobie?
— „Żyjmy niebezpiecznie” Józefa Conrada.
— Chyba kocha pani życie i ludzi?
— Przez 380 dni w roku bardzo kocham, przez pozostałe nienawidzę. Ale w tym jestem chyba podobna do wszystkich ludzi.
— W pani tekstach piosenek, książkach, sztukach jest sporo mądrej filozofii życiowej. Skąd ją pani czerpie?
— Nie wiem, czy to jest filozofia, to raczej pewna postawa wobec życia. Pół przekorna a pół akceptująca. Wyrobiłam ją sobie już we wczesnym dzieciństwie. Wydała mi się, że nigdy nie umiałam się śmiać od ucha do ucha. Zawsze wesoło mieszało się ze smutnym, a groteska z tragedią. Te same cechy dostrzegłam u innych ludzi i takim właśnie ludzkiem staram się nieść. Nie wiem — co chyba coś w rodzaju pociechy. Najbardziej jest to widoczne w piosence „Śłodkie rodzyńki, gorzkie miłdały”.
— Jaki znak zodiaku pani patronuje?
— Waga. Jestem ogromnie sceptyczna wobec astrologii. Muszę jednak przyznać, że ogólne horoskopy dotyczące charakteru człowieka bardzo do mnie pasują. Jestem typową Wagą. Mam trudności z podjęciem decyzji i swojsce to lubię. Lubię tę meczarnię. Często znajduję się w sytuacjach między młotem a kowadłem. Boję się sytuacji konfliktowych, a nieraz w nie popadam. Próbuje być buforem pomiędzy ludźmi. Jestem niezłym dyplomata, ale na granicy konformizmu. Ale nie lubię takich ludzi. Jestem za miękka na obecne czasy.

Rozmawiał: BOHDAN GADOMSKI

Resztkami sił czeplam się młodości...

Żyjmy niebezpiecznie...

Rozmowa z AGNIESZKĄ OSIĘCKĄ

różnych rzeczywistości i może dlatego w tej szarej czuje się najlepiej. Tu czuje się na swoim miejscu. Owszem, lubię podróżować, niedawno byłam w Ameryce, kilka miesięcy temu wróciłam z Francji. Wiele mi się tam podobało, nawet bardzo, ale czułam się nie na swoim miejscu.

— W swojej twórczości zawsze była pani bliska temu, co ją otaczało w życiu. Jak się to ma do obecnej twórczości?

— Nadal jest aktualne, bardziej niż kiedykolwiek. Napisałam sztukę „Znajomi nieznajomych”. Akcja dzieje się w 1987 roku w Gdyni i występują w niej ludzie dnia dzisiejszego. Niektórzy bohaterowie to rzeczywiście znajomi nieznajomych. Sztuka z kluczem. Poza tym jest na scenie mój monodram „Biała bluzka” w wykonaniu Krystyny Jandy. I mów można powiedzieć, że rzeczywistość jest tu bardzo wyraźnie obecna. „Biała bluzka” jest częściowo portretem prostych młodych dziewcząt a częście reportażem z ulic Warszawy, z początku lat 80. Z tej zasady łapania rzeczywistości na no-

ki np. Maryla Rodowicz czy Kora, która zaśpiewa „Okularników”, z nowych twarzy młoda aktorka Kinga Górny. Tytuł koncertu „Daty polskie”.

— A co z realizowaniem ambicji twórczości artystycznej?

— Może powiem o tym czego nie napisałam. Otóż mam w głowie pomysł dużej powieści sięgającej w niedaleką przeszłość, bo ta dalsza jest opisana w „Szpetnych czterdziestolich”, powieści, której kształt jest dla mnie jeszcze niejasny. Ukazuję w niej postawy ludzi, których znam. Tytuł „Czy Don Juan był kobietą”.

— Prosa—poezja. Pani to dzieli, rozstrzeżnia, inaczej traktuje w warsztacie twórczym?

— To zupełnie dwie różne sprawy w moim życiu. Poezja jest głosem serca i niemożliwego dzisiaj natchnienia. Ktoś powiedział, że poeta się nie jest, poeta się bywa. Dla mnie ta maksyma jest jak najbardziej przekonująca. Wydałam tylko jeden tomik poezji „Waga sereza” (1979 rok) i nie wiem — czy wydawnie następny. Prozę będę chyba przemawiała do końca życia. Jest produktem doświadczenia.



W czasie pracy nad „Czereśniami”. Mazury — Krynica 1986

Foto: Jan Borowski

K

ompozycja „Raj” Hasiora za milion, Tadeusza Kantora „Balladyna” za 1 200 000 zł, „Paw” z brązu patynowanego Bronisława Chromego za 2 mln zł, obrazy Edwarda Dwurnika po pół miliona za dzieło, słynne wypychanki Elżbiety Terlikowskiej po 250 tysięcy, Duda-Gracze wyłącznie za ruble, po 3,5 tys. lub 1 700 rubli. Poza tym dzieła Tchórzewskiego, Nowosielskiego, Brzozowskiego, Ernego Rosensteina, Kazimierza Mikulskiego, Konstantego Maciejewicza, Natalii LL, a nawet wyciągnięte skądś stare rysunki Sławomira Mroźka w kompiecie (12 sztuk) za 50 tys. zł. No i wiele, wiele innych dzieł, wielu znakomitych autorów starszego i młodszego pokolenia dla każdego, kto posiadał akurat przy sobie parę groszy i miał jeszcze wolne miejsce na ścianie swego mieszkania. Gdzie to wszystko? Na INTERARCIE '87, czyli IV Międzynarodowych Targach Sztuki Krajów Socjalistycznych w Poznaniu.

Było również kilka prac celkiem młodych artystów, ale im młodszych, tym bardziej z boku. Wielkie obiekty tekturowo-drewniane twórców najmłod-

wierzchni. Ponadto, poza ekspozycją zbiorową „Sztuki Polskiej”, wyodrębniono trzy Salony, których gospodarzami były galerie: „Art” z Warszawy, Sztuki Współczesnej z Krakowa oraz Galeria „86” z Łodzi.

W 1986 roku była Mongolia, a w 1988 zamierza się zaprosić Chiny, gdy dogadane zostaną sprawy rozliczeń finansowych, bo Chińczycy upodobili sobie handlowanie za franki szwajcarskie, podczas gdy walutą rozliczeń międzynarodowych są na INTERARCIE ruble.

Stoisko swoje miał również „Dom Książki”, gdzie kupowano nie tylko albumy i pozycje z zakresu sztuk pięknych, ale i literaturę piękną, trudno dostępną w miejskich księgarniach.

Bufet oferował kielbasę z musztardą, piwo i — po 13,00 — wódkę czystą. Były dobre papierozy, ale palenia na terenie targowych zakazano.

Setki eksponatów, dyskretna muzyka, światła, kolory (a wszystko zakomponowane dość rozsądnie) i trudny do określenia, podniecający zapach, wprowadzały w magiczną atmosferę, świat artystycznej fluizacji, w którym dobrze jest pobyt od czasu do czasu, oderwać się od szarżyzny i nija-

ale firmował i organizował swój kawałek powierzchni targowej oddział Łódzki, jako najbardziej dynamiczny i pomyślny w kraju, obok wrocławskiego i olsztyńskiego. Oddział Centrali zaznaczył się obecnością prezesa Zarządu Głównego Stowarzyszenia wraz z małżonką.

PSEP istnieje od dwóch mniej więcej lat. Zadania postawiło sobie bardzo ambitne zarówno w sferze organizacyjnej, jak i merytorycznej. A więc: chce zintegrować rozproszone środowisko plastyczne. Nie jest to wcale łatwe, bo ci, którzy skupili się w kilku miastach, nie chcą w dalszym ciągu. Niemniej, można być ostrożnym optymistą, a dowodem jest udana ekspozycja na INTERARCIE. Właśnie PSEP, jako jedyny wystawca, zaprezentował prace artystów — swoich członków — we wszystkich chyba dziedzinach twórczości plastycznej, a więc: malarzy, grafików, rzeźbiarzy, tkaczy i szklarzy artystycznych,

i młodzieży, by od najmłodszej młodości rozwijać w nich estetykę i wrażliwość na piękno, sztukę, kolor, a obrzydzenie do szarości i beztęskoty.

Takie projekty potrzebują dużych pieniędzy. Oczywiście jest także, iż to program na lata. Na działalność w 1987 roku Stowarzyszenie otrzymało, tytułem próby, od Łódzkiego radnych (nie od Wydziału Kultury UMŁ) 500 tys. zł. Przy dzisiejszych cenach, za te pieniądze można kupić robaki i pójść na ryby. Rzecz w tym, by ludzie, od których zależy podział pieniędzy na kulturę, zauważyli Stowarzyszenie, zechcieli lepiej poznać jego plany — i wtedy sygnali z garścią groszem, bo cel wart jest środków finansowych.

Sytuację ubogiego (w pieniądzu) Stowarzyszenia zrozumiała „Sztuka Polska”, współorganizator, a zarazem największy wystawca na INTERARCIE i zapłaciła za wynajem powierzchni wystawienniczej, choć to nie mała suma (60 tys. zł za m²). Jest to gest godny uwagi i piękny. Oto jedna firma handlowa nie tylko dopuszcza do Targów konkurencję, ale opłaca jej udział w imprezie. Nie wiem, czy łatwo znaleźć podobny przykład w okresie samofinansowania i innych „S”, gdy każdy za własny interes się trzyma i przedziśnaje sojusznika niż wspomaga bezinteresownie kogokolwiek. Po zakończeniu Targów przedstawiciel „Sztuki Polskiej” wręczył przedstawicielowi PSEP zaproszenie do udziału w kolejnej imprezie w 1988 roku, co równie jest pozytywną oceną tegorocznej ekspozycji.

Wpływ na tę ocenę miały z pewnością, między innymi, działania plastyczne (dawniej powiedzielibyśmy: happeningi), przeprowadzane w stoisku Stowarzyszenia. Działania te, zaprezentowane w czasie tegorocznych Targów wyłącznie przez grupę Łódzką, gromadziły spore ilości widzów, w tym dużo cudzoziemców, których zapraszano do udziału w zdarzeniach. Przeprowadzili więc swoje akcje: Leonard Grabowski — twórca poszukujący min. w dziedzinie innej książki, Adam Więckowski ze swoją grupą (min. opakowanie idei w papier pakowy, jako protest przeciwko handlowi sztukią jakąś ideą), Andrzejewicz, Malarski i Buszka, Mariusz Rodanowicz, a także Bogusław Kobierski — szef przywołanej wyżej grupy twórczej „Hajnowka”. Wszystkie działania artystyczne, a także codzienność targową, zdokumentował kamerą wideo Andrzej Malarski, operator filmowy, członek Stowarzyszenia. Godzi się dodać, że PSEP podzielony jest na sekcje: artystyczną, naukową, publicystyczną i oświatową. Należą do nich nie tylko plastycy różnych specjalności, ale i fachowcy z innych dziedzin wiedzy: teoretycy i praktycy.

Kątek wrocławski w ramach stoiska PSEP zagospodarowała Katedra Wiedzy Wizualnej z PWSSP — Wrocław. Migają monitory komputerów, dzieci i młodzież nie opuszczają tego miejsca przez cały czas trwania Targów. Zasiadają za pulpitem i rozwiązują zadania plastyczne, ułożone przez wykładowców i studentów, dla potrzeb edukacji młodzieży. Jest to jedyny taki kącik na INTERARCIE, znowu pod szyldem PSEP. Telewizja już pierwszego przedpołudnia sfilmowała kącik wrocławski i prezentowała w „Teleexpressie”.

Na koniec należy podać, iż poznańską ekspozycję Polskiego Stowarzyszenia Edukacji Plastycznej przygotowali członkowie oddziału Łódzkiego: Andrzej Buszka — dyr. stoiska, Mariusz Rodanowicz — komisarz artystyczny i Bogusław Kobierski — komisarz techniczny.

Dzieła Hasiora i Kantora zakupiło Muzeum Puskina w Moskwie, rysunki Mroźka — Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku, mnóstwo dzieł sztuki przeszło do rąk prywatnych. Tysiące zwiedzających i wielomilionowe obroty potwierdzają potrzebę funkcjonowania targów sztuki, wbrew zawodowym wydziwiałom. Dobrze, że godnie wypadła w Poznaniu grupa artystów z Łodzi, miasta, które tak marnie prezentuje się na mapie kulturalnej kraju.



Mówi: Paweł Nowicki

— Teatr Studyjny, którym pan kieruje, legł w gruzach. Zaczął się wielki remont, czego pan sobie po nim obiecuje?

— Chciałbym, żeby Teatr Studyjny im. Juliana Tuwima w Łodzi był bardzo nowoczesnym teatrem, zabezpieczonym technicznie, z wygodną dającą publiczności komfort.

— Kiedy go pan przejmował, też zaczynał od remontu?

— To jest ciągle ten sam remont i pewnie jeszcze długo się nie skończy. Jak głosi legenda krążąca wewnątrz teatru, kiedy skończy się remont, ja przestanie być dyrektorem.

— Czy mimo wszystko udało się panu stworzyć taki teatr, jaki sobie wymyślił i jaki go interesuje?

— Myślę, że jestem na dobrej drodze.

— Wszystko zapowiadało się interesująco i ciekawie, ale młyny sezon był moim zdaniem nudnym?

— Podziwiam tę opinię, aczkolwiek nie aż tak jak się o tym mówiło. Powiem więcej — prokurowało. Uważam, że teatr może się bronić tylko spektaklami i widzami, którzy je oglądają. Przy końcu sezonu powstał jeden z najlepszych spektakli „Tragedia — Włodzimierz Majakowski”. Jesteśmy w drodze, która zaczyna się krystalizować. Myślę, że nowy sezon rozwiąże kilka wątpliwości naszej publiczności.

— Odeszli od pana najlepsi aktorzy?

— Jest mi bardzo przykro, bo pracowaliśmy ze sobą przez 6 lat.

— Kto przyjdzie na ich miejsce?

— Dwunastu nowych aktorów z różnych miast.

— Pewnie znowu młodzież, czyli preferuje pan scenę młodych?

— Tu nie chodzi o problem wieku, lecz problem ducha. To jest scena młodych, ale aktorzy będą z różnych pokoleń.

— Zostanę przy panu. Najpierw miał pan zostać filologiem?

— Nie miałem takiego zamiaru, interesowała mnie teatrologia, której wtedy w Łodzi nie było. Na IV roku filologii polskiej UL postanowiłem zdawać na reżyserię PWST w Warszawie. Dostałem tam po nosie od prof. Korzeniowskiego, który rozłożył mnie najprostszymi pytaniami na czynniki pierwsze. Dalo mi to dużo do myślenia i do pracy. Później byłem rok w wojsku, pracowałem jako wychowawca w Domu Dziecka, nauczyciel języka polskiego w szkole podstawowej, a potem zdałem na wydział reżyserii filmowej FWSFTvT w Łodzi. Na IV roku reżyserii zostałem dyrektorem teatru w Słupsku.

— Zdecydował się pan na reżyserię filmową?

— Nie bardzo pamiętam jak naprawdę chciałem. Faktem jest, że środowisko teatralne jest niezwykle hermetyczne. Do dziś mam wrażenie, że jestem w nim człowiekiem z zewnątrz. Reżyseria filmowa daje większy warsztat niż teatralna. Jest tu mniej teoretyzowania a bardziej wymaga się wiedzy praktycznej. Inne jest spojrzenie na teatr i na pracę w nim.

— Wtajemniczeni mówią, że nad sztuką pracuje pan jak typowy polonista a nie reżyser?

— Nigdy nie czułem się filologiem, nigdy nie byłem intuicjonistą. Analiza nie zawsze jest związana z filologią. Robienie spektaklu to nie tylko jego realizacja, lecz zdobywanie pewnej wiedzy, sposobu funkcjonowania. Mniej istotna jest metoda, najważniejsze chyba to co mam w efekcie na scenie.

— W pracy jest pan furialem, potrafi krzyknąć i „rzucić mięsem”, choć wygląda tak kulturalnie?

— Wiem o tych donosach, ale się nimi nie przejmuję.

— A jaki jest pan prywatnie w domu?

— O to trzeba zapytać moją żonę.

— Pytałem, wiem również, że pańska żona-aktorka to gejer temperamentu, krótko trzymająca dom?

— Mnie to odpowiada.

— Ale w pracy to pan ją katusze?

— Zawsze chciałem, żeby była jak najlepsza.

— Teatr jest w pana życiu najważniejszy?

— Chyba tak. Ważna jest również miłość.

— Czyli ona jest u pana na drugim planie?

— Mnie się udało te dwa elementy precyzyjnie połączyć.

— Co jeszcze ma dla pana wartość i sens?

— Cennie lojalność (to jedna z podstawowych wartości) oraz wiedzę i fachowość.

— Na pewno jest pan pasjonatem tego co robi. Ciekawy jestem — czy tej pasji przybywa panu z biegiem lat i doświadczeń, czy też ubywa?

— Mnie to, co robię cały czas sprawia ogromną przyjemność. Przy zdobywaniu coraz większej wiedzy na dany temat coraz bardziej wciąga.

— Co robi pan, gdy coś mu się nie udaje?

— A nie udaje?

— Czasami.

— Staram się to zrobić raz jeszcze. Patronuje mi Rak, jestem więc bardzo uparty i cierpliwy.

— A gdy odnosi pan sukces?

— Wtedy się martwię, bo oczekuję kolejnej kleski.

— Najnowszy sukces to ponad 100-metrowe mieszkanie. W jakim stylu będzie urządzone?

— O tym decyduje moja żona.

— No tak, pan przecież prawie nie wychodzi z teatru...

— Bardzo lubię przebywać w teatrze.

— Jak wiele i co zmienił się w nim obecnie?

— Jest bardzo wiele rzeczy, które zmieniają się, ale nie chcę o tym mówić za wcześnie. Przede wszystkim zmieni się repertuar.

Rozmawiał: BOHDAN GADOMSKI

W Poznaniu były Targi Sztuki. Jak na nich wypadli Łódzcy artyści? I nie tylko.

Oni wydali wojnę szarżyznie!

MAREK KOPROWSKI



Foto: Andrzej Malarski

szej generacji ulokowało za ostatnią zastawką, tuż przy ścianie wielkiej hali wystawowej, gdzie można było zarządzić tylko przez pomyłkę. Tabliczki z nazwiskami autorów (autorów?) ukryto tak przemyślnie, że nikt ich nie odnalazł. Nie zakładali swoim chropowatym wyglądem elegancji wytwornych ekspozycji targowych. Dobrze nie stało, że najmłodszy artysta został wpuszczony do Muzeum Narodowego, gdzie trwa jeszcze przegląd ich twórczości. Wiele znawców przedmiotu uznało to wystawę za wydarzenie sezonu plastycznego. To jednak zupełnie inna sprawa.

W INTERARCIE '87 brali udział wystawcy z 8 państw: Bułgarii, Czechosłowacji, Kuby, NRD, Węgier, Wietnamu, ZSRR i Polski. Braciom ze świata ofiarowano 800 m² powierzchni wystawienniczej, Polska, jako gospodarz, dysponowała 2400 m². Polscy wystawcy, to: PP „Sztuka Polska” — inicjator i współorganizator Targów, PP „Desa” reprezentowana przez Oddział w Krakowie, BWA — Galeria „Pod Wodniakiem” z Gdańska, Polskie Stowarzyszenie Edukacji Plastycznej Oddział w Łodzi (203 m² — czwarta pod względem powierzchni ekspozycja na Targach), Pracownia Artystów Plastyków i Architektów APIA z Gdańska, Spółdzielnia Pracy Twórczej Polskich Artystów Plastyków „Plastyka” z Warszawy, Galeria Promocyna z Warszawy, Galeria „6” z Gliwic, Galeria Plakatu z Warszawy (15 m² po-

ci dnia potoczego. Tłumy zwiedzających, w tym dużo młodzieży i działaczy szkolnej, potwierdzały potrzebę porzucenia w innym pejzażu niż ten za oknem. Każdy pewnie znalazł to, co lubi, a jeśli nie wie jeszcze co lubi — coś, co mu się spodobało. Bo i Nowi Dłzy i realizm, hiperrealizm i symbolizm, strukturalizm i surrealizm, Nowa Fala, Trzecia Siła i sto innych kierunków, prądów, prądików, stylów i manier.

Nie należy jednak zapominać, że zaspokojenie potrzeb estetycznych zwiedzającej publiczności i cel nietypowych waga- rów (na pewno lepsze to niż picie wina w bramie bądź bezmyślna gra w komputer, choć skądinąd jestem za wszelkim poznaniem) — to drugorzędny motyw powołania do życia INTERARTU. Przede wszystkim jest to impreza handlowa, targi sztuki, a więc i promocja polskiej plastyki na Wschód i Zachód.

Uczestnicy handlowali ze sobą z ożywieniem. Czy jednak sprzedano cokolwiek na Zachód? Nie wiadomo. Komunikat oficjalny pominął tę kwestię milczeniem, choć byli handlowcy i z tamtej strony świata.

Na tegorocznych Targach bardzo dobrze zaprezentowało się Polskie Stowarzyszenie Edukacji Plastycznej (PSEP), duża ekspozycja na antresoli wielkiej hali wystawienniczej w Poznaniu. Nagrodą za udany udział w 1988 r. w INTERARCIE było rozszerzenie ekspozycji z 60 m² do ponad 200. PSEP jest stowarzyszeniem ogólnopolskim,

medalierów, projektantów ubioru, twórców poszukujących, np. w dziedzinie innej książki, a także grupę twórczą „Hajnowka” z propozycjami estetycznych i funkcjonalnych mebelków dla przedszkoli, wzbudzających podziw najmłodszych gości Targów Sztuki. Trzeba tu dodać, że po wieloletnich perypetiach, projekty wyposażenia szkół, przedszkoli i liceów plastycznych w meble i pomoce naukowe grupy „Hajnowka”, zaczynają być powoli realizowane, choć jeszcze nie na taką skalę, na jaką zasługują.

Drugim zadaniem, daleko ważniejszym, bo wchodzącym głęboko w społeczeństwo — jest edukacja plastyczna. I to nie tylko w szkołach, przedszkolach, w pracy z dziećmi i młodzieżą, aczkolwiek edukacja z tym się kojarzy najczęściej. Ta „działka” jest bardzo ważna, ale nie jedyna. Chodzi o wygląd ulic, które są szare, o wygląd ludzi, którzy są szarzy, o wygląd osiedli mieszkaniowych, które są ponure, o wygląd naszych mieszkań, które są sobie podobne, bez wyrazu, o beztęskotę w projektowaniu przemysłowym, o żalony wygląd opakowań, o projektowanie użytkowe. PSEP chce w tym stuleciu jeszcze przeformować nową estetykę, zaproponować, ba! narzucić społeczeństwu w miejsce szarych myśli w szarej Polsce — kolor, światło, funkcjonalność, choć poszerzyć wyobraźnię narodu, wykoślić kicz i chałturę, przemówić do zmęczonych szarżyzną oczu, ubarwić życie. Szczególną jednak uwagę poświęci dzieciom

Debiuty

WOJCIECH TWORKO



Zródło wypływające spod skał bazaltowych spływa spokojnie ku dolinom. Krzyk sokoła pikującego za gołębiami przeszywa powietrze. Melodia muzyki niezwyklej dochodzi z innego wymiaru. Mędrzy się pajęczą tkają dla maluczkich, Koszule ciemnieją od potu tym, co wcześniej wstali. Kije czerwienieją od krwi w rękach oprawców. Dzwony wzywają na ranną modlitwę. Lzy tych, co nie znajdują wciąż wiążą w ziemię. Szczęście innych, co doznali spełnienia maluje oblicza. Nietykany, niewzruszony świecie nie zostało dodane, ani nie zostało odejęte, wszak siła poetów to tylko drżenie pióra.

Najgorszy żart minionego roku

Przez cały nasz piękny kraj wiodą trasy różnych zespołów, których ambicje finansowe są znacznie wyższe niż ambicje artystyczne. Choć zdarzają się również wyjątki, zespoły, być może o mniejszej renomie, ale wysokiej kulturze, jak choćby krakowski kabaret „Pod Różą”, który krąży po Polsce z kunsztownie przygotowanym spektaklem artystyczno-literackim „Boja Wina”. Ze wspaniałym programem jeździ po kraju Czesław Niemen, nie ustępuje mu również poziom i finezja artystyczną Maciej Zembaty. Tych wykonawców można rekomendować z czystym sumieniem bez podejrzeń o kryptoreklamę. Obcowanie z tymi artystami nie zawładnie najwybredniejszym.

Co prawda kraj nasz w dziedzinie rozrywki jest federacją 49 województw (ma się to podobno w tym roku zmniejszyć) i na występy każdego poszczególnego zespołu, każde województwo na swoim terenie daje oddzielną koncesję. Jedną zgodą jest udzielana oficjalnie, druga bywa mniej oficjalna. Artysty dużo między sobą potrafią na ten temat mówić i możliwie, że nie są to ich niezdrowe konfabulacje. Tradycyjnie najwyższy haracz obowiązuje podobno w województwach górniczych, tak przynajmniej insynuują niepoprawni plotkarze z kręgów zbliżonych do rozrywki. Ja wręczam łapówki nigdy w życiu nie widziałem, więc ze zrozumiałą rezerwą o tym wstydliwym procederze wspominać, gdyż absolutnie sobie nie wyobrażam, ażeby urzędnik państwowy mógł przyjąć korzyść majątkową od trefnisia.

W celu uporządkowania problemów rozrywki powstał przed rokiem w Ministerstwie Kultury i Sztuki specjalny Departament Estrady. Powołanie. Co prawda istnieją kraje, gdzie nie tylko nie ma oddzielnego Departamentu Rozrywki, ale nie ma nawet samego Ministerstwa Kultury, a rozrywka jest. I to wcale nie pomyłka.

Dyrektor nowego Departamentu p. Janusz Markowski w wywiadzie udzielonym „Kobięcie i Życiu” oświadczył: „Chciałbym jednak, abyśmy w przyszłości objęli nadzorem pracę wszystkich komórek, chociażby pod względem artystycznym”.

Jest to niewątpliwie wyznanie szczerze, zażalenie ambitne i godne uznania, acz niewykonane. Nadzorowanie całej polskiej rozrywki przez jeden ministerialny departament to wizja istic orwellowska. Metody tej próbowano już wielokrotnie i to równocześnie w wielu krajach i zawsze spełniała na niczym. Dyrektor Markowski ma naprawdę przesadne mniemanie o własnych możliwościach i możliwościach swego urzędu. Najlepszym nadzorcą w tej dziedzinie jest publiczność, niech ona weryfikuje, rzecz jasna z pomocą niezawodnej krytyki artystycznej. Tak jest na całym świecie, tak było i będzie i tu nie ma sensu otwierać drzwi dawno otwartych.

Rozrywka jest rodzajem sztuki, a sztuka rządzi się własnymi prawami i estetycznymi parametrami, a nie urzędowymi paragrafami. Prawda jest taka, że poziom rozrywki uzależniony jest od gustu publiczności, gust wyrabia się poprzez częste obcowanie z dobrą rozrywką. Urzędnicy ponieśli w tej dziedzinie już tyle porażek i nie potrafią wyciągnąć należytych wniosków. Jeśli chce się mieć zdrową i na właściwym poziomie rozrywkę, to... lepiej zainwestować, choćby w dziesięciu wybitnych krytyków, niż angażować batalion urzędników do jałowego w końcu nadzorowania.

KAROL BADZIAK



NADZIEJA W KOBIETACH

„Tylko kobiety mogą obalić dzisiejszy kryzys gospodarczy! „Katalog starożytności etruskich,

Gospodarstwo domowe jest miniaturą gospodarstwa państwowego. Gdy każdy dom prowadzony będzie mądrze, oszczędnie, higienicznie — cały kraj będzie szczęśliwy...! („Kobieta w Świecie i w domu”, 1928 r.)

PÓŁ MILIONA ZA...

Już po raz trzynasty odbyła się w antykwaracie naukowym w Bydgoszczy aukcja bibliofilska. Największe zainteresowanie wśród bibliofilów znalazły nie tyle starodruki, co wydawnictwa z ostatniego 40-lecia. Spośród 1500 pozycji wystawionych pod młotek po aukcji zostało się zaledwie 50. I to przeważnie pojedynczych numerów dawnych czasopism, choć także i dzieło Winstona Churchilla — „Druga wojna światowa” (6-tomowa edycja z 1953 r.), wystawione do sprzedaży za 40 tys. zł. Za to „Armia Krajowa w dokumentach 1939—1945”, pozycja, której druk zakończono zaledwie w 1981 roku, sprzedana została za 334 tys. zł. Za 300 tys. zł natomiast sprzedano „Dziennik z teki” Jana Szembeka.

Po tej aukcji Biblioteka Zamku Królewskiego wzbogaciła się o dwa najcenniejsze starodruki — „Katalog starożytności etruskich,



Na zdjęciu: Stanisław Jaskulka i Mirosław Marcheluk

Foto: Romuald Sakowicz

NASZE PROPOZYCJE

Wydarzenie teatralne

Przed miesiącem Teatr Nowy wystąpił z nową propozycją. Dla miłośników teatru trudny i pełen wątpliwości jest wybór takiego przedstawienia, jak „Próba” Tadeusza Siejaka na jeden z naszych wieczorów. Jerzy Hutek podjął się adaptacji powieści i reżyserii spektaklu, zadania nader trudnego i kończącego się często niepowodzeniem. Jakże łatwo bowiem o „przegadanie” i jakże trudno o stworzenie napięcia dramatycznego wskutek zbyt skwapliwego i nieodpowiedniego wykorzystania materii powieści. Ale to nie jedyna wątpliwość. Jedną z istotnych warstw utworu Siejaka należy do kręgu tzw. „literatury obrachunkowej”, w której tak wiele pojawia się krytyki społeczno-politycznej, że staje się ona monotonią powtarzaniem samej siebie, prowadząc jedynie do utraty wiarygodności. I jeszcze jedno — nie każdy lubi teatr zaangażowany, współczesny. W teatrze często szukamy wytchnienia i ucieczki do absurdu codzienności, a tu Jerzy Hutek postanowił zrehabilitować „Próbe” i wyszedł z tej próby zwycięsko. Bo przekonał publiczność, iż takich wątpliwości nie ma, jeśli robi się coś doskonale.

Najogólniej rzecz biorąc „Próba” to kilka epizodów z życia przedstawicieli władzy w Polsce lat siedemdziesiątych. Kariera polityczna wojewody Romana Ratajczaka, osadzonego w konkretnej rzeczywistości społeczno-politycznej daje asumpt do wykorzystania konwencji realistycznej. Pojawia się jednak Spiritus-alter ego bohatera, jego sumienie, prowokujący, komentujący i prowadzący nieustanny dialog z bohaterem. Chwył ten prowadził zarówno do niezwykle interesującego ukazania psychiki wojewody, jego osobistego dramatu, jak też konstruuje nową rzeczywistość. Stworzenie tej „rzeczywistości wewnętrznej” i inne zabiegi podkreślające umowność teatru, pogłębiają kreację i niżej spektaklu.

Wróćmy jednak do krytyki realiów społeczno-politycznych. Autor nie przeprowadza jej bezpośrednio. Stosuje niezwykle wyrafinowany zabieg. Kompromitacja następuje przez próby wydobycia się spod mechanizmów niszczących i deprawujących człowieka. A symptomatyczne zakończenie „mane, thekel, fares” kojarzy się z nieustającym polonezem „Wesela” Wyspiańskiego.

Wyważona adaptacja powieści jest bez wątpienia sukcesem reżysera. Daje on nie tylko przejrzyste tropy do wnikliwej analizy konkretnej, współczesnej rzeczywistości i człowieka w niej uwięzionego, ale prowadzi dalej — do istotnych uogólnień, dotyczących psychologii władzy, polityki, wartości i wyborów, wolności i ograniczeń w świecie XX wieku. Jest to dramat współczesny, nie rezygnujący z uniwersalnych, zawsze aktualnych treści.

W stworzeniu spójnego dzieła pomogła scenografia Krzysztofa Kelma, (pomysł, realizacja — Macieja Kubickiego) i niezwykle ciekawa, wspomagająca napięcie dramatyczne, muzyka Marka Czeszka.

Mimo licznej obsady, cały zespół aktorski odniósł niezaprzeczalny sukces. Wspaniałe kreacje Stanisława Jaskulki (gościnnie) jako wojewody i jego alter ego Cezarego Nowaka zasługują na szczególne podkreślenie i uznanie. Próbkę doskonałego aktorstwa daje Bohdan Mikul jako Karwajko, zaś krótki epizod Janusza Kubickiego — prorokatora, to prawdziwy majstersztyk.

Zachęcam do obejrzenia tego barwnego, żywego, nasuwającego liczne refleksje, formalnie doskonałego spektaklu.

Realizacja „Próby” Tadeusza Siejaka w Teatrze Nowym jest niewątpliwie wydarzeniem teatralnym.

JOLANTA POL

Co czytali łodzianie w 1987 r.

Według rozszereżania pani Anny Dudażyk, bibliotekarki z Dzielnicowej Biblioteki Publicznej Łódź — Bałuty im. Stanisława Czernika, na Teofilowie, z ubiegłorocznej oferty wydawniczej, z polskiej literatury współczesnej, najbardziej zacytywane były przez łodzian książki: „Nowy świat i okolice” Tadeusza Konwickiego, „Krakowskie przedmieście pełne deszczu” Adolfa Rudnickiego, „Wzgroźne błękitne snu” Igora Nowiergo, „CDN” Romana Bratnego.

Z innych, renomowanych autorów mających ugruntowaną pozycję, bibliotekarze wymieniali: Jerzego Andrzejewskiego, Halinę Anderską, Jana Dobrzańskiego, Karola Bunscha, Pawła Jasienicę, Jerzego Krzysztońa, Stanisława Lema, Eugeniusza Pauksztę, Edmunda Redlińskiego, Melchiora Wańkowicza, Wojciecha Żukrowskiego.

Z zakresu literatury popularnej, na kartach bibliotecznych wypożyczeń odnajdujemy najczęściej: Stanisława Fleszarow-Muskat, Joannę Chmielewską, Kazimierza Korkozowicza, Edwarda Kopczyńskiego, Halinę Popławską.

Każda nowa powieść Zbigniewa Nienackiego (tak było i z „Wielkim lasem”) wywoływała z miejsca run czytelnicy.

Do tej grupy autorów dołączył, pozyskując z miejsca liczną rzeszę wielbicieli, tajemniczy Leonard z „Upiorem” i „Inkarnacją” oraz Andrzej Makowiecki z „Rapierm Napoleona”.

Młodzieli uczą się, studiuje i pracując czytała książki swych idoli: Hłaski, Stachury, Wojacka, Bursy, Brychta, Nowakowskiego, Grochowiaka.

— W ostatnich latach, poczynając od roku 1982, mówi pani Elżbieta Urbanowicz, dyrektorka

Dzielnicowej Biblioteki Publicznej Łódź — Śródmieście — nie zaobserwowaliśmy spadku czytelnictwa w wypożyczalni dzielnicowej i podległych nam 15 bibliotekach rejonowych.

Do najczęściej wypożyczanych książek należały: „Wyznania chińskiej kurtyzany” Mao Sing, „Port Lotniczy” Arthura Haileya, „Wielki las” Zbigniewa Nienackiego, „Dzienniki” Witolda Gombrowicza, „Imię róży” Umberto Eco, „Król szczurów” Jamesa Clavela, „Pasje i uspokojenia” Stanisławy Fleszarowej-Muskat, „Sztuka kochania” Michalina Wistockiej, „Seks partnerski” i inne poradniki seksuologiczne — Zbigniewa Lwa Starowicza.

Należy się spodziewać — mówili bibliotekarze — iż przy niepokojącym wzroście cen książek i trudnościach z nabyciem w księgarniach jeszcze wielu poszukiwanych tytułów — liczba czytelników w wypożyczalniach będzie się zwiększać.

JAK

ROZMOWY NA GORĄCO

— Jest pan nieuchwytny. Czyżby tak zapracowany? — zwracam się do dyr. Teatru Wielkiego, Sławomira Pietrasa.

— Uważam się za człowieka leniwego i wszytkim, co robię udowadniam sobie, że można jeszcze więcej... — Oczami wyobraźni widzę już gest zniecierpliwienia, bo dalsze wywody na ten temat zostają ucięte pytaniem: — Czym mogę służyć?

RFN, Szwajcaria, Austria...

— Zespół szykuje się do kolejnej wyprawy za granicę.

— Tak. W dniach 15—31 bm. będzie występował w RFN, Szwajcarii i Austrii. Stąd dziejsze wznowienie „Eugeniusza Oniegina” Czajkowskiego w oryginalnej wersji językowej.

— Z niedawnej pańskiej wypowiedzi wnosiłem, że z prezentowaniem waszego dorobku za granicą nie jest tak łatwo, a tymczasem...

— To są dwie różne sprawy.

Sprawa impresariatu to rzeczwiście kwestia także i osobistych kontaktów, lecz jest to temat złożony i nie na teraz. Powiem jedno: nie pomoże żaden impresariatus, jeżeli poziom zespołu nie będzie odpowiadał oczekiwaniom zagranicznego widza, a ten jest bardzo wymagającym i surowym odbiorcą. Skoro więc jesteśmy zapraszani, wiadać prezentujemy znaczący poziom. Uważam, że o wszystkim decyduje w pierwszym rzędzie najwyższy poziom przedstawień w kraju. Od początku sezonu mamy komplety widowisk, przed teatrem nie ma autokarów i tzw. zorganizowanej widowni, bo łodzianie ją zapelniają. Wszystko to o czymś świadczy. Oczywiście, nie mielibyśmy takich szans, gdyby nie osobiste kontakty i gdyby nie wspierali mnie w tych staraniach moi współpracownicy, artyści...

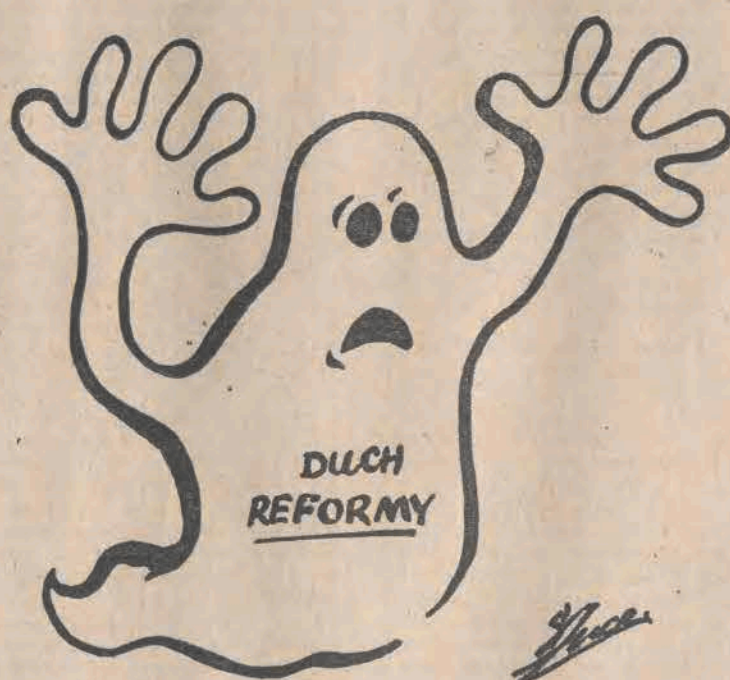
— Mówił pan kiedyś o osamotnieniu... — Bo jesteśmy osamotnieni. W naszych staraniach. A w sprawach finansowych dyskryminowani.

— W tym, że po warszawskim Teatrze Wielkim jesteście drugim teatrem w Polsce, a posiadacie zaledwie 1/5 środków warszawskiego teatru?

— Taka jest prawda. A przecież nasze ambicje i poziom winien być doceniany. Satisfakcjonuje nas to, że mamy więcej propozycji zagranicznych niż możliwości wywiązania się z nich. To mówi samo za siebie. Czekać nas bardzo pracowite misja. Sezon kończymy udziałem w festiwalu operowym w Sopocie, którego dyrektorem artystycznym jestem już drugi sezon. Potem czeka nas obsługa tegorocznego festiwalu w Krynicy i wreszcie inauguracja nowego sezonu operowego w Lyonie...

— Dziękuję za rozmowę.

MAREK BRUK



cowniczych, o zmianie cen biletów itd.

Zapowiadane są zmiany formuły Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w stolicy ZSRR, a mianowicie: w Moskwie prezentowane będą filmy rozrywkowe, zaś inne w Leningradzie. W roku bieżącym zostanie zorganizowany w Baku festiwal filmów rozrywkowych, natomiast w Irkucku — dokumentalnych i popularnonaukowych. Międzynarodową rangę otrzyma festiwal filmowy w Odessie. W tym roku ma odbyć się także jeszcze jedna znacząca impreza filmowa — festiwal filmów dziecięcych.

UZNANIE PO ŚMIERCI

Lorenzo da Ponte (1749—1838) był znanym librecistą — autorem m.in. librett do oper Mozarta „Wesele Figara”, „Don Giovanni” i „Così fan tutte”. Jedynakże dopiero w 150 lat po śmierci doczekał się uhonorowania. Na cmentarzu Calvary w Nowym Jorku przy grobie włoskiego librecisty odbyło się niedawno odsłonięcie kamienia poświęconego jego pamięci.

„Malarz to człowiek, który maluje to, co sprzedaje. Artysta natomiast to człowiek, który sprzedaje to, co namaluje” (P. Picasso). Czyż można lapidarnie określić różnicę pomiędzy artystą a malarzem komercyjnym w sztuce...?

W Łódzkiej Teatrze Wielkim przedstawiona została polska, przygotowana wcześniej w wersji niemieckiej i prezentowana za granicą, „Wesoła wdówka” Lehara. Dyrekcja teatru ogłosiła w związku z premierą: „Granie operetek na wiel-

kość akcji”, czy można ją było odebrać za pośrednictwem słabej dykcji i przeciętnego aktorsko poziomu spektaklu? Symptomatyczne, że ciekawych pod względem aktorskim ról doszukiwać się należało raczej wśród postaci drugoplanowych (Niemierowicz jako Cascada, Krzywicki jako Kromow), aniżeli głównych. Wyróżniając się na tle większości in plus, swobodny w grze, ale i tak nieco monotony w stosowanych środkach wyrazu Tadeusz Kopacki (Danilo) stworzył tylko częściowo

zatem (jakby nieświeżo) tkaniny zdążyły się wcześniej opatrzyć. Ich eksponowanie w II plenerowym akcie nie było zresztą specjalnie uzasadnione. Obsesyjna czerwień aktu III też nie zrobiła piorunującego wrażenia. Przysięgam, że nadzwyczajnym polotem nie odznaczała się również rola reżyserska zaproszonego z Czechosłowacji Pavla Šmoka, znanego notabene byłym kompozytorem baletowym z inteligentnych i dowcipnych choreografi. Widać, wkroczył tu Šmok na grunt dla siebie mniej pewny, o czym świadczy brak de facto w „Wesołej wdówce” sugestywnej wesołości, dynamizmu, a nawet ciekawszych rozwiązań ruchowych. Do nielicznych, udanych w tym zakresie rozwiązań, należał utanczony, męski sepiet wokalny w II akcie oraz baletowa wstawka dwóch solistek na początku aktu III.

Omawiany spektakl, poprzez widoczne ukierunkowanie całościowej koncepcji na operetkową tradycję (w osiągniętych rezultatach tracącą myśliką) i schlebienie gustom przeciętnym po niezapomnianych wyżynach premierowej wersji „Nabucco” zaskoczył wręcz banałem i niałością. Rozumiem, że o sposobie realizacji decydowały względy komercyjne. Ale czy aby na pewno udało się tą w sumie „Nie za wesołą wdówką” zawołać wspomniane kraje podczas planowanego tournée i osiągnąć pożądane cele użytkowe?



Delfina Ambrozjak jako Hanna Glavari
Foto: Chwałisław Zieliński

Niewesola wdówka

kich scenach teatrów operowych ma uzasadnienie i tylko komercyjne. Zagraniczni impresariowie poprosili o przygotowanie oryginalnej wersji „Wesołej wdówki”, z którą objechaliśmy już niemalże sceny niemieckiego obszaru językowego. Czekają nas w przyszłości występy w Italii (po włosku), Hiszpanii (po hiszpańsku), a nawet mamy zaproszenie do Japonii...!

Tak więc — można by rzec — brzęk monety, w wymiarze całkiem realnym, jak i fikcyjnym, literackim, spłata się z Leharowską muzyką w swoisty collage. Jak wiadomo, akcja utworu obraca się wokół 20 milionów dolarów pozostawionych w spadku pięknej Hanne Glavari przez jej zmarłego męża, bankiera w księstwie Pontevedro. Ale zostaje oczywiście w operetce miejsce na coś jeszcze. Historyk gatunku, Bernard Grun stwierdza: „Absolutna nowość «Wesołej wdówki» polegała na jawnym erotyzmie fabuły i genialnej śmiałości, z jaką wibrująca zmysłowość akcji została zinterpretowana muzycznie”.

Powyższe określenia uważa trzeba — szczególnie w kontekście łódzkiej realizacji — za trochę przesadzone. Gdzież na przykład owa „wibrująca zmy-

przekonujący psychologicznie obraz bohatera kochającego, jednak skrywającego uczucia. Wokalne też nie był w swej najwyższej formie: tony w górnym rejestrze nie brzmiały bowiem z pełną dźwięcznością.

Kreując tytułową postać wdówki-milionerki Delfina Ambrozjak (w I akcie, niestety, zagłuszona co nieco przez orkiestrę) znakomicie prezentowała się w efektywnej, obcisłej i błyszczącej sukni. Szkoda, że jej czysty sopran tak niepotrzebnie glissandował. Te dźwiękowe „podjazdy” najbardziej przeszkadzały w słynnej, nastrojowej arii o rusaśce Wilii, osłabiając ogólny efekt. Nie omawiam, z braku miejsca, pozostałych partii: Barona Zety (Eugeniusz Niziol), Walentyny (Joanna Woś), Kamila de Rosillon (Jan Kunert) czy Niegusa (Roman Werliński). Przysięgam, że postacie te wyglądały barwnie, głównie z powodu kolorowych kostiumów, kojarzących się właśnie z tym, co typowo operetkowe.

Scenografię spółki Zaniewska — Chwedeżuk, zbieżną z wykonaną w międzyczasie oprawą do „Traviaty”, nie określiłbym jako świadczącej o najwyższym polocie. Udrapowane białe (tym ra-

JANUSZ JANYST

Franz Lehar: Wesoła wdówka. Kierownictwo muzyczne — Andreas Keach, reżyseria i choreografia — Pavel Šmok, scenografia — Xymena Zaniewska i Mariusz Chwedeżuk, kierownictwo chóru — Lech Zaborowski. Premiera w Łódzkiej TIV 9 stycznia 1988 r.

Bigos hultajski

Mieszanka firmowa
literacko — obyczajowa
KSIĄŻĘ BĘDZIE SIĘ GNIEWAŁ

Żółkowski miał zwyczaj do ról swoich niekiedy dodawać własne koncepty, kiedy trafiała się okoliczność po temu. Ze to nie zawsze było do smaku wielkiemu księciu Konstantemu, raz zniecierpliwiony wydał rozkaz, żeby nadal aktorowie grali role, jak są napisane, nie robiąc żadnych swoich dodatków, pod karą aresztu. Wkrótce potem grano jakąś sztukę, w której musiał być koń na scenie; koń ten źle się spisał, bo obdarzył scenę niepotrzebną grubą pamiatką. Żółkowski natychmiast zwrócił się do niego i pogroził mu palcem, powiedział:

— Panie koniu, bardzo proszę, na scenie nie robić dodatków niepotrzebnych, bo Jego Księżęta Mość zabronił i będzie się gniewał.

Wielki książę, obecny tej scenie, śmiał się tylko i palcem artyście pogroził.

H. Olechnowicz-Stecki: Wspomnienia mojej młodości. Lwów 1895.

TAKT I GRZECZNOŚĆ

Kiedyś zapytano Jarossy'ego, jaka jest różnica między taktem a grzecznością.

— Co innego takt, a co innego grzeczność — odparł Jarossy. — Na przykładzie wyjaśnię różnicę. Przypuśćmy lokaj wchodzi bez pukania do łazienki, przekonany, że nikogo tam nie ma i wpada wprost na panią wychodzącą z wanny. Jeżeli przeprosi, mówiąc: „Bardzo przepraszam, pani wybacz” — będzie to kwestia grzeczności. Jeżeli natomiast spokojnie zapyta: „Czy pani niczego nie potrzebuje?” — to będzie właśnie takt.

Opracował:
ANDRZEJ KEMPA

UROCZYSTY WIECZÓR RARYTAS

Z okazji 90 rocznicy urodzin Władysława Broniewskiego Związek Pisarzy Ukraińskiej SRR zorganizował uroczysty wieczór. Ten uroczysty wieczór zapoczątkował cykl imprez, jakie z tej okazji odbywały się i odbywają w wielu miastach Ukrainy. Muzeum Literatury w Warszawie przygotowało na tę okazję specjalną wystawę poświęconą wybitnemu poecie.

GRAHAM GREENE
PODRÓŻNIKIM

83-letni dziś twórca „Sedna sprawy” Graham Greene jest nie tylko znakomitym pisarzem, lecz równie zaradnym podróżnikiem. Tylko w ciągu ubiegłego roku przebywał w Panamie, Nikaragui, we Włoszech, Szwajcarii, Anglii, Wietnamie i Związku Radzieckim. Ostatnio znów wybrał się do Związku Radzieckiego, aby wędrować syberyjskimi szlakami swojego ulubionego pisarza — Antoniego Czechowa. Nb. Syberię zwiedzał już przed 25 laty.

NOTOWANIA
NA GIEŁDACH
KSIĄŻKOWYCH

James Clavell, „Król szczurów” — 2200 zł; Waldemar Łysiak, „Asfaltowy salon” — 1500 zł; „Aleksander Dumas. Dwie Diany” (t. 1-2) — 1800 zł; René Fülöp Miller,

„Święty demon Rasputin i kobiety” (WE) — 1000 zł; Władysław Kopaliński, „Słownik mitów i tradycji kultury” — 7000 zł; Stanisław Kopf, „Powszechnie warszawskie” (album) — 3600 zł; „Leki współczesnej terapii” (wydania z poprzednich lat 6400 zł — ostatnie 9000 zł); Paweł Jasienica, „Słowiński rodowód” — 1600 zł; Jean Orieux, „Wolter” (seria „Biografie sławnych ludzi”) — 2600 zł (cena nominalna 800 zł); Paul Murray Kendall, „Ryszard III” (seria „Biografie sławnych ludzi”) — 2500 zł (cena nominalna 150 zł); Wilhelm Fraenger, „Bosch” hit giełdowy ostatnich dni, album drukowany w NRD (Drezno), wyd. „Arkady” — 12500 zł (wersja polskojęzyczna, cena nominalna 7000 zł); D. Neymanowa, Z. Humpál, „Psy rasowe” — 3500 zł; Hans Christian Andersen, „Baśnie” — 1800 zł; Cezary Chlebowski, Zagłada IV odcinka — 600 zł (cena nominalna 400 zł); Europa — atlas samochodowy — 1800 zł (cena nominalna 800 zł); Leonard „Inkarnacja” 700 zł (cena nominalna 450 zł); „Trzeci dywan perski” — 1200 zł; „Rośliny aromatyczne i przyprawowe” — 1800 zł; Hans Hellmut Kirst „08/15” — 4500 zł (cena nominalna 1300 zł)

Fraszki

TADEUSZ GIGIER

PLAMY

I na słońcu są plamy — tak ciemne sprawy objaśniamy.

KOMU?

Ten nie żył, po kim nie została sława. Komu właściwie biliśmy więc brawa?

GENEALOGIA

Młodość, mistrzu, jest rzeźbiarka, co wykupa żywot cały. Lecz skąd z mądrych głów się biorą te zakute stare pały?

MOJE USZANOWANIE

Dla świętej zgody nabrał w gębę wody. Przed taką zgodą klękajcie, narody!

PRZYJACIEL

Prawdziwych przyjaciół poznajemy w biedzie. Zwłaszcza, gdy nam się dobrze wiedzie.

Kronika

WSRÓD 134 CZŁONKÓW — założycieli Fundacji Kultury Polskiej — znaleźli się: Jerzy Kawalerowicz, Henryk Kluba, Juliusz Machulski, Janusz Majewski, Daniel Olbrychski, Wojciech Siemion, Jerzy Toeplitz, Krzysztof Teodor Toeplitz, Jerzy Trela, Beata Tyszkiewicz, Zbigniew Zapasiewicz, Wojciech Żukrowski.

ZDZISŁAWA GUCA, absolwentka Uniwersytetu Gdańskiego (transport morski), Studium Dziennikarskiego UW, dziennikarka radiowa („Magazyn z kraju i ze świata”), prezenterka telewizyjnej „Panoramy dnia” — w plebiscycie telewizyjnym na najpopularniejsze postacie szklanego ekranu — wyróżniona została statuetką „Wiktora”. W chwilach wolnych lubi relaksować spacerować z synem i psem, a marzy o... telefonie.

GALERIA TEATRU STUDYJNEGO zaprasza na interesującą wystawę prac Jacka Józwiaka pn. „Instalacje — Nieobecni dla Sztuki”. Wystawę można oglądać w godz. 16-18 (z wyjątkiem poniedziałków).

„MISS POLONIA” — trzecia wicemiss świata — Monika Nowosadko — zwierzyła się dziennikarzowi „Kurieru Polskiego”, iż „jeszcze trochę pragnie być panną”. Obecnie, w związku z oczekiwaniami jej wyjazdami zagranicznymi, przebywa na urlopie bezpłatnym. Wolny czas wykorzystuje na pisanie pamiętników, pływanie i jazdę konną. Ponadto interesuje się historią i grą na pianinie.

JANUSZ MAJEWSKI i JAN BRATKOWSKI, prowadzący zajęcia ze studentami łódzkiej PWSFTiIT, otrzymali tytuły profesorów nadzwyczajnych.

W SZTUCE KARELA STEIGERWALDA, „Tańce w stylu epoki”, której polska prapremiera odbyła się w minioną sobotę w Teatrze Studyjnym, występuje gościnnie w jednej z głównych ról radziecka aktorka — Nina Czerkes. Spektakl ten przygotował młodzi węgierscy realizatorzy z Teatru Narodowego w Szegedzie — Geza Bodolay (reżyseria) i Janos Mira (scenografia). Zachęcamy do obejrzenia.

W NOWEJ KADENCJI, kierownikiem Zespołu Filmowych zostali: Tadeusz Chmielewski (Zespół „Oko”), Jerzy Hoffman („Zodiak”), Jerzy Kawalerowicz („Kadr”), Juliusz Machulski („Zebra”), Janusz Machulski („Perspektywa”), Bohdan Poręba („Profil”), Krzysztof Zanussi („Tor”) i Janusz Zaorski („Dom”).

JESZCZE NIE OSTYGLY NAMIĘTNOŚCI po ubiegłorocznej warszawskiej wystawie „Oblicza socrealizmu”, a już nową ekspozycję poświęconą sztuce realizmu socjalistycznego przygotowało Muzeum Okręgowe w Lublinie. W Muzeum na Zamku można obejrzeć (do 31 stycznia br.) 120 prac (z lat 1949-1955) 100 autorów, m.in. Kobzeja, Kulisiewicza, Lenicy, Tchórzewskiego, Rudzkiej-Cybisowej, Większość eksponatów pochodzi z pałacu w Kozłowie. Autorką scenariusza wystawy jest Renata Bartnik.

Opracował: JAK

— Lenoczek! Jeżeli nie interesowali się wszystkimi przyjaciółmi Saszy, to nie znaczy, że nie interesowali się niektórymi. Nie zapominał, że mieszkał w domu z Saszą w jednym domu na jednej klatce schodowej, dwa lata przed pracą w nim w jednym zakładzie Wadik nie przypadkiem się przestraszył. Kiedy aresztowali Saszę, zmuszony był do zaprzestania wszelkich kontaktów, w tym także i z tobą, nie chciałem aby Iwan Grigorjewicz wpadł w kłopoty, wstał się za Saszą, wniósł się w sprawie o której niewiele wiedział. Na szczęście, wszystko się wyprostowało. Sasza wyszedł z tego stosunkowo łatwo, od jego przyjaciół podejrzania są odsunięte, tylko Wadik nadal się denerwuje.

Lena szła obok niego z lekko pochyloną głową. Czy mu wierzyła? Nie ma podstaw, aby mu nie wierzyć. Nie tylko wiedziała, jacy wspaniali ludzie pracują w organach, ale także jakich wspaniałych ludzi owe organy przesładują. Zakładała, że kolega wzywał, a jej nie — to też jest swego rodzaju loteria. I Jura, jak mówi, miał trudności, ale nie chciał, żeby trudności miały być odciec, i słuszenie; Stalin nie lubi narzekać, byłby taki pretekst wystarczy, żeby wynikiły wielkie nieprzyjemności. Inny, na miejscu Jurę, postąpiłby inaczej; powiedział, wytłumaczył. Ale Jura jest taki, jaki jest. Ważne, co nim kierowało.

Na plaży nie było dużo ludzi. Głośno chlapali się dzieciaki przy brzegu, opaleni chłopcy w kąpielówkach grali w karty na piasku.

— Chodźmy dalej, tam jest głębiej — powiedziała Lena.

Płynęła, wiosłując zapiętymi rekoma, nisko, aż do wody opuszczając głowę, wykręcała ją to w prawo, to w lewo. Jura nie znał takiego stylu. Sam pływał po koczaku. Dziwił się, że tak dobrze pływa Lena. Pokazała mu się dził z nowej, nieznannej strony. Obawa, że ułożył wszystko na nowo nie będzie tak łatwo i prosto, zakradała się do serca.

Potem leżeli na piasku, wystawiając do słońca gołe plecy. Położywszy głowę na splecionych rękach, przyglądała mu się z boku i znów wydawało mu się, że kocha go tak dawniej.

Rzeczywiście go kochała. Być może dlatego, że tej miłości nie zastąpiła żadna inna. I była przy tym sentymentalna, a Jura był pierwszym i jedynym mężczyzną w jej życiu. Cierpienia, których jej przysporzył, tylko wzmożyły to uczucie. Przecież on też cierpiał.

— Kiedy się spotkamy? — spytał Jura.
Odpowiedziała prosto:
— Kiedy chcesz.

Mógł znowu przyprowadzić ją do siebie, do swojego pokoju. Ojciec strzywił się, matka płasnie rekami — to nic, przeżyła. Ale powstrzymywała go prymitywna męska ostrożność. Wznowić kontakty — tak. Ale nie na pełnych obrotach. Za drugim razem tak łatwo się nie wykreśli.

Gdzie się mają spotkać? Gdzie ją zaprosić? Pozostawało tylko jedno mieszkanie — Dżakowa. Praktycznie Dżaków mieszka u swojej żony na Zamoszkworeczu. Nie jest to miejsce zbyt odpowiednie do spotkań. Jeżeli Lena się dowie, Ale niczego się nie dowie. Pościel jest stara, brudna, nawet nie jest pewien czy powleczone. To nic. Bieliznę można przynieść w teczkę.

— Wiesz, jest taka sprawa — powiedział Jura — mamy teraz w mieszkaniu remont, śpiemy wszyscy razem, koczujemy z jednego pokoju do drugiego, i rzeczy przenosimy ze sobą. Mój przyjaciel, kolega ze studiów, jest teraz na urlopie, mam klucze od jego mieszkania. Możemy tam posiedzieć.
— Możemy — zgodziła się Lena.

17.

Sasza nalożył pasy i zszedł się, jak lekko płynął pod prąd duża wyladowana łódź. Lena, przymocowana do uchwyty na dziobie, ciągnęła łódkę równoległe do brzegu, lekko, bez myśli — tak Nil Lawrientjewicz, pocztarz, nazywał drobne fale.

Przez rzekę przepływali na wiosłach. Sasza i Boris siadali na ławeczce, zakładali wiosła i wiosłowali z całych sił, prąd był tu silny. Ale nawet w kilwateze widać było kolorowe otoczenia na dnie, taka czysta i przejrzysta była woda. Tylko jej kolor zmieniał się w zależności od pogody, stawał się to stalowoszar, to ciemnoniebieski, to błękitnozielony.

— Pociągamy ostro — pogadywał Nil Lawrientjewicz — chłopaki są młode.

Nil Lawrientjewicz, zabiegany chłopina o drobnych rysach ruchliwej twarzy, był poszukiwaczem złota nad Leną, walczył w partyzancie przeciw Kołczakowi, teraz jest kołchoźnikiem. O partyzancie opowiadał mełnie, kłamał, na pewno, powtarzał cudze słowa, o poszukiwaniu złota mówił prawdę. Był taki zwyczaj wśród chłopów, mieszkających nad Angarą — za kawalerskich czasów chodzili na teren złotonosne. Jak taki wracał ze złotym sygnetem na palcu, znaczy, wydobywał złoto, teraz może się żenić. Tak samo i Nil Lawrientjewicz: szukał złota, wrócił ożenił się, miał gospodarstwo — sześć krów. W tutejszych stronach jak miał i dziesięć krów, nie liczył się za kulaka, tym bardziej, jak parobków nie naimował, maszyn nie miał, z Tunguzami nie handlował. Jesienią chodził do lasu, przez zime zdobył sześćset — siedemset skórek, umiał polować na wiewiórki. Teraz wiewiórka odeszła na północ, i soból ją przetrzebił, i kołchoz żąda pracy. Przedtem dopracował trochę orzy sianokosach, pozostała robota przy gospodarstwie należała do kobiety. Teraz się nie odróżnia, i chłop, i baba robią to samo — kołchoźnicy.

Tak, słuchając gadaniny Nila Lawrientjewicza, szli wzdłuż brzegu, pod wiszącymi skałami, po kamiennych ośpiaskach albo po wodzie — tam gdzie skały podchodziły do samej rzeki. W dzień słońce wisiło wysoko nad głową, piekło, pod wieczór chowało się za lasem i wówczas brzeg przecinały błogie przeszyty.

Pojawił się czasem samotna rybacka łódka, błysnęły przy brzegu drewniane sławki — pułapki albo wiersza przepływały w oddali tratwa ze stojącym na niej koniem i znowu ni człowieka, ni zwierza, ni ptaka. Szumiały bystrzyny jak szumi taiga przy silnym wietrze, woda przewalała się przez głązy i skały, kipiła w wirach, bryzgi igrały w słońcu. Przez bystrzyny wszyscy ciągnęli linę, a Nil Lawrientjewicz, stojąc w łodzi, sterował wiosłami. I jego żona, słabowita młodziwa kobieta, okutana w wielką chustę, też szła w pasach.

Boris otarł sobie ramie, poranił nogi o przybrzeżne kamienie, mówił zły:

— Wokółka Kwaczadze nie ciągnąłby łódki, kazałby się wleść.

— Ciągłymi, ale bez eskorty — odpowiadał Sasza.

We wsi Goltawino, na brzegu, czekali na łódkę tutejsi zesłańcy: młoda siwa starszka — w przeszłości znana eserka, anarchista — też mały siwutek o wesołej dobrej twarzy i uderzającej urody dziewczyna — Frieda. Starszka nazywała się Maria Fiodorowna, starszek — Anatolij Grigorjewicz.

Począł nie kursować dwa miesiące i każdemu Nil Lawrientjewicz wręczył plik listów, gazet i czasopism, a Friedzie dodatkowo paczkę.

— Trzeci dzień dyżurujemy — wesoło powiedział Anatolij Grigorjewicz — od rana do wieczora.

— Sortownia przetrzymała, Anatoliju Jegoryczu — wyjaśnił Nil Lawrientjewicz — przechodzimy do Dworca.

O tej nowości dyskutowano z ożywieniem; jeśli we wsi Dworec będzie oddział pocztowy, to pocztą zimowa będzie szybciej dochodzić traktem tatarskim. Z drugiej strony, utworzenie nowego oddziału pocztowego może poprze-

— Sympatyczni, mili, gościnni ludzie.

— Tak — niecierpliwie podchwycił Boris — tu masz nie takich jak w Czunie, przyjaciół Wokodi, to jest prawdziwa inteligencja, dla nich jest nieważne, w kogo wierzysz dla nich jest ważne, że jesteś takim samym zesłańcem, jak oni. Ludzie... No, a co powiesz o Friedzie?

— Ładna dziewczyna.

— To nie jest właściwe słowo! — Sulamitka! Estera! Pieśń nad pieśniami! Trzebaż to było przenieść przez tysiąclecia, przez wygnania, wędrowni pogromy.

— Nie wiedziałem, że jesteś takim nacjonalistą — roześmiał się Sasza.

— Jak dziewczyna jest Rosjanka — nie jestem nacjonalistą, jak jest Żydówka — jestem nacjonalistą. Chodzi mi o typ, rasę. Moja żona też pochodziła z żydowskiej rodziny, a nie dam za nią nawet małego palca tej Friedy. Jaka postawa! Godność! To jest człowiek. Żona, matka, pani domu.

— Przemówił mi żydowski.

— Tak, a co?

— Ty masz wyrok i ona ma wyrok. Tobie wyznaczyl rejon kieżemski, a jej boguczański.

— Wszystko głupstwo! Jeżeli się pobierze, to nas połączy.

(31)

ANATOLIJ RYBAKOW

Dzieci Arbatu



dział zmian administracyjnych. Być może, w Dworcu będzie nowe centrum rejonowe. A co za tym idzie, nowa władza, nowa miotła, i ta miotła będzie bliżej.

— Bierzcie rzeczy — dysponowała Maria Fiodorowna — załatwimy wam nocleg.
— Dziękuję — odpowiedział Sasza — Nil Lawrientjewicz chciał zaprowadzić nas na nocleg.

— Do Jefrosini Andrianowny?
— Do niej — potwierdził Nil Lawrientjewicz, wyciągając z łodzi worek z pocztą.
— Świetnie, no to wieczorem posiedzimy. Frieda wstąpi po was. Dobrze, Frieda?
Frieda czytała list, który otrzymała.
— Frieda, ocknij się.

— Tak, tak — dziewczyna włożyła list do koperty i podniosła na Marię Fiodorowną ogromne błękitne oczy. Czarne loki spadały na starą bluzkę, luźno obejmującą szczupłą talię.
— Wejdźcie po nich — powtórzyła Maria Fiodorowna — posiedzimy u Anatolija Grigorjewicza.

— U mnie, u mnie — Anatolij Grigorjewicz kartkował czasopismo.

— Słuchajcie, zdajcie przeczytać — władczo wyrzekła Maria Fiodorowna — idziemy.

Boris podniósł paczkę.

— Ma pan przecież swój bagaż — rzekła Frieda.

— Myślałby kto!

Zawadiadkim gestem Boris zarzucił sobie paczkę na ramie, wziął do ręki walizkę. Zmęczenie jak reka odjął.

— Walizkę proszę na razie zostawić, zabierze pan później — poradziła Maria Fiodorowna.

Sasza pomógł Nilowi rozładować łódkę. Wrócił Boris i przenieśli wszystko do chaty, stojącej na brzegu.

Kiedy gospodyni czyściła ryby i szykowała kolację, Sasza i Boris wyszli na ulicę.

— No! — Boris spojrzał pytająco na Saszę.

— Sasza udał, że nie rozumiał pytania.

Sasza zadziwilo, jak Boris umie fantazjować, ale zauważył tylko:

— Ale może jest meżatka.
— No, to byłoby niedobre.

Na talerzach ryby, śmietana, konfitury. Nil Lawrientjewicz i jego żona wypływali ości na stół. Sasza nie był do tego przyzwyczajony.

Gospodyni gruba obrotna kobieta, skarżyła się na syna: nie chce pracować w kołchozie, herbowniki kusza do Rosji na budowę.
— To jest najgorszy skończony naród — Nil Lawrientjewicz rzucił uwagę na temat werbowników, liczykru, tylko się wleczą po świecie.

Syn gospodyni, zgrabny Cyganiuk, zerkał z ciekawością na Saszę i Borisa, w milczeniu słuchał wrzutów matki. Gospodarz, też podobny do Cygana, siedział na ławce, pałł Boris spoglądał na drzwi, czekał na Friedę. Gospodyni cały czas narzekała na syna:

— Niedawno zapakł w niego znalazłam, dzurki w kieszeni, papierosy chowa, kieszonkę, a co, że mu się tu żyje? Do roboty dużo nie gonimy, wszystko samo z chłopem. Jeszcze ptactwo nie zadrwiera, a my już w polu. Kierownicy każą, robić potra.

Syn milczał, spoglądał na Saszę i Borisa. I gospodarz też milczał, w duszy sam był włóczęgą. A gospodyni cały czas zrzedziła, wyjeżdżając chłonek, wpadnie w zle towarzystwo i zamkna go do więzienia.

Weszła Frieda, przywitała się, usiadła na ławce, nie przerywała rozmowy. Była w ciętych butach, starym palcie i chustce, owiniętej wokół głowy i szyi. Chustki nie rozwinęła, wyciekając, aż chłopcy skończą kolację.

Boris, podniósł się, niecierpliwie popatrzył na Saszę, każąc mu się pośpieszyć.

W poczesnym kącie półka z fikonami, w drugim narożny stółik, na nim lusterko, szpulki z niciami, czyste haftowane ręczniki, na parapetach kamienie, próbki minerałów, nasiona w koszykach, w garnuszkach rozsada.

— Nasz Anatolij Grigorjewicz jest agronomem, geologiem, mineralogiem, paleontologiem, i nie wiem kim jeszcze — Maria Fiodorowna się uśmiechnęła — ma nadzieję, że go docenia.

— Niech krainę ocenia — odpowiedział Anatolij Grigorjewicz — takich bogactw jak nad Angarą, nie ma nigdzie. Węgiel, metale, nafta, drewna, futra, niewyczerpane zasoby wodne.

Przebiegał kamieniem szczytówi oalcami kawałki lawy ułamki skał, pożytkowane srebrnymi nitkami szczęśliwy z zainteresowania swoich przypadkowych słuchaczy — następną trafią się może za rok, a może wcale.

— Byłem na zesłaniu nad Angarą jeszcze przed rewolucją lutową — ciągnął Anatolij Grigorjewicz — no i znowu tu jestem. Ale wówczas moje artykuły o regionie były publikowane, teraz nawet myśleć o tym nie śmiem. Jednak mam nadzieję, że moje notatki jeszcze się przydadzą.

— W związku z rozwojem drugiej bazy metalurgicznej na wschodzie — rzekł Boris, zerkając na Friedę — poszukiwanie bogactw naturalnych ma wielkie znaczenie. W ślad za Kuzbasem industrializacja będzie się tu posuwać. To kwestia czasu.

Powiedział to z ważnością działacza, zachęcającego miejscowych entuzjastów. Biedny Boris! Chce przydać sobie znaczenia w oczach Friedy, a przecież jego znaczenie polega na czymś zupełnie innym.

Maria Fiodorowna szyderczo kiwnęła głową.

— I pan też; industrializacja, pięciolatka... Pozbawili pana wolności — o tym niech pan pomyśli. Rezonuje pan o tym, co się stanie z tym krajem za pięćdziesiąt lat, jaka mówi pan, będzie Syberia... A niech pan pomyśli, czym się stanie w ciągu tych samych pięćdziesięciu lat człowiek, którego pozbawiono prawa do okazywania dobroci i miłosierdzia.

— Jednak nie można zaprzeczać oczywistym faktom — powiedział Anatolij Grigorjewicz — w Rosji trwa rewolucja przemysłowa.

Ten siwutek, ciępy starszek absolutnie nie odpowiadał wyobrażeniom Saszy o anarchistach.

— No to co pan tu siedzi?! — wykrzyknęła Maria Fiodorowna — Niech pan porzuci swoje poglądy! Zrobili pana członkiem akademii.

— Oczywiście.

— No, a co będzie pan walczył?

— Za Rosję, za władzę radziecką.

— Ale to przecież władza radziecka wygnała pana na Sybir!

— Niestety, to prawda — zgodził się Sasza — ale to nie władza radziecka jest winna, ale ci, którzy wykorzystują ją w sposób nieuczciwy.

— Ile pan ma lat? — spytał Anatolij Grigorjewicz.

— Dwadzieścia dwa.

— Młody — uśmiechnął się Anatolij Grigorjewicz — jeszcze wszystko przed nim.

— A co jest przed nim? — ponuro spytała Maria Fiodorowna. — Jaki ma pan wyrok?

— Trzy lata. A pani?

— Ja bezterminowo — odparła chłodno.

— Jak to?

— Ano tak. Zaczęłam w dwudziestym roku: zesłanie Solowki, więzienie polityczne, znowu zesłanie przede mną znowu Solowki albo więzienie polityczne. Teraz mówią mi, kontrrewolucjonistki, mam zaproszować do Północy i pana też to czeka. Jak ktoś dostanie się na tę orbitę, to już z niej nie zejdziesz. Najwyżej Frieda, jeżeli wypuszcza ją do Palestyny.

— Pani się wybiera do Palestyny? — zdziwił się Sasza.

— Wypieram się.

— Co pani tam będzie robić?

— Pracować — odpowiedziała dziewczyna, z lekką zniekształcając „r” — ziemie kopać.

— Umie pani ją kopać?

— Trochę umiem.

Sasza zaczerwienił się. W jego pytaniu zabrzmiała nieżyczliwość. „Umie pani ją kopać?” A przecież i tu ziemie kopie, z tego żyje.

Próbując zatrzeć swój nietakt, spytał miękko:

— Czy jest pani źle w Rosji?

— Nie chce, żeby ktokolwiek mógł mi wymyślać od Żydów.

Powiedziała to spokojnie, ale tym tonem niezłomnego uporu, który Sasza spotykał u ludzi, oświeconych swoimi ideami. Nic z tego Borisowi nie wydawało, chyba żeby przeszedł na jej wiarę.

I Maria Fiodorowna, i Anatolij Grigorjewicz są pozostawiali owo krótkiego okresu po rewolucji, gdy odmiennosc poglądów tolerowano jako nieuniknioną. Teraz uważa się ją za występki przeciw naturze. Baulinowie, Stolperowie, Diakowowie przekonani są o swoim prawie do sprawiania sądów nad starcami, bezradnymi ludźmi, ośmielającymi się myśleć inaczej niż oni.

— Mam do pana prośbę — powiedziała Maria Fiodorowna — proszę odszukać w Kieżmie Felizawietę Pietrowną Samsonową, to taka sama starszka jak ja i przekazać jej to.

Podala Saszy kopertę.

Czy powinien ją brać? Co w niej jest? Dlaczego nie wysła pocztą?

Wahanie, które przemknęło po jego twarzy, nie uszło uwagi Marii Fiodorowny. Otworzyła kopertę, była w niej pieniądze.

— Tu jest dwadzieścia rubli, proszę jej przekazać, i powiedzieć, że jeszcze żyje.

Sasza znowu się zaczerwienił.

— Dobrze, przekażę.

C.D.N.

Tłumaczyła:
EWA-KATARZYNA NOWAK

Kutaisi, a właściwie hotel "Inturistu" w Tschaltubo, niedaleko położonym miasteczku-udziwiskowi, stał się naszą bazą wypadową w okolice bliższe i dalsze, aż do odległego Poti nad Morzem Czarnym. Kutaisi, nad burliwą o tej porze rzeką Rionem to 250-tysięczne miasto, wielokrotnie ustępuje wielkości stolicy republiki, ale ma swoją ambicję, dumę, a nawet tartarbiłowie akcentowane przewagi nad Tbilisi. Między uczonymi trwa spór, które miasto jest starsze. Żyje się tu na pewno spokojnie i wygodnie niż w zatłoczonej metropolii, ale magia stolicy działa na całym świecie. W oddziale Związku Pisarzy Gruzi jest dwadzieścia kilka osób, gdy w stolicy grubo ponad trzy setki. Tutaj też przyjacielsko goszczyni, to znaczy oferuje karmiony gruzińskimi przysmakami i fałszerowanymi informacjami, siersze z ust przewodniczącego oddziału porzekadło, które w wolnym przekładzie brzmi:

Biesiada po gruzińsku

Coś mi to przypomina spory warszawsko-kra-
kowskie, ale tak to bywa, że człowiek jest pe-
stronnie tych, z którymi siedzi przy stole w
przyjacielskiej komitywie. I nie może uciec od
krytykujących porównań. W drugim mieście Pol-
ski, lokal Związku Literatów Polskich to trzy
pokoje z kuchnią, a tu Dom Literatury, z salą
teatralno-kinową na czterysta miejsc, dziesiątki
funkcjonalnych pomieszczeń, biblioteka, oddział
wydawnictwa, kilkanaście osób zajmujących się
sprawami bytowymi środowiska i upowszech-
nianiem kultury literackiej w rejonie. I zaraz-
rodi się przeświadczenie, że nie jest to kwes-
cja możliwości, ale różnicy rangi i znaczenia,
jakie się tutaj przywiązują do spraw kultury,
a twórczości literackiej szczególnie.

A pod ziemią czas i woda przemysłnie wy-
rzeźbiły około 400 puszcz, które zostały odkry-
te dopiero w 1925 roku, chociaż zaczęły pow-
stawać przed 30 milionami lat. Największa z
nich ma 12 km długość, względnie praktycznie
i bezpieczeństwa pozwoliły udostępnić zwie-
dzającym tylko odcinek 600-metrowy, ale
i tak jest to szczególnie atrakcyjna przechadzka.
Jest chłodno, wilgotno, idziemy za przewodni-
kiem jak przez niezwykłą galerię rzeźby. Wa-
pienne stalaktyty i stalagmity, przez wielki prze-
jęły niesamowite kształty, co oddają ich zastu-
żenie poetyckie nazwy: grająca baszta, pęknię-
te serce, wiodospad.

Dwa miejsca znalazły się jeszcze w zasięgu

W Goril jest inaczej. Sprawdzili się dawne informacje. Jest jak było. Drewniana chatynka pod marmurowym baldachimem, coś w rodzaju panteonu nad drewniakiem. Izba biednego sze-

Któryś dnia podjeżdżamy pod jeden z tych pysznących się wysoką kolumnadą „pałaców”. To urządzenie nazwane źródło nr 6 o temperaturze wody prawie 35 stopni. Co by powiedzieć o socrealistycznej architekturze, to budowano nie tylko okazale, ale trwale i solidnie, nie szzczędząc najlepszych materiałów. Tak też jest w środku: marmury, mozaiki, płaskorzeźby, przestrzennie, sterylna czystość. Oprawdza nas starsza lekarka, pokazuje, wyjaśnia. W gwałtownym układzie od źródła umieszczone są pokoje z wannami i basenami, w których wyde-

Mimo słonecznej pogody woda dla mnie za
zimna, uciekam na plażę, jeszcze ze śladami zio-
nowych sfermów. Dla gromady dziewcząt se-

Bielszad po gruzińsku, w czasie której nie spada pod stół, to jedna wielka rozmowa zaspokajająca jakąś psychiczną potrzebę wzajemnego dowartościowania, otwartości na sprawy drugiego człowieka, potrzeby odczuwania wspólnoty duchowej, więzi międzyludzkich tak ostatnio zubożałych w wysoko zurbanizowanych krajach. Kulturowanie tej tradycji to jakby intolucyjnie stawiana tama przed zagrożeniami współczesnej cywilizacji: pogon za karierą, dobrami materialnymi, ułudą władzy egoistycznym wyobcowaniem, martwotą duchową... Zrozumiałem to bez trudu, chociaż nie miałem się czym pochwalić przypominając sobie obyczaje naszych przodków i współczesną obyczajowość swych ziomków... Ktoś napisał o Polsce: „byłas kiedys od morza do morza, teraz jesteś na dion!” Ładne słowa, chociaż nieprawdziwe. Jakże daleko bliżej owego poetyckiego mitsu są Gruzini.

Polemiki • Listy • Opinie

„TRAGEDIA — WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI”

Artykuł Andrzeja Karolczaka o spektaklu „Tragedia — Włodzimierz Majakowski” w Teatrze Studio '83 wywołał oburzenie niektórych Czytelników. Publikujemy otrzymane listy — niektóre we fragmentach — oraz opinie innych recenzentów o tym spektaklu. Ponoc jesteśmy narodem pragnącym pluralizm i bardzo tolerancyjnym. W teorii przynajmniej. W praktyce bowiem wszyscy chcą, aby liczyli się tylko ich opinie. Sądzymy, że lektura poniżej zamieszczonych tekstów powinna wiele dać nam do myślenia.

W 48 numerze waszego tygodnika ukazał się tekst, red. Andrzeja Karolczaka, który być może w założeniu miał być recenzją spektaklu „Tragedia — Włodzimierz Majakowski” wystawianego przez Pawła Nowickiego w Teatrze Studio '83, a w istocie stał się tym, co ja nazywam oszczerstwem.

W naszym życiu tak często mamy do czynienia z brakiem kompetencji, ignorancją i zanikiem dobrej woli w rozumieniu i załatwianiu naszych spraw przez ludzi do tego powołanych, że w zasadzie nic nie powinno dziwić czy boleć nas przyzwyczajonych i uodpornionych na to. A jednak jest coś co boli i dziwi: nierzetelność ludzi, którzy piszą i których teksty się drukują w poczytnych tygodnikach. Na szczyty ignorancji i niefachowości wdrapał się ostatnio red. Karolczak „recenzując” spektakl P. Nowickiego.

Zrozumiałam, że red. Karolczak nie rozumie (to się wybacza) i nie chce zrozumieć (tego się nie wybacza). Gdyby ten paszkwil, który przeczytałam, został wydrukowany w rubryce „Polemiki, Listy, Opinie” wzmuszyłabym ramionami i pomyślała „biedny człowiek”, jednak w sytuacji, gdy recenzowanie powierza się członkowi Zespołu Redakcyjnego, a on zamiast przynajmniej próby rzetelnej krytyki daje popis niezrozumienia, „błyskotliwej” złośliwości i chamstwa — to mnie to oburza i obraża. Lepiej niech red. Karolczak dalej pisze, skoro musi nieistotnie w swej treści reportaż o „spójrzniu z kiosku” bądź też z innego miejsca (znam takie, ale nie powiem). Przynajmniej nikogo nie obrażałby i nie krzywdził.

Recenzent, który w sposób rzetelny wykonuje swoją pracę naprawdę nie może być na spektaklu jeden (!) raz, na premierze, kiedy to istotnie podwyższona jest lekko temperatura odbioru sztuki przez widzów. Nie wiem tylko, dlaczego od lat na przedstawienia premierowe do każdego teatru na świecie zapraszani są prócz recenzentów krewni i przyjaciele artystów — i niktgo to nie dziwi (naturalnie oprócz red. Karolczaka). Może zechce red. Karolczak zmienić ten niepisany zwyczaj? Tylko po co?

Uwaga red. Karolczaka skoncentrowała się na opisie niektórych elementów scenografii (do wiadomości red. Karolczaka: „chorągiew przypominająca kościelną” nazywa się w języku polskim „feretrum” lub „feretron”), których funkcji w tym spektaklu nie próbował nawet zrozumieć, zachwyciła mnie natomiast fotograficzna pamięć red. Karolczaka — spodnie do konnej jazdy, które zauważył na jednym z feretronów sugerując, że zna się na jeździe konnej i może niech red. Karolczak rozwija się w tym kierunku — chociaż na Służewiec daleko.

Zastanawia mnie, jak to się dzieje, że Kolegium Redakcyjne czy też osoba odpowiedzialna za dopuszczanie tekstów do druku wyraża zgodę na to, aby red. Karolczak mógł bezkarnie obrażać publiczność teatralną, porównując ją do balonów. Mam nadzieję, że red. Karolczak sam nie wiedział, co czyni pisząc, iż na spektaklu premierowym były „(...) trzy balony — nie licząc publiczności”. Dla mnie jest to jednoznaczne i przez to obraźliwe.

Nie będę wyjaśniał red. Karolczakowi, że Majakowskiego było w tym spektaklu dużo, bo i tak tego nie rozumie i nie chce zrozumieć, mimo to radzę mu czytać poezję Majakowskiego i listy jego, do niego i o nim.

Myszę, że red. Karolczaka usatysfakcjonowałyby trzyaktowy dramat (broń Boże nie collage — bo to zbyt trudna forma), gdzie w pierwszym akcie jest zawiązanie akcji, w drugim — kulminacja i w trzecim — rozwiązanie. Lubi to z pewnością red. Karolczak, szczególnie w sytuacji, gdy można oprzeć się na tekście i opracowaniu dostępnym dla każdego. Wtedy nawet on by zrozumiał i mógł pobyszczuć erudycją i znajomością tematu.

W sytuacji, gdy red. Karolczaka postawiono wobec zadania wykazania się wiedzą, wrażliwością, wyczuciem teatru i Sztuki — stanął bezradny i jedyną jego reakcją było szyderstwo, ironia i złośliwość posunięta momentami do chamstwa. (Pigmej w buszu też pewnie pluje widząc po raz pierwszy w życiu samochód).

Mam wrażenie, że red. Karolczak bardzo nie lubi dyrektora Nowickiego — bo (znowu) nie rozumie, że to, co proponuje Paweł Nowicki w swoim teatrze jest czymś ważnym i doniosłym zarówno w polskiej sztuce teatralnej, jak i w formowaniu nowego spojrzenia na sztukę w ogóle. Ale nie ma jeszcze opracowań dotyczących teatru Pawła Nowickiego — a red. Karolczakowi trudno dostrzec coś innego poza cyrklem — i musi podpieścić się zdaniem red. Pietrasika z „Polityki” oraz innego, równie nie rozumiejącego i nie czującego recenzenta, którego nazwiska nie wymieniam. (Z pewnością red. Karolczak czyta się za niego, gdy nie pluje sam). A może red. Karolczak przytacza kłasyków — Csaó, Grzymałę-Siedleckiego, Słonimskiego? Na pewno im już to nie zaszkodzi, za to może red. Karolczakowi pomoże.

Zaluję, że wasze, tak popularne i poczytne pismo, kształtujące gusta czytelników (bo przecież w podtytuł „Odgłosy” czytamy „Tygodnik Społeczno-Kulturalny”) odegrało tak niedobłą rolę. Wszystkie osoby, z którymi rozmawiałam, a które widziały ten spektakl (niekoniecznie premierowy) były oburzone i zadowolone poziomem „argumentacji” red. Karolczaka. (Argumentacji w cudzysłowie — bo gdyby red. Karolczak określił samokrytycznie swój tekst paszkwilem lub pomówieniem — byłoby to zrozumiałe). Szkoda tylko, że wasze pismo traci z przyczyny red. Karolczaka szacunek i wiarygodność wśród czytelników.

Bywają przestępstwa nie podlegające wymiarowi sprawiedliwości. To, co zrobił red. Karolczak jest właśnie jednym z nich. Przed powierzeniem red. Karolczakowi funkcji recenzenta ostrzegam wasze pismo

EWA JASKULSKA

MARZENA KUREK, IV rok fil. germ. UL.
EWA WIECH, IV rok fil. germ. UL.
DOROTA WYSOCKA, III rok filologia klasyczna
ANITA BUJALA, studentka IV roku filologii klasycznej UL.
AGNIESZKA BIAŁECKA, studentka IV rok filologii klasycznej
JOANNA RYBOWSKA, IV rok filologii klasycznej
MONIKA DEMCEWICZ, IV rok filologii klasycznej
DOROTA WRZESIŃSKA, IV rok filologii klasycznej
JOANNA SOWA, IV rok filologii klasycznej.

Po przeczytaniu recenzji z „Majakowskiego” w Teatrze Studio chciałam od razu chwycić za pióro, ale w końcu machnęłam ręką. Teatr i tak broni się sam swoimi przedstawieniami. Będąc jednak wczoraj w Warszawie, przeczytałam przypadkowo w „Expressie Wieczornym” materiał poświęcony Teatrowi Studio w ogólności, a „Tragedii — Włodzimierz Majakowski” w szczególności. Wracając do Łodzi myślałam w podnieceniu o dwu rzeczach. Po pierwsze o tym, że jednak ciągle trudno

być prorokiem we własnym — no! — mieście. A po drugie, że to dziwne, iż łódzkiego tygodnika kulturalnego nie stać na poziom, jaki zaprezentowała — warszawska, bo warszawska, ale jednak popołudniówka.

Z poważaniem

KRYSTYNA KWIATKOWSKA

W podobnym tonie napisały do nas również panie Dorota Krolka i Katarzyna Adaszewska, których listów nie możemy opublikować ze względu na brak miejsca.

REDAKTOR DYŻURNY

No, dostało mi się! Dziękuję za listy, wybaczone Państwo, że odpowiem tylko na jeden, ten najbardziej reprezentatywny — od pani Ewy Jaskulskiej. List jest o tyle jeszcze ważny, że podpisany przez 9 innych osób. (Pani Jaskulska pisze: „czuję się różnie, gdy nie pluje sam.”)

Porozmawiajmy jak filolog z filologiem. Czyli o niekompetencji... Pani zarzuca, że ja nie jestem kompetentny — ma Pani prawo tak sądzić, ma Pani święte prawo tak uważać. Pozwoli Pani zatem, że poddam w wątpliwość Jej kompetencje dotyczące uprawnień recenzenta albo szerzej — dziennikarza. Otóż jestem zwolennikiem maksymalnej swobody słowa. Tego wygłaszanego ze sceny i tego w gazecie. Pani ma najwyraźniej inne zdanie: w teatrze można wszystko co się zamarzy, bo to Świątynia Sztuki. W gazecie? A wron, pismaki od naszych artystów ukochanych, albo się zachwycają, albo milczą!

A ja akurat taki mam temperament, że jak mnie coś zachwyca (co się zdarza nader rzadko), to z reguły za pióro nie chwytam. Dopiero jak wietrze chała, intelektualne nadużycie, humbug i robenie balona z publiki, to do maszyny siadam z zapalem...

Wróćmy do filologii. Pisze Pani — bardzo słusznie — że chorągiew kościelna nazywa się „feretron”. Pięknie. W swoim tekście użyłam jeszcze kilku słów, które mają łacińskie odpowiedniki. Czemu pani nie zechciała ich podać? Ja natomiast, choć nie znam słowa „feretron” pisałam przecież nie tylko dla studentów IV roku fil. klas., ale także dla ich młodszych kolegów, którzy mogą tego stopnia wtajemniczenia nie osiągnąć, chyba że byli ministrantami.

I dalej „jak filolog z filologiem”. Używa Pani pod moim adresem takich słów i określeń: „oszczerstwo”, „ignorancja”, „nierzetelność”, „złośliwość i chamstwo”. Porównuje mnie też Pani do „Pigmeja z buszu”.

Winszuję elegancji i uprzejmie zawiadamiam, że ten zespół epitetów wystarczyłby każdemu sądowi do wydania orzeczenia o zniesławieniu. Życzę dalszych sukcesów w posługiwaniu się elegancją, wyszukany językiem.

„Jak filolog z filologiem”: Jestem człowiekiem niemłodym, mam prawo do odrobiny konserwatyzmu. Lubię sztuki teatralne z zawiązaniem akcji, kulminacją i rozwiązaniem. Jeśli pani nie lubi Ajschylosa, Szekspira, Moliere, Fredry, Szanławskiego, Rittnera i Słonimskiego — współczuję Pani. A propos Słonimskiego — tak się składa, że przeczytałam w swoim czasie wszystko co poeta napisał. Także wszystkie recenzje teatralne jego pióra. Boże, jak on obrażał teatry, aktorów, reżyserów!

Ja w inkryminowanym tekście zastąpiłem podobno argumenty inwektywami. A Pani? Gdzie argumenty? Bo inwektywy przytoczyłam...

Tyle wymiany uprzejmości. Bo jeśli idzie o ocenę spektaklu w Teatrze Studio '83... Może spróbujemy się pokłócić bez udziału kilkudziesięciu tysięcy czytelników? Jestem do dyspozycji Pani i Jej przyjaciół w dowolnym czasie i miejscu.

ANDRZEJ KAROLCZAK

Do próby zastanowienia się nad tym zagadnieniem, skłoniła mnie sztuka przedstawiana przez teatr Studio '83: „Tragedia — Włodzimierz Majakowski”.

Sztuka XX wieku jako istotne kryterium wartości dzieła uznaje: nowość, oryginalność, zaskoczenie. Cała pragnie być awangardowa-modernistyczna, jeśli rozumieć w ten sposób nurt przeciwny klasycyzmowi, łączonemu z tradycją. Literatura, znana tradycyjnymi środkami wyrazu, proponuje „nową powieść”, czy poezję konkretną; sztuki plastyczne: performance, happening, konceptualizm. W ten sposób zaciera się granica sztuki, trudno znaleźć kryteria oceny dla wielu artystycznych poczynania.

Czy nowy pomysł, zaskoczenie wystarczą, by móc mówić o wartości dzieła? Przecież odpowiedź nie zawsze jest łatwa do uzasadnienia. Jakże bowiem często jesteśmy urzeczni własną nowością. Reżyser teatralny Paweł Nowicki zastosował niebawnałą koncepcję, nieznane nam dotychczas chwyt i sztuka zyskuje naszą aprobatę. „Tragedia — Włodzimierz Majakowski” daje jednoznaczna odpowiedź, iż wartość takich działań nie jest samoistna.

Paweł Nowicki miał pomysły. Miał ich jednak zbyt wiele, a co istotniejsze stosował tak, by za wszelką cenę ukryć to, co chciał powiedzieć. W ten sposób koncepcja sceny symulacyjnej, interesujący chwyt z pomysłów Erwina Piscatora — połączenia sztuki filmowej z teatrem, nie mogły zrobić wrażenia, gdyż zmęczony i znudzony widz właściwie już zasypiał. Do tego stanu ducha skutecznie doprowadzili go aktorzy. Jest niezwykle trudne zbudować napięcie w sztuce, jeśli zrezygnuje się z tradycyjnego schematu akcji dramatycznej, próbując konflikt zdarzeń zastąpić konfliktem filozoficznym, opierającym się głównie na dialogu. Opracowanie tekstu w poetyce, która przerażała możliwością i umiejętnością aktorów, kończy się zazwyczaj fiaskiem. Prowadząc do dezintegracji treści, owszem tworzy, ale... bełkot, dając widzowi wątpliwą jakość wrażenia estetycznego.

Zasada „to far fetchet” — kojarzenia faktów zbyt odległych, jest słuszną tylko wówczas, jeśli odbiorca otrzyma „klucz”, by otworzyć wskazane drzwi. Jeśli aktor nie potrafi dać owego klucza, przedstawienie „morduje” widza.

Czy głośny śmiech odbiorcy, komentujący przejmującą wypowiedź aktora, można wytłumaczyć jedynie wrażliwością emocjonalną publiczności? Dlaczego widz reaguje wyłącznie na obraz zewnętrzny, nie rozumiejąc tragicznej wymowy słów, nie potrafi „przebić się” przez obraz, dojść do analizy intelektualnej? Istotną winę ponosi aktor, który stosując niewłaściwe środki wyrazu, uniemożliwia mu to.

Podstawa jest opanowanie rzemiosła aktorskiego. Bo inaczej dialog:

— „Aktorzy odmówili udziału.
— Przedstawienie musi się odbyć, zwolaj pan znajomych.”
per analogiam nasuwa ocenę spektaklu.

JOLANTA POL

Na wstępie chciałabym opowiedzieć o pewnym „prywatnym” przedstawieniu, które zostało „wystawione” wiele już lat temu. Byliśmy wtedy z Pawłem Nowickim na trzecim lat czwartym roku polonistyki. Przypomnę jeszcze, że Paweł już od pierwszego roku studiów rozpoczął działalność w teatrze studenckim, stworzył swój własny zespół i doszedł do świetnych wyników. Jego teatr miał wierne grono akolitów, do których i ja należałam.

Otóż właśnie gdzieś na czwartym roku studiów — w czasie

Na kolumnie „Polemiki, listy, opinie” publikujemy tylko listy podpisane imieniem i nazwiskiem, z podaniem adresu. Adres i nazwisko na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Zastrzegamy sobie możliwość skrótów.

przygotowywania pracy na którejś z kolejnych zajęć z historii języka, natknęłam się przypadkowo w słowniku Doroszewskiego na hasło „fujara”, pod którym przeczytałam cytując z książki H. Rudnickiej: „Paweł, fujaro jedna, długo będzie jeszcze na wielki czekać?” Zapisalam skrzętnie tom, stronę itd. i jeszcze tego dnia — dla żartu — podałam te dane Pawłowi mówiąc: „Znałbyś tam coś ciekawego dla siebie”.

Minęło kilka dni. Już prawie zapomniałam o tym, gdy któregoś ranka widzę Pawła w holu Biblioteki UL. Daje mi znaki ręką z daleka. Podchodzę. Obok niego na podłodze leży kilka dużych łosiowych kawałków węgla. Paweł kłania się w pas i ledko unosząc głowę pyta: „Czy pani hrabina jest ze mnie zadowolona?” I to jest teatr! Tak, to właśnie jest teatr! Bez kurtyny, bez sceny, bez widowni. Tylko widz i aktor połączeni porozumieniem, zjednoczeni konwencją, która oboje akceptują, choć jest zaskakująca. I ten rekwizyt prawdziwy i nieprawdziwy zarazem, martwy, ale żyjący jak ów „wodotrysk Meyerholda”! I jaki prosty scenariusz.

Celowo przypomniałam tę historyjkę z przeszłości. Bo właśnie tej jedności brakuje mi dziś w teatrze Nowickiego. Czegoś co scalałoby w jedno poszczególne części spektaklu i działania grających w nim aktorów, bo oni przecież są jedyną rzeczywistością sceny; brakuje więc jedności idei i „dziania się” teatralnego, a w końcu porozumienia aktora i widza — rozmowy między nimi. Dlaczego tak się dzieje?

Tytuł spektaklu anonsuje tragedię, ale gdzie jest bohater, który istnienie tej tragedii warunkuje? Gdzie jest człowiek jednostka, stanowiąca ośrodek tragedii i teatru w ogóle? Paweł Nowicki nie ukazuje nam człowieka i jego dramatu, a jedynie zilustrowane pojęcia. A więc pojawiają się na scenie hipostazy przemocy, zniewolenia, zaślepienia, głupoty itp.; ilustracje sentencji: człowiek jest niewolony, człowiek jest manipulowany, ponizany, reifikowany itd. I to ja to wszystko rozumiem, ale życie abstraktów mnie nie wzrusza. A teatr przecież ma wzruszać — to znaczy poruszać uczucia, intelekt...

Dość mam na co dzień komunałów i haseł zarówno tych na tak, jak i tych na nie. W teatrze chce widzieć człowieka zmagającego się z losem, z historią, z przemocą. I nie musi to być wcale teatr tradycyny. Dlaczego przemawia do mnie teatr Tadeusza Kantora na przykład? On też nie przedstawia prostej anegdoty. Ale buduje przed widzem metaforę opracowaną w najdrobniejszych szczegółach. Wszystkie postaci, sytuacje sceniczne biorą udział w tworzeniu metaforycznej opowieści. I jeśli bohaterowie płaczą, umierają — to my odbieramy to jako gest teatralny i jako taki przemawia on do nas siłą metafory, która ożywia wyobraźnię.

U Pawła Nowickiego teatr rozgrywa się przed widzem, wokół widza, grała autentyczne przedmioty: noże, widelce, kwaszone ogórki w słoju, serduszek na talerzu, chlupocze woda w butelce, czerwona farba wspaniale udaje krew ale ponieważ nie ma dramatycznej „historii” człowieka, nie jesteśmy w stanie przeżyć wraz z bohaterami tego, że są bici czy prześladowani.

Rozmawiałam z jednym z pracowników teatru, który powiedział mi: „Ciekawe, czy potrafiłabyś wskazać z czego pochodzą poszczególne fragmenty scenariusza”. Otóż z pewnością nie potrafiłabym i szczerze mówiąc nie jest mi to potrzebne. Te fragmenty przestały już znaczyć coś same przez się — stały się ciałem spektaklu, wtopiły się w teatralne misterium. Tylko właśnie — czy polaczyły się w dramatyczną całość? Wydaje mi się, że poszczególne części są wspaniałymi, wyszukany — jednak luźno powiazanymi scenami, niecierpliwymi się, by stać się metaforą rzeczywistości.

Każda część jest barwna, żywa i wspaniała; ma swój styl, widzieć parodystyczny, satyryczna ostrość, ironia. Ale całość — nie poruszająca, choć przecież nie pozbawiona sensu. I chyba dlatego, że zabrakło bohatera. Majakowski? Jego nazwisko jest raczej symbolem, podobnie jak Bulhakow. A więc — każdy z nas? Tak, może. Ale w końcu — nikt. Nie ma tragedii, bo nie ma siły jednoczącej człowieka. U Pawła Nowickiego jest to jakiś abstrakcyjny twór, znak — symbol poprawnego zdania z podreżnka logiki, odmienna część mowy ze zdań, które znamy: „Człowiek” to brzmi dumnie, człowieka można zniszczyć itp. A przecież wszystkie środki teatralne: słowo, dźwięk, rekwizyt, sam aktor wreszcie — są po to, by stwarzać dramat, a nie, by opowiadać o nim.

Wśród scen — epizodów spektaklu jest wiele wspaniałych, choć przerażających swą wymową. Świadcza o one o niewątpliwym talencie Pawła Nowickiego. Myślę tu przede wszystkim o scenie z chorągiewami (która tak wspaniała A. Karolczak w swojej recenzji, która przecież w istocie recenzja nazwana być nie może). I jest głęboki sens w tym, że owe chorągwie z twarzami samobójców przypominają chorągwie kościelne. Epoka stalinizmu doprowadziła do „ukrzyżowania” wielu niepokornych lub niewygodnych. Wystarczy przypomnieć kilka choćby nazwisk: Majakowski, Bulhakow, Mandelstam, Meyerhold, Babel... Ta scena chorągwiarni przemawia więc siłą uogólnienia, metaforą.

Także z ubiegłorocznego spektaklu „Krótko na styku” chce przypomnieć przerażający w swojej wymowie, ale doskonały teatralnie fragment przedstawiający zmaganie się człowieka z krzesłem. Jest to oczywiście nawiązanie do znanego cyklu obrazów A. Wróblewskiego „Ukrzesłowienie”. Człowiek z tęczką siedzący na krześle, nieokreślony, wyprany z człowieczeństwa; w jakimś urzędzie, jakimś poczekalni... Nowicki ukazuje jak człowiek ten próbuje wyrwać się z martwego świata — zmagając się z krzesłem, z którym zrosił się już prawie. Nogi krzesła splatały się z nogami człowieka. Gdy próbuje wstać, pada razem z krzesłem. Leży i czuła się. Krzesło „nie puszcza”. Człowiek wlecie je za sobą jak kołkon, z którego nie może się wyswobodzić.

Gdyby spektakl jako całość tak oddziaływał jak te dwie wyżej opisane sceny, dotarby niewątpliwie do widza jako prawda o człowieku, a poprzez niego — o historii, o tej ciemnych kartach; byłby tragedią czyli dziełem, które przedstawia sytuację bez wyjścia i człowieka — winowajcę, którego winą jest problematyczna, a którego kara (śmierć) jest jego klęską, poniżeniem i wyświeceniem zarazem.

Takiego spektaklu w Teatrze Studio będę oczekiwać, bo myślę, że Paweł Nowicki należy do grona najzdolniejszych reżyserów swojego pokolenia, a jego teatr jest teatrem poszukującym.

I jeszcze dwa słowa o programach. Czy przy takich tematach wystawianych sztuk nie byłaby lepsza skromność i zrzeczność? A tu format wielki, nie mówiąc już o tym, że niezręczny, i papier kredowy... A przecież nadzieje i patos należą do celów krytyki i szyderstwa Nowickiego...

LUCYNA SKOMPSKA

UWAGA! RAWA MAZOWIECKA. KTO POMOŻE INWALIDCE?

Mieszkam w małej wiosce w województwie skierniewickim. Plac i zabudowania, które użytkuję otrzymałam w spadku po rodzicach. Nabyli oni ten skrawek ziemi z funduszu państwa. O rozmiarach działki zdecydowali pracownicy geodezji, którzy osobiście wyznaczili obszar podlegający zagrożeń. Gospodarstwo przyległe do mojej działki użytkuje p. Tadeusz Zwoliński. Jest on właścicielem 3,80 hektara ziemi. Ponadto właścicielem sadu, fermy kur, ma on II grupę renty i mieszka na stałe w pobliskim miasteczku, tzn. Rawie Mazowieckiej.

Odkąd jesteśmy sąsiadami zaczęły się moje zmartwienia. Wokół mojego domu biegła droga planowa. Została ona samowolnie zaorana przez p. Zwolińskiego, zaś nowa droga zrobiona została kosztem mojej działki. W tej sprawie odbywały się liczne zebrania, o których nie byłam informowana. Kilkakrotnie zwracałam się z prośbą do gminy i do wojewody. Niestety rozmowy

okazały się bezskuteczne. Jedynym rozwiązaniem, jakie mi podsunęto, było nabycie jej w drodze kupna. Nie stać mnie na to, ponieważ mam II grupę inwalidztwa i dochody moje wystarczają jedynie na zaspokojenie minimum życiowego. A ponadto nie mogę zrozumieć, jak można handlować państwową drogą?

To nie koniec moich kłopotów. W styczniu 1988 roku przyjechali pracownicy geodezji. Stwierdzili, iż mam nadmiar gruntów, a nie mogę ich użytkować, ponieważ nie posiadam uprawnień rolniczych. Wiem dokładnie, że działkę, która liczy 49 arów mogę użytkować bez żadnych uprawnień. Moja działka graniczy z państwową drogą i moją działką wcielić do gruntów p. Zwolińskiego, który to na różne sposoby nabywa nowe działki. Gdy zadaliśmy pytanie, czy p. Zwoliński jest rencistą czy też rolnikiem, nie padła żadna odpowiedź.

Miałe również miejsce wiele spraw, o których pragnę jeszcze wspomnieć. Po zaoraniu drogi odległość między moim domem a ogrodzeniem wynosił tylko jeden metr. Jestem więc pozbawiona jakiegokolwiek możliwości dostępu do budynku na wypadek remontu. A jest to niemożliwe, ponieważ budynek jest budynkiem starym. Jak mam rozwiązać ten problem? Gdyby nie samowolnie zaorana droga, wszystko byłoby w innym świetle. Na demiar zła, p. Zwoliński postawił stóg słomy niedalej jak dwa metry od mojego budynku. Wielekrotnie chodziłam do niego i upraszałam, aby stóg przesunął. Dopiero jednak interwencja straży pożarnej zaskutkowała. Za co jestem głęboko wdzięczna, ale to ja schorowany człowiek musiałam wszystko wychodzić.

Do liczby spraw, które tu opisałam niedawno doszła jeszcze jedna. A mianowicie, p. Zwoliński jest właścicielem trzech psów. Psy te dzień i noc chodzą bez uwięzi. Są nie szczepione. Kilkakrotnie wtargnęły na moje podwórko i zagryzły w sumie 23 króliki, znajdujące się w odpowiednich pomieszczeniach. Porażenie uległy zniszczeniu w następstwie agresji psów. Z tego powodu poniosłam ogromną stratę. Na kupno nowych nie mam pieniędzy. Najstraszniejsze jednak jest to, że człowiek nie może spokojnie poruszać się po własnych zabudowaniach.

Sprawę tę zgłosiłam do naczelnika MO, później do Kolegium Przekazującego w Rawie Mazowieckiej. Minęło już półtora miesiąca, a sprawa wędruje z rąk do rąk bez żadnego echa. Straciłam już wszelką nadzieję na rozwiązanie którejśkolwiek z tych spraw. To prawda, że w przeciwnieństwie do mnie p. Zwoliński jest człowiekiem zamożnym. Ale czy z tego powodu mam być ciągle popychana, lekceważona?

Nikt nie chce ze mną rozmawiać szczerze. Co ja mówię szczerze? Nikt w ogóle nie chce ze mną rozmawiać. Jestem osobą schorowaną posiadającą małe środki pieniężne. Nie mam już siły walczyć z całą tą „kliką”, która nieustannie przesyła mnie z jednego urzędu do drugiego, po to tylko abym usłyszała, że moja sprawa w tym urzędzie się nie kwalifikuje.

ZOFIA KWAPIŚ
(Julianów)

STRASZNA AFERA W ŻYCHLINIE

Z uwagą zapoznałam się z treścią artykułu red. Pawła Tomaszewskiego — „Straszna afera w Żychlinie — Jak się to robi w Żychlinie” (Odgłosy nr 30 z 12 grudnia 1987 r.). „Demokracja potrzebna jest po to, aby mówić sobie prawdę w oczy, nawet wtedy, gdy prawda jest niemiła i bolesna” — twierdził w moim artykule Lucjusz Włodkowski w tym samym nr Odgłosów. I jeszcze jeden przytoczę za autorem cytów z VI Plenum KC PZPR — „od dziennikarzy oczekujemy rzetelności, wnikliwego stosunku do poruszanych problemów i troski o społeczne skutki publikacji”.

Przykre mi, że bojowy, piętnujący zło artykuł, zawierający bardzo wiele prawdy, zawiera też kłamstwa, jest świadomym nie do końca uczciwym, tendencyjnym — nasuwa brzydkie skojarzenia. Nie można przecież przyjąć założenia, że ludzie dzielą się wyłącznie na bardzo dobrych i bardzo złych, bardzo uczciwych i złodziei, prawych obywateli i przestępców, geniuszy i głupców. Z treści artykułu wynika, że te dobre cechy zdecydowanie przeważają u obecnego prezesa Spółdzielni, że zle u bliżej nieokreślonej i także określonej reszty.

Tak nie można. Mimo to sądzę, że w sumie artykuł przyniesie wiele pożytku, pozwoli całej załodze Spółdzielni, kierownictwu i władzom jeszcze raz przemyśleć to co było, stan obecny — i wyciągnąć, każdy dla siebie, właściwe wnioski do dalszego działania.

Myszę, że nie sprawa w tym, by obrażać się za zawarte w artykule przypadki nieprawdy (być może celowego kłamstwa) np. o przebiegu zebrania Rady Nadzorczej w dniu 4 listopada 1987 r., na którym to... „zaaprobowano decyzję Rady o zwolnieniu prezesa...” czy o inne kłamstwa.

Osobiście żałuję, że Paweł Tomaszewski nie zna treści stanowiska Egzekutywy KM PZPR właśnie w sprawie jej obecnego prezesa, ale sądzę, że to nie stracono.

Przedkładałam Pawłowi Tomaszewskiemu następującą propozycję:

Podejmijmy się wspólnie zorganizowania spotkania całej załogi Spółdzielni w określonym dniu i po godzinach pracy (ze strony KM taka propozycja była już zgłaszana do byłej Rady Nadzorczej) aby właśnie w oczy, publicznie powiedzieć sobie prawdę, dowiedzieć się więcej prawdy i... pomóc Spółdzielni.

Żychlin, 15.12.1987 r.

I sekretarz KM PZPR
RYSZARD GAWROŃSKI

Do wiadomości:

1. Komitet Wojewódzki PZPR w Płocku, Wydz. Ekonomiczny.
2. Wojewódzka Komisja Kontrolno-Rewizyjna w Płocku.
3. Centralny Związek Spółdzielni Pracy w Warszawie.

I sekretarz KM PZPR w Żychlinie zarzuca mi w swoim liście do redakcji kłamstwa, ale nie prostuje ich, pisze o tendencyjności i brzydkich skojarzeniach, ale nie precyzuje, na czym miałyby one polegać. Ja w reportażu opierałam fakty, autor listu — ogólnikami. Dlatego trudno się z nim zgodzić.

Co zaś do propozycji spotkania „całej załogi Spółdzielni...”, to jeśli takie spotkanie zostanie zorganizowane i będę na nie zaproszony, przyjadę, by posłuchać prawdy mówionej publicznie prosto w oczy.

PAWEŁ TOMASZEWSKI

PROSIMY „RUCH” O WYJAŚNIENIE TEJ PRZYKREJ SPRAWY

Jestem stałym czytelnikiem „Odgłosów” i po raz pierwszy spotkałam mnie taką przyzwoitą takimi opisaniami do dyrektora RSW „Prasa” Oddział Łódź-Polesie. Czyżby to była nowa metoda na zlikwidowanie zwrotów waszego tygodnika? Może redakcja spowoduje, że mój list do dyrektora RSW „Prasa” odniesie jakiś skutek, gdyż obawiam się, że pozostanie bez echa.

ROMAN JAGODA

KOPIA LISTU DO DYREKTORA RSW „PRASA” ODDZIAŁ ŁÓDŹ-POLESIE

PANIE DYREKTORZ!

W dniu 18 grudnia 1987 r. spotkałam się z przejawem wyjątkowego chamskiego i bezczelności sprzedawcy w kiosku przy ul. Olimpijskiej, Ryszard Adamiak.

Tego dnia wysłałam syna (12 lat) po świąteczny numer „Odgłosów”. Była środa, godzina 13.40, więc nowy numer „Odgłosów” z reguły jest już w sprzedaży. Syn wrócił po chwili ale ze starym, 50. numerem tego tygodnika z 12.12.1987 r. Odesłałam go z powrotem do kiosku, by wymienić tę gazetę na aktualną. Po jakimś czasie wrócił i powiedział, że sprzedawca bardzo niegrzecznie zareagował na jego prośbę, posadzając go o to, że kupił te gazety tydzień temu, a teraz żąda zwrotu pieniędzy lub wymiany na nową (w tym czasie nowe „Odgłosy” były już w kiosku).

Bardzo zdenerwowałam się na takie potraktowanie dziecka, lecz ze względu na chorobę, musiałam czekać na powrót żony z pracy. Razem z synem poszłam do kiosku (tuż przed godz. 14.00) gdzie na ponowną prośbę o wymianę nieaktualnej gazety sprzedawca znowu usiłował wmówić żonie, że tę gazetę kupił przed tygodniem, że reklamacji nie przyjmie, że ma dosyć swoich zwrotów. Wtedy żona przedstawia jej przeczytany przez nas numer 50. „Odgłosów”, który wyraźnie różni się od tego nie czytanego. Wówczas kioskarka z nienormalnym i nienaturalnym wrzaskiem zamknęła okienko swojego przybytku, a tym samym całą dyskusję.

Proszę Pana Dyrektora o wyciągnięcie odpowiednich wniosków z opisanego zdarzenia. Uważam, że takie postępowanie nie zwiększy obrotów w tym konkretnym kiosku, a także nie zmniejszy zwrotów „Odgłosów”.

Najbardziej zabolalo mnie jednak to, że syn otrzymał wyjątkową „lekcję wychowania” i przekonał się, jak nieuczciwi potrafia być dorośli. Jestem w posiadaniu obu egzemplarzy „Odgłosów” nr 50 z 12.12.1987 r. i gotów jestem odstąpić je gratis „Ruchowi”, może jeszcze raz kogoś oszuka. Mnie i moich sąsiadów, znanych w tym kiosku już nie nabiorą, bo skutecznie będę wszystkim odradzała robienia tam zakupów.

ROMAN JAGODA

CZY KARA ZA INTERWENCJE?

W związku z artykułem „Telefon 36-77-70” opublikowanym dwukrotnie w „Odgłosach” 14.11.1987 i 5.12.1987 całkowicie zgadzam się z autorem notatki i chciałbym serdecznie podziękować za pietnowanie zła i bezdusznej pracy Urzędu Telekomunikacyjnego Łódź-Północ. Ja również spotkałam się wrecz ze złośliwością i kpinami ze strony dyrektur Urzędu Telefonów. Jestem byłym pracownikiem łączności, przepracowałam 28 lat w zawodzie zaliczanym do I grupy kategorii pracy szkodliwej dla zdrowia. Obecnie na rencie inwalidzkiej z rentą 9.950 zł. Na telefon czekam od 1.04.1977 r. Nr ewid. 5130/448/77. Na swój złożony wniosek dostałam odpowiedź, że telefon będzie zainstalowany po 1980 r.

Po upływie 5 lat tj. 16.12.1982 r. złożyłam pismo-prośbę o przypieszenie, ewentualnie założenie telefonu. Na moja interwencję dostałam pismo, że telefon założą mi po 1985 r. W 1986 r. złożyłam pismo do ministra łączności z prośbą o interwencję, gdyż dopatrywałam się złośliwości ze strony dyrektur i mianowicie takiej, że po każdej mojej interwencji, czy to pisemnej, czy ustnej, zawsze termin założenia telefonu został przesunięty na lata następne. Ostatnie pismo brzmiało: że Urząd Telefonów nie znajduje możliwości technicznych wykonania instalacji telefonicznej pod wskazanym adresem (pomimo że instalacja telefoniczna znajduje się w naszym domu, gdyż telefon był założony na I piętrze).

Moje częste interwencje u dyrektora odniosły wrecz odwrotny skutek. Ostatnio pomimo kilkakrotnego umówienia mnie przez sekretarkę, nigdy nie mogłam zastać dyr. Dziegielewskiego.

Moja interwencja do ministra została załatwiona tak, że za karę przesunięto mi termin zainstalowania telefonu na lata 1988/1993, a więc będę czekać 16 lat, to ja wtedy będę bardzo stary i może się tego telefonu w ogóle nie doczekać.

To nieprawda jakoby jakieś ulgi w instalacji telefonów mieli pracownicy łączności, jeżeli tak to chyba dyrektorzy, bo ja po tylu latach pracy, zasłużony pracownik łączności pracujący społecznie w latach 70. przy zakładaniu kabli przy ul. Pojezierskiej nie mogę się doprosić tego telefonu. Nie mówiąc już o tym, że koszty instalacji od tego czasu wzrosły chyba trzykrotnie, co przy mojej małej rencie będzie wielkim wydatkiem. Nie chce mi się również wierzyć w to, żeby przez 11 lat w mojej dzielnicy nie zwolnił się żaden telefon. A może tak by jaka kontrola społeczna sprawdziła przydziały telefonów w latach 1977—1987?

Jestem pewien, że tym razem kara dla mnie ze strony dyrektur telefonów Łódź-Północ będzie jeszcze surowsza, gdyż cierpliwe czekanie prawie 11 lat to dla dyrektur zbyt mało. Być może termin założenia telefonu dyrektura przesunie mi do początków XXI wieku.

M. J. S.

(Nazwisko i adres do wiadomości redakcji)

„POLMOZBYT” WYJAŚNIA

Ustosunkowując się do treści nadesłanego 8 grudnia 1987 roku materiału krytycznego dotyczącego gwarancyjnej wymiany samochodu światła wstecznego w samochodzie marki FSO 1500 zainteresowanego ta usługa klienta — ob. Tadeusza GRADA uprzejmie wyjaśniam, że informacje podane przez wymienionego klienta w trakcie dyżuru reporterskiego 5 listopada 1987 roku niepełnie pokrywały się z faktami.

Otóż, w grudniu 1988 roku (a więc rok temu) w podległej przedsiębiorstwu stacji obsługi nr. 2 w Łodzi mieszczącej się przy ulicy Matejki 3/5 zgłoszone zostały do usunięcia określone usterki (w tym również wymiana automatu) w samochodzie marki FSO 1500 L, będącym własnością ob. Haliny Grad.

Niestety, nieposiadanie powyższego elementu na stanie magazynowym, a także nie potwierdzone zamówienia na ich dostawę w najbliższym czasie przez producenta uniemożliwiły jego niezwłoczna wymianę — nie tylko w pojeździe wspomnianego użytkownika. Wobec tego, iż brak automatu nie uniemożliwiał eksploatacji pojazdu, samochód został wydany klientowi a nie zrealizowana usługa wpisana do „rejestru reklamacji zaległych”.

Dostawa automatu światła wstecznego zbiegła się z notatką prasową o nieskuteczności działania „Polmozbytu”.

Zarzut jakoby w stacji nie funkcjonowała informacja nie znajduje potwierdzenia w obiektywnych faktach, bowiem klientka uzyskała dane o posiadaniu automatu i 30 listopada 1987 roku, a więc przed powzięciem wiadomości o interwencji ob. GRADA, dokonana została usługa wymiany (notatka prasowa nadesłana przez redakcję 8.12.1987 r.).

JAN GRZESIEK
(dyrektor)

O PRZYJĘCIU DO PRACY DECYDUJE ZAKŁAD

W związku z uwagami waszego czytelnika zamieszczonymi w liście zatytułowanym „Sa miejsca pracy dla emerytów czy nie?” opublikowanym w 50. numerze tygodnika „Odgłosy” wyjaśniamy jak niżej.

Aktualnie obowiązujące zasady wykonywania zadań w zakresie pośrednictwa pracy realizowanego przez Wydział Zatrudnienia i Spraw Socjalnych Urzędu Miasta Łodzi — jako terenowego organu administracji państwowej — określa Zarządzenie nr 35 ministra pracy, płac i spraw socjalnych z 17 lipca 1984 r. w sprawie pośrednictwa pracy. Na mocy wymienionego zarządzenia zniszczona została stosowana uprzednio w pośrednictwie pracy, obligatoryjna forma zatrudniania pracowników na podstawie skierowań do pracy wystawianych przez Wydział Zatrudnienia. Oznacza to, iż obecnie każdy zakład pracy ma prawo zatrudniać pracowników, nie tylko na podstawie skierowań do pracy, ale również bezpośrednio we własnym zakresie, a decyzja w tym przedmiocie należy wyłącznie do zakładu.

W związku z powyższym, w przypadku autora listu, przedsiębiorstwo miało możliwość zatrudnić go bez skierowania, we własnym zakresie, a że tego nie uczyniło uzależnione było od decyzji zakładu wnikającej z prowadzonej polityki kadrowej.

JANUSZ ANTONOWICZ

GDZIE USZYĆ KOSZULĘ?

Odpowiadając na notatkę prasową — sprawozdanie z dyżuru redaktora przy telefonie w dniu 5.11.1987 r. zamieszczoną w „Odgłosach” 14 listopada 1987, której autorem był redaktor Paweł Tomaszewski — Cech Rzemiosł Odzieżowych i Włókienniczych w Łodzi wyjaśniam co następuje:

Krytyka prasowa dotyczyła odmówienia wykonania usługi — uszycia koszuli męskiej o nietypowym rozmiarze kołnierzyka 51 w zakładach krawieckich, usytuowanych w pawilonie rzemiosła przy pl. Niepodległości. Zakłady krawieckie miały prawo odmówić wykonania takiej usługi bowiem szycie koszul nie wchodzi w zakres krawiectwa, gdzie szycie są suknie, spodnie, bluzki damskie itp. Koszule męskie szyją zakłady bieliźniarskie specjalizujące się w tego rodzaju wyrobach, które mają obowiązek przyjmowania również usług z tego zakresu. Ogólnie znanym faktem jest, że zakłady rzemieślnicze nastawione na wyroby gotowe niechętnie przyjmują wykonanie usługowe pojedynczego egzemplarza o nietypowym rozmiarze, co wiąże się z dużym większą pracochłonnością, zmianą organizacji pracy itp. Ma to jednak swoje odbicie w cenie usługi, która siłą rzeczy jest odpowiednio wyższa niż przy gotowym wyrobie typowym. (Wzrowcowe cenniki na usługi zatwierdzone przez Cech winny znajdować się we wszystkich zakładach rzemieślniczych).

Przy usługach dochodzi jeszcze ryzyko wykonania usługi niezgodnej z oczekiwaniami klienta, odmowa odbioru, kontrowersja na temat ceny itp. Wszystko to nie zmienia faktu, że zakłady rzemieślnicze mają obowiązek przyjmowania i wykonywania usług.

Skarżący się redaktorowi „Odgłosów” Kazimierz Banasiak, jeżeli dzwonił do naszego Cechu mógł uzyskać tylko taką odpowiedź jaką przytoczono wyżej.

Wyrażamy jednak pogląd, że nie zwracać się do naszego Cechu z powyższą sprawą, o czym świadczy samo sformułowanie użyte w notatce prasowej „krawczywo masówkę”. Nikt w Cechu nie użyłby takiego sformułowania — jest ono nam po prostu w tym kontekście nie znane. Poza tym gdyby rozmowa taka miała miejsce zapytalibyśmy o konkretny zakład bieliźniarski, który odmówił wykonania usługi, aby móc interweniować. Ogólne określenie „zakłady krawieckie” w pawilonie usługowym rzemiosła przy pl. Niepodległości wyklucza taką interwencję, gdyż usytuowanych tam jest wiele zakładów krawieckich i bieliźniarskich.

WIESŁAW PIETRASZCZYK
(Podstary Cechu)
ELŻBIETA ŚWIDERSKA
(Kierownik Biura)

REDAKCJA — CZYTELNICY

NA LISTY ODPOWIADAMY również przez pocztę, bezpośrednio do adresata kierując naszą odpowiedź. Sa bowiem i takie sprawy, kiedy taka forma odpowiedzi jest bardziej przydatna. Ale potrzebny jest do tego jeden warunek. Otóż nasz Czytelnik nie może zapomnieć o podaniu swego adresu. A tak się niestety jeszcze zdarza.

Zresztą na kolumnie „Listy — Polemiki — Opinie” wyraźnie podkreślamy — w notce u góry kolumny, w prawym jej rogu — że publikujemy tylko te listy, których autorzy mają odwagę podać swoje imię, nazwisko i adres. I powinny to być dane prawdziwe.

Uważamy, że wymiana poglądów między redakcją i Czytelnikami powinna dokonywać się na zasadzie wzajemnego zaufania. Dziennikarze podpisują swoje teksty imieniem i nazwiskiem, sa dostępni w redakcji, pełnią dyżury przy telefonie, spotykają się z Czytelnikami w różnych okolicznościach i mają prawo oczekiwać, że czytelnicy pisząc do nich listy nie zapomną o podaniu imienia, nazwiska, adresu. Tym bardziej, że „Prawo prasowe” chroni ich dane, jeśli sobie tego życzą i dziennikarz jest zobowiązany do ich ujawnienia tylko w sadzie i to nie w każdej sprawie. On zatem bierze na siebie odpowiedzialność za to, co zawierzył mu jego korespondent.

Tak więc, jeśli chcecie z nami dyskutować, polemizować, sprzeczać się, to nie zapomnijcie o niezbędnym warunku: podaniu imienia, nazwiska, adresu — może być z zastrzeżeniem, że tylko do wiadomości redakcji czy konkretnego dziennikarza. Takie sytuacje już się zdarzały.

Gdybyśmy na przykład chcieli polemizować ze studentką socjologii, która postawiła kilka wcale niebanalnych pytań, ale podpisała się DANUTA STRZELAK, to nie możemy, bo nie podał adresu. Nie może więc być żadnej dyskusji. Możemy tylko polecić jej nr 50 „Odgłosów”, w którym opublikowaliśmy wyniki ankiety przeprowadzonej w 1987 roku wśród naszych Czytelników. Może tam znajdzie odpowiedź na swoje pytania.

ELŻBIETA K. napisała „całą prawdę” o balu sylwestrowym w ZWO „Vera”, ale nie podała ani nazwiska, ani adresu. Nie opublikujemy jej listu. JASINSKI natomiast nie ma imienia i nie ma adresu choć ma poglądy na wiele spraw dotyczących gospodarki. Można byłoby podyskutować, ale z kim?

Listy nie podpisane, listy częściowo podpisane sugerują w jakimś stopniu kłopoty „podpuchę”, sprawie nie do końca czysta. Dlatego nie traktujemy takich listów poważnie. Nie budzą w nas zaufania. A listów w ogóle mamy sporo. Przez kilka tygodni będziemy musieli, co jakiś czas, publikować dwie kolumny listów, aby mogły wreszcie ukazać się te wszystkie, które sa przeznaczone do druku. Prosimy zatem o cierpliwość!

JANUSZ STREJCZEK, Łódź. Artykuły na tematy historyczne wymagają szczególnego opracowania. Nie wszystkie źródła i opracowania, z których należałoby skorzystać, są łatwo dostępne, Pana sugestie jednak wzięliśmy pod uwagę. Wszliśmy w kontakt z autorami i myśle, że niektóre artykuły na interesujące pana — a mamy nadzieję, że nie tylko pana, ale i innych Czytelników — tematy opublikujemy już niebawem. Staramy się tak redagować pismo, aby każdy znajdował w nim coś interesującego dla siebie. Zasady tej nie da się jednak spełnić w każdym numerze „Odgłosów”.

REDAKTOR DYŻURNY

Komu i za co przyznałby pan (pani) nagrodę „Odgłosów”, gdyby to od pana (pani) zależało?

JOZEF FRASZCZYŃSKI przewodniczący Zarządu Wojewódzkiego Towarzystwa Krzewienia Kultury Świeckiej:

Jeżeli laureatem nagrody „Odgłosów” miał zostać twórca kultury, zarazem jej popularyzator, a równocześnie rodzianin — to najlepszym (i dziwnie, że dotąd nie uhonorowanym) kandydatem wydaje się profesor **ZBIGNIEW KUCHOWICZ**.

Kuchowicz jest historykiem — badaczem o dużym dorobku i autor-rytetycie naukowym, a równocześnie popularyzatorem wiedzy historycznej. Książki, których jest autorem (o znakomitej narracji) są adresowane i trafiają do znacznie szerszych, niż tylko uniwersyteckie, kręgów odbiorczych.

Jest badaczem i nauczycielem, i to nauczycielem pełnym prawdziwej pasji pedagogicznej. Chętnie spotyka się z każdym audytorium, chętnie podejmuje rzetelną, poważną i pełną wyrozumiałości dla laików dyskusję.

Historia pisana przez Kuchowicza nie jest historią wodzów, wojen i polityków. Jest historią człowieka: jego dnia codziennego, warunków życia, chorób, słabości, romansów, miłości... Jest więc pisana z najbardziej humanistycznych pozycji historię kultury.

Rekonstruuje dawną kulturę, odtwarzając jej miniony obraz Kuchowicz staje się twórcą kultury dzisiejszej. Ujawniając czy podkreślając humanistyczne wartości zawarte w dziełach naszej kultury narodowej staje się również wychowawcą współczesnego pokolenia Polaków.

Profesor Kuchowicz jest autorem powszechnie znanych książek z zakresu kultury obyczajowej, jak na przykład „Miłość staropolska”, „Barbara Radziwiłłówna”, „Wizerunki niepospolitych niewiast staropolskich”.

Wydawnictwo Łódzkie przygotowuje do wydania znakomitą książkę tego autora pod tytułem „Człowiek Baroku”, stanowiącą interesujące studium kulturowe i psychologiczno-socjologiczne ówczesnego społeczeństwa polskiego, a TTKKS zamierza w tym roku wydać jego inną książkę pod tytułem „Kobiety polskiego baroku”.

Mimo tak intensywnej pracy naukowej i pisarskiej, profesor Kuchowicz znajduje czas na działalność społeczną w licznych stowarzyszeniach naukowych i kulturalnych upowszechniając humanistyczne wartości kultury polskiej i zasady tolerancji.

JACEK KRZKOTOWSKI prezes Stowarzyszenia „Pax”

Warto zastanowić się jakie przyjąć kryteria wyboru — czy nagrodzić uhonorować kogoś, kto społecznie, jakby z potrzeby serca poświęca swój wolny czas szerząc potrzebę kultury?

Z drugiej strony wszyscy zdajemy sobie sprawę jak ważna jest w obecnej sytuacji tworzenie tego co nazywamy bazą materialną, może więc wyróżnić kogoś mecenasa sztuki?

Dla wielu osób upowszechnianie kultury jest istotą ich zawodu, toteż taka nagroda mogłaby stać się oceną sprawności profesjonalnej, wyróżniając najlepszego zawodowca.

Wszystkie te trzy kryteria spełnia **JERZY WIECZOREK**.

Jest obrońcąabytów. Kieruje się przekonaniem, że za wszelką cenę należy nie dopuścić do ich zniszczenia i zagłady. Nazwałbym go współczesnym Kolbergiem od piasty.

Sam, społecznie zrobił dokumentację obiektów wartościowych na emmentach naszego regionu, kapieć przydrożnych oraz inwentaryzacjęabytów Zgłęza. Między innymi dzięki niemu zachowały się domy tkaczy z końca poprzedniego stulecia.

Działalność jako radny Wojewódzkiej Rady Narodowej w Łodzi, która chciałbyśmy uważać za najważniejszego mecenasa sztuki. Również profesjonalnie zajmuje się sztuką. Jest malarzem, skware-
listą, grafikiem. Sztuka, która z takim oddaniem ratuje jest dla niego inspiracją, jakby przytwarzał ją w swojej twórczości.

W całej swojej pracy kieruje się myślą, iż nie wolno zapomnieć, że kultura polska jest wieloźródłowa i ma wielowiekowe tradycje.

Jerzy Wiczorek wie, że jeżeli kultura nasza zostanie pozbawiona tej siły, którą czerpie ze swych korzeni, może spotkać ją komercjalizacja, stanie się kultura na sprzedaż.

Myślę, że warto, aby nagrodę „Odgłosów” otrzymał ktoś, kto stara się pozyskać ludzi dla takiego myślenia.

HALINA KWIATEK dyrektor Dzielnicowego Domu Kultury Łódź — Śródmieście:

Mój kandydat do tej nagrody to **STANISŁAW SREDZIŃSKI**, młody człowiek, kierownik Międzyzakładowego Ośrodka Kultury Robotniczej.

Podjął się chyba najtrudniejszej pracy, bo zadaniem ośrodka, który prowadzi, jest docieranie do społecznego aktywu w zakładach pracy i pomoc w upowszechnianiu tam kultury.

Nowatorstwo w jego działaniu polega na tym, że nie ustawia się w pozycji człowieka, który wie najlepiej i poucza małuczkich, ale szuka w zakładach przyjaciół, z którymi wspólnie może realizować pasję.

Staszek, jak wszyscy go nazywają, ma wspaniały dar pozyskiwania przyjaciół dla siebie, pracy której się poświęca i dla Domu Kultury „Kreuz”, w którym działa prowadzony przez niego ośrodek „Kreuz” jest filią Dzielnicowego Domu Kultury Łódź — Śródmieście. Powstał zaledwie dwa lata temu i dla wszystkich było zaskoczeniem, że tak bardzo szybko zyskał popularność i nabrał rozmachu. Dla wielu osób stał się drugim domem, a nie stałoby się tak, gdyby nie osobowość Staszka, jego umiejętność kontaktu z ludźmi i poświęcenie dla spraw propagowania kultury.

EWA MILLER dyrektor Centrum Kultury Młodych:

Myślę, że obecnie problem szerokiego upowszechniania kultury polega nie na braku pieniędzy i bazy, ale raczej na niechęci do odcierania się od przestarzałych wzorców.

Konieczne jest zapewnienie możliwości swobodnego eksperymentowania w sztuce, poszukiwania nowych środków wyrazu, a z drugiej strony w prasie brakuje informacji o niekonwencjonalnych formach ekspresji sztuki, o poszukiwaniach młodych twórców. Jak dotąd przeważają omówienia działalności osób z tak zwanym nazwiskiem, a powinno ukazywać się więcej informacji o tym, co dzieje się w całej szerzej kultury.

Toteż bardzo cennie sobie działalność **MALGORZATY KARBOWIAK** z „Głosu Robotniczego”, która, jak uważam powinna dostać nagrodę „Odgłosów” bo ma ona, jako jedna z niewielu dziennikarzy w naszej prasie, syntetyczne spojrzenie na zjawiska, jakie zachodzą w kulturze i związane z nimi problemy.

Niezwykle cenne wydaje mi się, że nie pisze wyłącznie o twórcach sprawdzonych, już popularnych ale też i o tych, którzy zara-
biają dopiero na umianie widzów. Potrafi zauważyć i docenić sukces czy udane przedsięwzięcie artystyczne, mimo że jego autor nie ma jeszcze znanego nazwiska. W kulturze propaguje bowiem dobrą robotę. Dociera do interesujących i dobrze zapowiadających się twórców.

Ciekawe wydają mi się relacje prasowe Malgorzaty Karbowiak ze zorganizowanych przez nią dyskusji, na których często spotykają się ludzie o diametralnie różnych poglądach na sztukę, gdzie następuje ścieranie się postaw. Są chyba dowodem na to, że życie kulturalne w Łodzi istnieje i budzi emocje.

Malgorzata Karbowiak nie jest jedynie sprawozdawcą, a znakomitym recenzentem i publicystą. Tworzy sprzyjający klimat wokół życia kulturalnego w Łodzi.

Notowała: **ZOFIA KĘDZIORA**



Masz temat dla reportera?
Coś cię drażni, niepokoi,
szlag cię trafia — podnieś
słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Na twój telefon czekają redaktorzy:

21 stycznia — **EUGENIUSZ IWANICKI** — godz. 10—16

28 stycznia — **DARIUSZ DOROŻYŃSKI** — godz. 10—16

Niektórzy Czytelnicy skarżyli się w ubiegły czwartek, że nie mogą uzyskać połączenia z telefonem 36-77-70, gdyż jest ciągle zajęty. Po przerwie w reporterskich dzurach wielu Czytelników — jak się okazuje — miało sporo nam do powiedzenia. Były to rozmowy niekiedy bardzo osobiste, dotyczące nie tylko „skrzętającej rzeczywistości”, trudno więc było przerywać. Przypuszczam więc tych, którzy nie mogli się dodzwonić i musieli długo czekać na połączenie.

Moim rozmówcą często sympatycznie wyrażali się o publikacjach z ostatnich numerów „Odgłosów”. Dziękujemy za mne słowa, ciesząc nas one, ale równie ważne przysłuchujemy się krytyce tego, co proponujemy w „Odgłosach”. Na przykład Witold Krawczyk zgłosił krytyczne uwagi pod adresem Bohdana Gadomskiego i jego artykułu o Violetcie Villas, Witold Krawczyk uważa, że Violetta Villas jest indywidualnością, wyróżnia się na tle naszej powszedniej szarżyny i dlatego mało lubiana i doceniana. Jego zdaniem Bohdan Gadomski zbyt ostro ją potraktował w swojej publikacji. Odpowiada mu też miana dżentelmena, gdyż napisał o Violetcie Villas, że przytyła, czego dżentelmen robić nie powinien. W tym miejscu zgadzam się z moim rozmówcą. Też bym nie lubił, gdyby ktoś tak o mnie napisał.

Stanisław Książek miał pretensje w sprawie traktowania Łodzi jak „głębokiej prowincji”. Poszukuje on mianowicie kilku książek, które już się w innych miastach ukazały i rozeszły, a które do Łodzi jeszcze nie dotarły. Dlaczego? — pytał rozżalonym głosem. Przecież Łódź jest dużym ośrodkiem naukowym, kulturalnym, studenckim. Tu powstaje też wiele książek, tu się je wydaje i drukuje. A do księgarni jakoś nie trafiają. Trudno odmówić racji naszemu Czytelnikowi. Może „Dom Książki” zająłby w tej sprawie stanowisko. A poza tym jest to temat — jak sugerował Stanisław Książek — na osobną publikację.

Jerzy Witold Jeziorski skarżył się na RUCH, że w wielu o-
twartych kioskach Łodzi już po godzinie 14.00 nie ma gazet: „Głosu Robotniczego”, „Dziennika Łódzkiego” i „Expressu Ilustrowanego”. Dowiedział się natomiast przypadkowo, że pisma te mają spore zwroty. Jak to więc jest? — pyta. — Gazet nie ma w kioskach, a są zwroty? Skąd się biorą? Czy to nie jest skutek wadliwego planowania?

Jerzy W. Jeziorski zwrócił też moją uwagę na kiosk RUCH przy ul. Piotrkowskiej 94 — a więc tuż obok budynku RSW „Prasa-Książka-Ruch” — gdzie nie ma już normalnej sprzedaży gazet i innych artykułów, a tylko przyjmują się zgłoszenia do prenumeraty pism w teczach. Jerzy W. Jeziorski nie rozumie tego. Dlaczego w najbardziej ruchliwym miejscu Łodzi robi się takie kuriozum?

Zwróciłam się w tej sprawie do Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego i otrzymałam zapewnienie, że jest ono gotowe przejąć ten kiosk, który — z obśadą LWP — byłby czynny przez 12 godzin, a być może i przez 24. A zatem?

Janusz Banasiak, członek Łódzkiej Rady PRON, przewodniczący zespołu inicjatyw Społecznych, zadzwonił w sprawie degradacji łódzkich parków. Jako przykład podał Park Helenowski i Park Staromiejski. Sama też mogę opowiedzieć o parku przy ul. Lecznicej, gdzie giną japońskie wiśnie i inne drzewa. Janusz Banasiak proponuje nam wspólną inicjatywę w sprawie ratowania łódzkich parków. Przedstawiłam ją kierownictwu redakcji, które wyraziło zainteresowanie. Szczegóły do omówienia.

Andrzej K. (nazwisko do wiadomości redakcji) opowiedział mi przedwinną historię. Jest on ojcem dziecka szczególnej troski. Takich dzieci w Łodzi jest zarejestrowanych w ZOZ Matki i Dziecka przy ul. S. Jaracza 11 około tysiąca. Mają one oraz ich opiekunowie prawo do bezpłatnego przejazdu środkami miejskiej komunikacji, ich opiekunowie prawo do zakupów poza kolejką. Andrzej K. wyczytał w grudniu 1987 roku w „Głosie Robotniczym”, że od maja 1987 roku dzieciom tym oraz opiekunom przysługuje bezpłatny przejazd na PKP i w autobusach PKS. Chciał sprawdzić tę wiadomość w ZOZ przy ul. Jaracza 11. Tam nikt nie wiedział, więc poradzono, aby porozumiał się z dyrektorem ZOZ Matki i Dziecka — dr Kawiorskim. Dr Kawiorski również nie na ten temat nie wiedział, zasmucił natomiast Andrzeja K. wiadomością, jakoby chciano dzieciom szczególnej troski odebrać i te ulgi, jakie mają do tej pory.

LIST Z LONDYNU

Kogo boją się Anglicy?

Po losowaniu miejsca w grupach do eliminacji do mistrzostw świata w piłce nożnej, które mają się odbyć we Włoszech w 1990 roku, na łamach londyńskiej prasy pojawiły się opinie o polskiej piłce nożnej.

„Daily Mirror” zaprezentowała na ówczesnej stronie wielkie zdjęcie trenera reprezentacji Bobby Robsona i następnie ówczesny tytuł będący cytatem z jego wypowiedzi prasowej: „Dlaczego boję się Szwecji?”. Gazeta słowami korespondenta z Zurichu Harry’ego Harrisa informuje, że trener ostrzegł, że nie Polska, lecz Szwecji powinni się Anglicy najbardziej obawiać. Według niego Szwecja może stać się taką rewelacją, jaką w czasie ostatnich mistrzostw świata była Dania. Dziennikarz „Daily Mirror” przyznał, że takie stwierdzenie może wydać się szokującym dla Polaków, którzy, podobnie jak Szkoci zdołali czterokrotnie przebrnąć najcięższe przeszkody i siłą eliminacji do mistrzostw świata.

Redakcja przywołuje wspomnienie, jak to się wyraża „katastrofy na Wembley w 1973 roku”, gdy Anglia została wyeliminowana z gry w finałach. Oczywiście pada przy tym nazwisko Jana Tomaszewskiego, ale Bobby Robson zaraz ripostuje, że zno-

ra Polaków Gary Lineker, strza-
lec trzech bramek w Meksyku, jest świeższej daty. I w tym chyba zawiera się cała prawda o ocenie „angielskiej” grupy na Wyspach.

Zarówno konserwatywny „The Times”, jak i bardzo poczytny „The Guardian” podkreślają, że trener Bobby Robson ma rację mówiąc, że to Szwedzi będą największym problemem dla Anglików. Zaznacza się przy tym zarówno ogromny postęp skandynawskiej piłki nożnej, ogólnie międzynarodowe piłkarzy szwedzkich, jak i... angielski styl gry Szwedów. Oczywiście trudno jest zapomnieć cios, jakiego doznał Anglia na Wembley w 1973 roku od Polaków, więc przypominają się i to wydarzenia. Jak i 2:0 w Katowicach, które spowodowało wyeliminowanie angielskiej drużyny z finałów i dymisję sir Alfreda Ramseya. Jednak teraz wszyscy odwołują się do wydarzeń z ostatnich mistrzostw, albowiem to może zagwarantować podopiecznym trenera Bobby Robsona jakżeż ważną w rozgrywkach z Polską przewagę psychologiczną.

Trener, drużyna angielskiej zwraca uwagę na brak ograniczenia jego zawodników na stadionach europejskich i przestrzega przed lekceważeniem Albańczyków.

Andrzej K. zadzwonił więc do „GR”, aby dowiedzieć się, na jakiej podstawie opublikowano wiadomość o bezpłatnym przejeździe na PKP i w PKS. Okazało się, że na... podstawie pisma podpisanego przez dr Kawiorskiego.

Proponujemy sprawę wyjaśnić do końca, a dzieciom szczególnej troski nie wolno niczego zabierać pod żadnym pozorem!!

Jerzy Kucharczyk (Łódź, ul. Przedzalniana 102/104) we wrześniu 1986 roku potracił — uważa! — nie ze swojej winy piesze-
go. Sprawa oparła się o kolegium orzekające, które potwierdzi-
ło, że wypadek był spowodowany przez piesze-
go i Jerzy Kucharczyk nie ponosi za ten wypadek żadnej winy. PZU wypłaciło ubezpieczenie, ale potraciło 6000 złotych... jako karę za udział własny.

Istnieje taka zasada w PZU, że kierowca, który jeździł powy-
żej 4 lat bez wypadku ma 30 procent zniżki przy opłacaniu
składek ubezpieczeniowej. Jerzy Kucharczyk korzystał z tej zni-
żki. W rozmowie telefonicznej z urzędnikami PZU przyzna-
no mu, że powinien nadal z niej korzystać, bowiem to nie on
spowodował wypadek. Mimo to PZU przez cały 1987 rok do-
magał się pełnej składek. Ponieważ J. Kucharczyk otrzymu-
je wydruki komputerowe z takim żądaniem, można przypusz-
czać, że w PZU w Łodzi nie wiedzą ludzie, co robi kompu-
ter i odwrotnie. Ale pod żadnym pozorem nie wolno tak trak-
tować klienta. Nawet, a może przede wszystkim w PZU!

Nie obyło się — jak zwykle — bez spraw mieszkaniowych. Zdesperowana Lokatorka z ul. Gdańskiej 42 opowiedziała nam o „sodomii i gomorii”, jaka dzieje się na parterze tego domu. Mieszka tam wesoła panielka, która ma piątkę dzieci. Samo-
rząd mieszkańców pomógł trójkę umieścić w Domu Dziecka, a dwójkę wzięła babcia, a panielka pracuje nad dalszym przy-
rośtem ludności Łodzi. PGM przyznaje rację lokatorom, MO —
nie interesuje się tym. Wesołe nocne życie toczy się bez przeszk-
d. Piękne mieszkanie ulega dalszej dewastacji. Co robić? Kto
pomoc? Kto rozwiąże ten nierozwiązywalny dylemat?

Kazimiera Kubiak (Łódź, ul. S. Przybyszewskiego 67 m 23) od 1984 roku stara się o mieszkanie zastępcze. Jest członkiem
spółdzielni mieszkaniowej i za 3 lata — jak wszystko pójdzie
dobrze — ma dostać mieszkanie. Przez te 3 lata musi jednak
gdzieś mieszkać. Znalazła już 2 puste mieszkania i wskazała je
Wydziałowi Spraw Lokalowych UD Górna. Otrzymała odpowiedź,
że jedno jest funkcyjne, a do drugiego ktoś miał się wprowadzić
w sierpniu 1987 roku. Ale do tej pory nie wprowadził się.
Znalazła jeszcze jedno mieszkanie puste, ale ono okazało się
być dla niej zbyt duże. Są więc wolne mieszkania, ale nie dla
niej. Może naczelnik Górnej wyjaśni sprawę do końca i defini-
tywnie!

Naczelnika dzielnicy Górna prosimy też o odpowiedź dla El-
żbiety Bednarczyk (Łódź, ul. Rzgowska 59 m 15), która napisa-
ła skargę na Wydział Spraw Lokalowych UD Górna. Skarga no-
si datę 16.12.1987 r. Dotyczy pustego mieszkania, które znajdu-
je się obok jej mieszkania. Elżbieta Bednarczyk ma prawo do
dodatkowej powierzchni ze względu na chore dziecko. Potrzeb-
na jest szybka decyzja WSL UD Górna. Ale od sierpnia 1987
roku takiej decyzji nie ma. Już pisaliśmy o tej sprawie w „O-
dłosach”. Po opublikowaniu relacji z reporterskiego dyżuru nie
tylko nie się nie zmieniło, ale Elżbieta Bednarczyk była gorzej
traktowana w WSL UD Górna. Tak więc naczelnika Górnej
prosimy również o szybkie załatwienie i tej sprawy, a także o
powiadomienie nas o pozytywnym — mamy nadzieję — fina-
le.

Może niektórym przedstawicielom administracji w Łodzi da-
coś do myślenia wiadomość nadana w PR tegoż samego dnia,
kiedy miałam dyżur (14 stycznia 1988 roku), że we Wrocławiu
postanowiono załatwiać sprawy od ręki — w urzędach! — a naj-
dłuższy termin ustalono na... 7 dni. I właśnie tego dnia Wła-
dysław Medyka z planą na ustach i ze skróconą nogą doniósł
mi, że stało się to na ul. księdza Brzóska, między ul. Srebrną
a Pojeziorską, gdzie pełno wywł i wybojów. Od 13 lat ludzie
monitują w dyrekcji Spółdzielni „Osiedle Młodych”, aby zrobił
porządek i bez rezultatu. Pardon! Rezultatem jest skrócona no-
ga Władysława Medyki i inne wypadki. I jak tu w Łodzi
marzyć, żeby coś załatwić... od ręki, albo „góra” w 7 dni?

Pan Goździński zaproponował nam opisanie łódzkiego handlu,
gdź dowiadując się on o osłupieniu, że handel przynosi straty.
Jak ma być inaczej, kiedy ciągle przerabia się sklepy,
zmienia branżę, z tradycyjnych robi się samy, a później znów
się je zmienia. Adresami służymy. Handel robi wszystko, tyl-
ko... nie handluje. Zgadamy się i tematem zajmujemy się.

Z rezerwy po moim znakomitym koleźce Ryszardzie Bin-
kowskim, który pełnił dyżur o tydzień wcześniej, pozostała
sprawa Mirosława Mrozowicza z Tomaszowa Mazowieckiego.
Zbiera on dokumenty do emerytury. W latach 1963—1964 pra-
cował w Wojewódzkim Przedsiębiorstwie Usług Technicznych
Spożywczygo Przemysłu Terenowego, które mieściło się w Łodzi
przy ul. Żurawiej 17. Zmienił się podział administracyjny,
przedsiębiorstwo przestało istnieć, znikły archiwa i powstała luka
w życiorysie. Mirosław Mrozowicz prosi o pomoc tych, któ-
rzy mogliby lukę tę zapełnić i zaświadczyliby o tym, że on
tam pracował. Podajemy adres: Mirosław Mrozowicz 97-200 To-
maszów Mazowiecki, ul. Strzelecka 15 m 14. Z góry dziękuję-
my!

BOGDA MADEJ

„Tylko przeznaczenie mogło nas
ustawić w takiej grupie” —
pisze komentator „The Guardian”
— David Lacey. — Trudno jest
rozbić samochody w Tiranie,
bo nikt tam nie ma prawa po-
siadać samochodu prywatnego, a
wzrostanie bólek z autochtona-
mi może napotkać pewne trudno-
ści, ponieważ nie są oni chętni
do podejmowania rozmów z ob-
cokrajowcami”.

David Lacey chyba słusznie
stwierdza, że w obecnej formie
drużyna angielska pod wodzą
trenera Bobby Robsona powinna
wyeliminować zarówno Polaków,
Szwedów i Albańczyków. Angli-
cy, którzy nie cieszą się najlepszą
sławą, jeżeli chodzi o kibiców,
podkreślają gorącą krew nie tyl-
ko albańskich kibiców, ale i gra-
czy. „Partizan” Tirana został wy-

**MAREK
BRZEZIŃSKI**

PORADNIA PSYCHOTERAPEUTYCZNA
pod kierunkiem dr. JERZEGO KAŁUŻYŃSKIEGO

ZAPRASZA:

czwartki 9—12
wtorki 9—12

ZAPISY: Sekretariat TKKF „Jedność” ul. Rzgowska 2A,
tel. 84-93-47.

2382/k

Galon zakończył triumfalnie: dziewczka, ostatnia z dwudziestu dwóch, które użył był na oczach zgromadzonych, zemdlala z rozkoszy. Galon otarł pot z czoła, odwrócił się od tłumu, żeby zdjąć zaczerwiany kondom, dar jego matki. Dużo mu zawdzięczał: mimo mizernej postury, garbu i członka, budzącego w białogłowych pusty śmiech, miał dzięki niemu, dzięki cudownemu Pepegazowi, zrobionemu przed laty przez guślarza Intera Fragran-cesa, sławę, pieniądze i mir od Łaby do Dniepru. Kobiety za nim szalały, zdarzało się, że nie tknięte ręką męską dziewczęta zechodziły i zlegały szczęśliwie na sam widok Pepegaza.

Galon upił nieco wina z dzbanka i pomyślał, że wreszcie może iść do stajni, do ulubionej oślicy, żeby dać upust chuci bez pośrednictwa cudownego kondoma.

Wojowie zgromadzeni przed wielką wyprawą, uderzali wódczyniami w tarcze, dając w ten sposób wyraz podziwu i zazdrości. Dostojny Jędrzej wręczył osobiście Galonowi nagrodę — ciężki woreczek jantaru i białe kożle pici żeńskiej, co mogło też oznaczać aluzję do znanych skłonności Galona.

Był czas wypłaty, toteż nie tylko Jędrzej wręczał nagrodę Galonowi, ale i wszyscy wojowie otrzymywali należny żołd i zaslugi. Wypłaty dokonywał z rozkazu samego księcia Rydygiera Nadwisląńskiego arcyplacnik, Mikołajczyk, zwany wśród rycerzy „święty Mikołajczyk”. Płacił zgodnie z zasługami, urodzeniem i pozycją — hojnie komesom i hospodarom, złotem i kamieniami. Osobliwie namieszniom i porucznikom a także chorążym — srebrzem, bronią, bydłem. Skapo pospółstwu, glermkom i ciurom: miedzią, jeno, suszoną rybą i wędzonym mięsem.

A wojów i ludu zebrano się, że nie zliczyć. Wielka miała być wyprawa i lup niemały. Kto przeto łeb z wojny wyniesie cały, ten do końca życia będzie opływał w dostatki i a piękne niewolnice w dowolnej ilości przywiedzie, aby je chędożyć wedle woli.

Uwaga! Lektura tylko dla ludzi posiadających
poczucie humoru!

Librorum index

Chędożenie bowiem, jak mawiał przybyły z dalekiej, zimnej wyspy wędrowny handlarz: „Is only hobby for Polish man”.

Z grodu Łódzia była drużyna zająca: na przedzie stał komes Krzysztof, Pogorzałem zwany, bo mu Hunnowie sadybę na popiół spalili. Obok niego na pysznych rumakach groźny Zawira i Henryk Cisawy, najbliżsi jego druhowie i współwojownicy. Dalej krwiożerczy Fiedosiej, aż zza Bugu przybyły, namiesznik komesa. Dalej rycerstwo — potężny Galeba, Woldan kędzierzawy, śmigły Filan, Majda mocny i w zapasach, i w gębie. Batorowicz z Siedmiogrodu, Smoleń — postury podłej, ale wielkiego „ducha wojownika, Sawiuk — łucznik przedni, Filipiak z Konopii, chytry jak Ullases Gosczyń, Strzępa, zdrobniale „Strzępkim” zwany, prawy Pilich i lewy Karbowiak, straszny Darzycki, co mu się darczy, Michoń, wreszcie orszak zamykający Borowczyk i Bańbura.

Z lewej strony panakomesowej drużyny orszak pięknej, kručzącej Walendy, co nie chciała Niemca. Przy niej najwiewniejszej Szel, trzymający w dłoni plemienną chorągiew „Jagoszów” — patrona ich zemi i ludu. Walenda krzyknęła: Stefko i Babil, do mnie! Wnet przybieżeli dwa męża wspaniałe. Za nim glermkowie nieśli w lektycie wieszczka i proroka plemiennego, Markuna. Za lektycą — pozostałe rycerstwo, jako to wytrwały, zwinny Wróbel, zwalsty Anuś z Rzymanowa, sędziwy, siwowloty, ale krzepki jeszcze Tulko i inni wojownicy a ciury. Z dala od nich trzymał się najemnik Grun, z Junna przybyły. Rudowloty, ponoc sropony wielce, że i samemu Galonowi sprostają. Siedział na koniu niedbale, barykę sporą w dionach piastując.

Tuż obok drużyna Lewasza. Mniej liczna, ale też wielkimi wojownikami słynąca. A to gracz nad gracz Panas rzadkobrody, z Litwy aż przybyły, a to Nonas zuchwały, a to i inni, z różnych ziem się wywodzący. Nie brak wśród nich nawet Sasa i Lechal Groźny w walce Ceglarz, smukły Palka, przybysz z kraju Teutonów von Uchman zlotowłoty, Beck, Kubik i Wesolowski a Pabianie.

Tuż za nimi mniejsza, pomocnicza chorągiew: jedną dowodzi niepokonany Pawlak, przy nim Płatek z bojowym smakiem „Drygas”, dalej Ibis, smukła, delikatna grafianka Brzózka. W należytą za nimi odległości ciura drużyny, niejaki Badziak, kręcący korbą podręcznej karuzeli.

Tuż obok tych meżów ponurych a zaseponionych drużyna Lucjusza Włodka. W niej trzech straszliwych braci Lewandów. Znani z tego, że w bitwie tylko pytają: „Lucek, prać?” — a przyzwolenie otrzymawszy, sieją postrach we wrogich szeregach. Dalej hospodar Iwanicki Groźny i także ze wschodu, zmad Strępa przybyły, Karol Józef, przebiegły Dorożka, wielki straszny Madaj, „Zbójem” też zwany. Złotowłoty, dziecko przypominający Galasa, brodaty Binko i samym widokiem wrógów odrzucający Makocha Majcher. Z tyłu glermki: Borowy, Retman, Karol, Porowaty.

Na samym końcu tabory. I w nich nie brak dzielnych wojowników: oto Kałużka z Krzyżówki, oto i inni meże spod znaku „Sagan”, jakim się tabory odznaczają. Z nimi dwie markietanki — Zofka i Bożenka. Przy markietankach — jak zwykle — uczo-ny Ciesonik, w kaiegach bieglę.

Przy taborach znaczny jeszcze hufiec grafa Kucaba i niewielka, ale bardzo karna i bystra drużyna komesa Menowala, bystro po szeregach poglądnąca, czy się w nich jakoweś wszeteczeństwo albo i zdrada nie zalega.

Oto hetman Misiewicz na naręczną klepsydre spogląda. Czas! Daje znak butawą. Zagrały trąby i piszczałki, huknęły bębny, zawarczały werble orkiestry pod dyrykcją Henryka Debicha i szeregi drgnęły. Wielki pochód ruszył. Wzdłuż karnych kolumn przebiegali gońcy margrabiego Kusiaka. A nad szeregami wznosił się tuman kurzu i okrzyk wojenny: Prasa! Prasa! wznoszony przez sługęby chór wojów...

(fragment większej, zdecydowanie większej, całosci, liczącej 8 tomów. Z prologiem)

ANDRZEJ KAROL

1 Pod prąd

I na dodatek nie pije!

Przyjaciel mego syna ma wielki problem: co zrobić z pieniędzmi? Nie z powodu zapowiedzianej podwyżki cen i powszechnych obaw, iż posiadane złotówki znowu stracą na wartości, ale — tak w ogóle. I to już od kilku lat.

Chłopak jest po studiach politechnicznych i nieźle zarabia, co w równym stopniu zawdzięcza swoim zdolnościom, wiedzy i pracowitości, jak i tak zwanemu szczęściu. Trafił bowiem od razu do takiej pracy, gdzie w miarę cen się te jego zalety oraz — płaci za konkretną robotę, nie zaś głównie za podpisywanie listy obecności, czego w wielu instytucjach nie udało się do tej pory jakoś wykorzystać, mimo ogłaszania kolejnych etapów reformy gospodarczej. Zawsze ma więc pełny portfel i jeszcze te parę tysięcy miesięcznie mógłby spokojnie odłożyć. Zdawałoby się zatem — nie tylko skakać z radości, a chcąc zapewnić sobie coraz to wyższy standard życia, starać się zarabiać jeszcze więcej. Tymczasem ów młody człowiek chodzi z nosem spuszczonej na kwintę i zastanawia się co zrobić z tą cholerną farsą, bo tak po prawdzie — mówi — to nie ma jej na co wydać.

A sprawa wygląda tak: do żarłoków nie należy, nie przepuszcza więc wszystkiego przez żołądek ani w domu, ani w lokalach gastronomicznych, do których z różnych względów (głównie estetycznych) raczej niechętnie zagląda. Ubrała się dobrze, można by nawet rzec — elegancko, acz z umiarem. Jak to się mówi, ma swój styl i owezuemu pedowi za wszelkimi nowinkami w modzie męskiej nie ulega. Zony, kochanek i dzieci nieślubnych nie posiada, co przesądza o tym, że może myśleć głównie o sobie i rodzicach, w mieszkaniu których zajmuje jak za szkolnych czasów mały pokój. Daje im co miesiąc „trochę grosza” na czynsz i tak zwane życie, czasem sprawia prezenty z okazji i bez, a mimo to wciąż jeszcze pozostaje mu sporo złotych do wydania.

Gdyby miał samodzielne mieszkanie, to co innego. Kładby może w nim parkiety, boazerie, glazury, wieszal musiećne żyrandole, załatwiał meble ze Szwajcarii. Przynajmniej przez parę lat miałby konkretny cel. Niestety, w spółdzielni powiedziano mu: jeszcze co najmniej dziesięć lat — jak dobrze pójdzie. No i po kłopotach: mebli na zapas nie kupi, gdyż nie ma ich gdzie trzymać i nie wiadomo, co wejdzie do oczekiwanego kawalerki; innych dóbr trwałego użytku, jak pralka, lodówka, zamrażarka — również nie, bo u rodziców jest wszystko, co potrzeba, a poza tym — jak wyżej. Nawet z książkami jest problem, ponieważ półki w ciasnym pokoju są już całkiem zapelnione. Zresztą, czy warto ładować tyle w papier? — mówi. — Nie jestem snobem i nie muszę mieć wszystkiego, co się ukazuje. Do tego, co naprawdę mnie interesuje, zawsze potrafię dotrzeć.

— A kolorowy telewizor? — pytam.

— Pewnie bym już sobie kupił, choć i bez niego można spokojnie żyć, ale niech pan powie, gdzie? Bo łapówek dawć nie umiem, a spekulantów nie zamierzam wzbogacać.

Z powodu braku kolorowego telewizora odpada także magnetowid. Komputer nie jest mu akurat w pracy potrzebny, na gry zaś nie ma czasu. Sportów takich jak narciarstwo, żeglarsstwo nie uprawia... Wy- cieczki zagraniczne? Chłopak był już u sąsiadów, na Węgrzech, w Bułgarii. Dalej się nie wybiera, gdyż potrzebne na to są dolary, a on zarabia w złotych.

— Ale samochód na pewno by ci się przydał, prawda? — pytam innym razem.

— Samochód tak, tylko że przy tak szaleńczej rosnących cenach nie mam żadnych szans uskładać na własne potrzeby kół-

ka. Skończyły się czasy, kiedy można było z pensji, z uczel- wie zarobionych pieniędzy kupić auto. Zresztą nowego po „państwowej” cenie nie dosta- ne, bo gdzie.

Najgorsze jest to, że chłopak został za dobrze wychowany i brzydzi się wręcz kombinator- stwem, cwaniactwem, pokątnym handlem, spekulacją. Jest za uczelwy. Potrafi też liczyć i mi- mo młodego wieku, wie dobrze czego chce. Nie toleruje roz- rzutności, marnotrawstwa. No i, niestety, nie pije.

Bo gdyby pił, sprawa byłaby bardzo prosta: raz i drugi „ru- szczyby w tango”, postawił ko- legom... Ani by się obejrzał, jak portfel stałby się pusty. Wystarczy spojrzeć na wielu jego rówieśników, którzy w ten właśnie sposób rozwiązyali sku- tecznie problem nadmiernej go- tówki. Niektórzy „nowocześ- niejsi” poszli w narkotyki... Je- szcze inni — w gry hazardo- we, panienki...

Czasem myślę, że dobrze, iż takich, jak przyjaciel mego sy- na nie ma w Polsce zbyt wie- lu. Nie daliby sobie rady, nie wytrzymałby konkurencji z ca- łą resztą porządnym, uczel- wych i gospodarnym obywateli- naszego kraju.

JÓZEF
RETMAN

2 Lewym okiem

0 zerowaniu

W dniu 6 stycznia młody re- daktor Teleexpressu powie- dział w oparciu o statystykę, ile to wolnych miejsc pracy o- cekuje na ludzi szukających pracy, ilu jest tych poszukują- cych, a ilu takich, którzy ani nie pracują, ani pracy nie szu- kają. O tych ostatnich popular- ny redaktor powiedział, że wraz z kilkoma milionami eme- rytów i rencistów żerują na ciężkiej pracy siedemnastu mi- lionów zatrudnionych.

Tak więc jako emeryt i ren- cista zostałem wspólną krechą podsumowany wraz z chuliga- nami, obibokami i niebieskimi ptakami, co nie sieją i nie orzą, a ojciec niebieski żywi je. Oczywiście jest to raczej ojciec autentyczny.

Popularnego redaktora Tele- expressu ktoś powinien pou- czyć, jeśli sam się tego nie do- myśli, że emeryci i renciści nie żerują na niczyjej pracy, eme- rytom i rencistom przez dzie- siątki lat potrącano z ich zarob- ków bardzo poważne kwoty po- to, żeby je potem odebrali w formie emerytur, kiedy już siły nie nadają za wymaganiami rzeczywistości. Odwrotnie — bardzo wielu obywateli umiera przecież w wieku produkcyj- nym, jeszcze więcej żyje nie- długo po przejściu na emery- tury i zdają wykorzystywać tylko maleńką część tego, co im potrącano przez całe życie. Można więc powiedzieć, że całe społeczeństwo żeruje po trosze na nich właśnie, na ludziach, którzy swoich emerytur nie wykorzystali i obciążeni kwotami poszły do wspólnego kotła.

Stosunek liczby emerytów do liczby pracujących w naszym kraju jest mniejszy niż w roz- winiętych państwach zachod- nych, gdzie na emeryturę prze- chodzi się wcześniej, a skład demograficzny ludności wyka- zuje większy udział ludzi star- szych niż u nas. Przestańmy więc mówić o żerowaniu, bo to i nieuczciwie, i pozbawione racji.

Teleexpress jest pozycją przeznaczoną dla młodzieży, może dlatego jednym tchem, jednakowym tonem i z jedna- kową zadyszką i z galopującym pospiechem informuje o kata- strofie w kopalni i o nowej płycie estradowego idola. Ta- kich pozycji adresowanych do młodzieży jest w telewizji wię- cej — i dobrze. Czasem jednak nie potrafią się one ustrzec prześmiewania.

Niedawno odbyła się przed kamerami telewizyjnymi re- dyserowana niewątpliwie dyskusja z młodymi o tak swanych per- spektywach młodzieży. Jest to temat nieomal diużurny i stako- wany ze wszystkich stron. Je- dem z uczestników tej dyskusji, młody intelektualista w okul-

rach, powiedział z wielkim przekonaniem, że „wszystkie funkcje i wszystkie lepsze po- sady zajmują starzy, którzy wcale nie są lepsi od nas, oni są gorsi, oni — są głupszy, oni wiedzą znacznie mniej niż my młodzi” i dalej w tym tonie, który zresztą stanowił ton wio- dący w całej dyskusji. Jestem przekonany, że ci sami ludzie za sześć, siedem lat zdziwią się niepomniernie, kiedy usłyszą od swych młodszych braci, od rocz- ników idących za nimi, że to oni są starzy, którzy niepotrzebnie zajmują miejsce i przeska- dzają tym najmłodszym. Ale mniejsza z tym.

Chcę tylko podkreślić, że mi- mo całej niecierpliwości młodzie- ży, to przecież generalnie jest zawsze starszy wiekiem od ka- prala, a biskup od kleryka. Tak jest, tak było i tak chyba po- winno pozostać. Gdyby życie zawodowe zaczynało się od ob- jęcia wysokiej kierowniczej funkcji, a potem stopniowo o- padało w dół to doprawdy cały żywot ludzki straciłby resztę uroku. Co oczywiście nie ozna- cza, że nie przychodzi wreszcie moment zależny od indywidual- nej kondycji fizycznej i umy- słowej, kiedy powinno się już przejść na tzw. zasłużony odpoc- cynek. Zareczam młodym gniewnym, że jest to w 90 proc. odpoczynek naprawdę zasłu- żony.

I niech nikt już wtedy nie mówi o pasyżniczym żerowa- niu na pracy ludzi sprawnych. To jest po prostu sprzeczne z moralnością laicką, katolicką i każdą inną.

WŁODZIMIERZ
KRZEMIŃSKI

3 Sport Czary i zabawy

Katowicki „Sport” i Redak- cja Sportowa Polskiego Radia wystąpiły z inicjatywą, aby wszystkie ważniejsze mecze piłki nożnej odbywały się na Stadionie Śląskim. Stadion ten wymaga wprawdzie remontu, ale zdąży się go zrobić do czasu ważnych spotkań w ra- mach eliminacji do mistrzostw świata. „Sport” przypomina dzieje tego stadionu oraz i to, że był on dla polskiej piłki nożnej... szczęśliwy. Cytuje też opinie piłkarzy, w tym Zbigniewa Bonka, że na tym sta- dionie panuje niepowtarzalna atmosfera, że nawet na wspomnienie tego jak 100 000 ludzi śpiewa „Jeszcze Polska nie zginęła” skóra na grzbiecie dretwieje. To wszystko prawda. Mamy już w Polsce jeden stadion do niczego, myślę o beczynnie niszczą- cym Stadionie Dziesięciolecia w Warszawie. Ale...

To prawda, że na tym Sta- dionie Śląskim Polacy wygrali kilka ważnych meczów. Ale ponieśli kilka porażek. O po- razkach się szybko zapomina. A porażkę ponieśli Polacy na otwarciu stadionu. Stało się to 22 lipca 1956 roku. Na inau- gurację rozegrano mecz z NRD. Polacy powinni byli wygrać. Przygotowano nawet puchar pamiątkowy dla pierwszego Polaka, który na tym stadio- nie strzelił pierwszego gola. I strzelił. Samobójczego. Pucha- ru nie dostał. Polacy zresztą przegrali dwoma golami z NRD i sami nie strzelili ani jednego. Tak, że z tym szczę- ściem Stadionu Śląskiego nie ma co przesadzać.

Poza tym nie można dzielić stadionów Polski na ten je- den, jedyny, wybrany i na ca- łą nie liczącą się resztę. Myślę, że kibicom Warszawy, Krakowa, Poznania, Łodzi, Wrocławia też należy się szan- sa obejrzenia dobrej piłki noż- nej przynajmniej w wykonaniu przeciwników. Różne prze- cież mecze będą rozgrywane przez nasze reprezentacje. Można więc utrzymać wysoką rangę Stadionu Śląskiego i nie zubażać innych stadionów. I warto też pamiętać, że urok i niepowtarzalna atmosfera Sta- dionu Śląskiego mogą polską piłkarzom pomóc, ale nie za- stąpią niezbędnych umiejęt- ności, kondycji i formy. O to muszą się sami starać.

Mam nieodparte wrażenie, że nad naszym sportem doko- nują się nieustannie jakieś czary, które mają zastąpić nie- zbędną pracę. Oto na przykład PZPN poczarował sobie trochę i zakazał Janowi Furtkowi i Jerzemu Wijasowi zagranicz- nych wyjazdów. Katowicki GKS, którego zawodnikami są obaj piłkarze, ani się tym przejął. Jan Furtok grał w Oldenburgu w turnieju halo- wym, a Jerzy Wijas jeździł do Rumunii z GKS jako... tury- sta. I PZPN milczy. Czarnowi- cy z PZPN swoje zrobili, resz- ta się nie liczy. Ale reszta jest rzeczywistością, którą wniki- wie obserwują kibice i która im się coraz bardziej nie po- doba.

Ireneusz Adamski z Torunia — nauczyciel i sędzia piłkarski — pisze pracę magisterską na AWF. Dla potrzeb tej pracy przeprowadził wśród trenerów I i II ligi ankietę, zadając im wiele interesujących pytań. Na przykład, czy potwierdzają, że w klubach są „lewe pienią- dze” i co o tym sądzą. Otóż wszyscy pytani potwierdzili, że w klubach są „lewe pienią- dze”, a dalej uznali je za po- trzebne, gdyż służą:

1. do uzupełniania sum transferów między oficjalną a uzgodnioną,
2. do kupowania punktów u partnerów,
3. do dodatkowego premio- wania zawodników i trene- rów,
4. do kupowania zagranicz- nych leków i odżywek.

Czy zatem „lewe pieniądze” nie mogłyby się stać oficjal- nymi? Skoro wszyscy wiedzą, że są, to po co wszyscy go- dzą się na tolerowanie fikcji?

W tej sytuacji już nie dziwi pogląd niemal powszechny wśród trenerów, że celem gry jest zdobycie jak najwyższej ilości punktów, za które do- staje się pieniądze, że nawet trenerzy godzą się brać udział w kupowaniu meczów, a nor- malną rzeczą jest, że w pro- cederze tym biorą udział pił- karze, ich żony oraz działacze. Nie wstrząsnęło mną przyna- nie się trenerów, że wpuszcili- by do gry zawodnika, którego lekarz uznałby za niezdolnego do tej gry, ale trener nie ma pod ręką innego, który — jego zdaniem — mógłby go zastą- pić. Takich wypadków zdarzy- ło się już sporo, później pił- karze musieli długo się leczyć, jak to choćby było niedgys z Wiesławem Wraga.

Ale co z takiej ankiety wy- nika? Pożytek dla Ireneusza Adamskiego z Torunia niewą- pliwie, bo jego praca magister- ska zyska na jakości. Dla pił- ki nożnej w Polsce? Nic, bo i tak o tych sprawach od daw- na wróble ćwierkają na da- chach i płotach stadionów. Co wrażliwsi działacze odpędzają tylko wróble, żeby im nad głowami nie ćwierkały. Ot, ta- ka sobie nieszkodliwa dla ni- kogo zabawa.

We Wrocławiu natomiast ba- wią się pysznie. Toczy się tam proces z powództwa Ryszarda Tarasiewicza przeciw Januszowi Atlasowi, który był napi- sał, że piłkarz wrocławski włożył miał zaplecione w war- koczyk i kolczyk w uchu. Ja- nusz Atlas przyznał, że sam tego nie widział, a jedynie po- słyszał na „dziennikarskiej gieldzie”. Jego świadkowie: Stanisław Garcarczyk z Poz- nania i Jacek Zegadło z Ka- towic w zasadzie potwierdzi- li, że „gdzieś dzwoniło”, ale nie bardzo wiedzieli gdzie. Jacek Zegadło widział we Wrocła- wiu, jak Ryszard Tarasiewicz miał coś błyszczącego w u- szach, ale czy to był kolczyk, tego nie potrafił powiedzieć. Natomiast Stanisław Garczar- czyk słyszał od Wojciecha Ła- zarka, że jakiś piłkarz przyje- chał z warkoczykiem, ale nie odnosi tego do „piłkarza T.”, jak napisał Janusz Atlas.

Natomiast świadkowie Ry- szarda Tarasiewicza: Paweł Król i Waldemar Prusik oświadczy- li, że trener Wojciech Łazarek nie miał od tego piłkarza żad- nych pretensji w związku z jego ubiorem. Ryszard Tara- siewicz zaprzeczył, aby miał się ubierać szokująco, a po felietonie Janusza Atlasa na różnych boiskach kibice wy- krzykują teraz: — Pienienka, gdzie są kolczyki!?

Sąd rozprawę odroczył, gdyż musi jeszcze przesłuchać Woj- ciecha Łazarkę.

Czary i zabawy trwają.

BOGDA MADEJ

W drodze powrotnej z WC robię rundę zapoznawczą po gwarnych salach hotelu. Mój czas stanął w miejscu. Charterowy jumbo pozostawił za sobą Zatokę Świętego Wawrzyńca w Kanadzie, w tej chwili zbliża się do Nowego Jorku, stewardesy serwują cienkie śniadanie, mój skarb, niewinność, spłonięty w komorze bagażowej tego słońca przestworzy. Dopóki nie otrzymam go z powrotem, wskazówki mego zegarka będą stać w miejscu, na przeciwnych biegach. Nie wiem tylko, którą jestem ja: dużą czy małą. Dylemat chwili. Jestem nożycami rozwartymi w próżni. Hotel „Kalaštatorppa”. Trzy mile od centrum miasta, dwanaście od portu lotniczego, las, skały, mech, granat morza. Widywałem lepsze hotele. Do jakiej sali by się nie weszło? Czerwonej, Okrągłej, Balkonowej, Kolumnowej, Morskiej, Złotej — nie licząc gabinetów na prywatki — nie sposób nie podziwiać. Dobrze mnie pan dyrektor Kauko Uusitalo ulokował. Jest tu kasyno gry!

Obstawiłem cztery razy pod rząd nieparzyste czerwone numery transwersale simple, cztery razy pod rząd przegrałem. Wygrywają czarne carre, czerwone douze — na przemian, wiecznie wygrywać nie będą. W ruletce obowiązuja trzy zasady: wydzielisz sobie z góry określoną kwotę na przegranie, grać nisko, być wiernym polom Zasady pierwszej łamać nie wolno nigdy, druga cechuje hazardystów niedzielnich, do trzeciej należy podchodzić jak do kobiety, której nie chce się stracić: raz tak, raz inaczej. Ile jest cztery razy cztery, cztery cztery? Jest sześćdziesiąt cztery suomen markkaa, czyli około szesnastu dolarów, mogę grać dalej. Są jeszcze zasady osobiste, ściśle tajne, wydumane w oparach nieprzespanych nocy, nie zdradzane nikomu, zasady — szósty zmysł Napoleona spod Austerlitz; jest zasada rozsady zasad nie przewidziana przez regularnego przeciwnika, przynosząca w ostatniej chwili drugą zasadę zwycięstwa, zastrzeżone jednak wyłącznie dla Napoleona; geniusze młodsze kalibru, od których przy stole gry się roi, stosując ją, wychodzą na tym jak Napoleon, ale ten spod Waterloo. Perkele! — podobą mi się to przekleństwo. Cały świat kłnie po angielsku, bez polotu, warto było przyjechać do Finlandii.

Perkele, znowu przegrałem, ale to żaden dramat, bo gram niewysoko, żeton z poczwórą stawką trzymam w odwodzie na czas ofensywy. Rekonesans prowadzi się małymi siłami. Sztuka hazardu. Zdaniem Davida wszystko w życiu jest hazardem, rzecz w tym, że nie każdy zdaje sobie z tego sprawę. Jest w tym trochę racji. Tak się złożyło, że lata gimnazjalne spędziłem w małym miasteczku w stanie Kalifornia. Nazywało się Sleeping Valley i tak jak się nazywało, takim było. Dla kogoś przyzwyczajonego do drapaczy chmur Wschodniego Wybrzeża było podwórką wieżownicą. W Spłającej Dolinie były kina, kościoły, drugstore'y, discobudy, hoteliki, lecz dokąd by się nie poszło widywało się te same twarze: zleniwiałe, rozpruty, rozrywka dla chłopaków żądnych silniejszych wrażeń było wypuszczanie się na highway gratem z demobilu, kupionym za parę dolarów i „przyklejanie się” do markowych limuzyn prowadzonych przez ładne dziewczyny. Zabawa ta zamieniała często myśliwych w zwierzęta, bo obiekty pogoni same zjeżdżały na pobocza i szukały szczęścia, ale wówczas było to jeszcze odkrywaniem świata. Kończyło się różnie, dla mnie, trzymanego krótką w tych sprawach ręką, majakami nocnymi, gdyż w sytuacjach podbramkowych, kiedy biała flaga windowała się na maszt, brakowało mi odwagi. Puste to, a jak pokrzywione, gdyby na przykład nie przedsięwzięcia Gundborg, noc wśród starej porcelany miałaby może inny przebieg. Pasywność. Pociąg, na który zawsze zdążyłem, nie lubię w tych sprawach popiechu, a już w ogóle wyskakowania w biegu. Na eskapadach tych dokonałem ważnego odkrycia: one, te nieostagane w wyobraźni chłopaków królowe, w bajki, chcą tego, bardziej od nas, tylko nie mają odwagi! I jeszcze jedno: Marzenia sennie a'la Jane Fonda kapitulowały najszybciej, natomiast kury domowego chowu z matych dzur, jeżeli nie naciskały z piaskiem na gaz, chciały najpierw powdychać przy księżycu, gdy rzecz w czymś tak prozaicznym. Szczęście, jak powiada David, lubi odważnych, ale z mojego doświadczenia wiem, że zmęczone, wyczerpane, na chętnego staje się uleglejsze. Nieco doświadczenia, a jak! zyski!

Douze płać dwa za jeden, transwersale simple — cztery, carre — siedem, cheval — siedemnaście, plein — trzydzieści pięć. Trzydzieści pięć razy iks równa się milion.

Taktyka ostrożnego rekonesansu skończyła się, teraz trzeba sprintem. Przeliczając na okosty żetonów, splecione przy mnie wygr... nie mów hop, półki nie przeskokasz. I nie szukaj podpórki w darmowym alkoholu serwowanym w kasynach, oni wiedzą, co robisz! Nie, dzięki, mówię kelnerowi. Stojąca obok mnie wieczorowa suknia pyta grzecznie po niemiecku, czy nie będę miał nie przeciwko obstawieniu przez nią moich numerów? Jestem pochłonięty zimnym rachunkiem. Komputerem bankowym jestem nie człowiekiem. — Nie boże! pan miał nie przeciwko temu? — ponawia suknię, tym razem po angielsku.

Proszę znaleźć mężczyźni, który mając

szczęście w grze nie byłby wielkoduszny wobec

plekności w wieczorowej kreacji. Robię jej więc

mej miejsca. — Ależ proszę, szanowna pani, to

Przedruk w całości lub we fragmentach zastrzeżony.

Matnia

7

LEONARD

dla mnie zaszczyt — odpowiadam przekornie, tym razem po niemiecku z moim zuryjskim akcentem, z powodu którego Niemcy biorą mnie często za Bawarczyka.

Wieczorowa suknie przepłata czarnymi smokami śledzą mnie i z podziwem, i z zazdrością. Nie mam nie przeciwko temu. Pochłania mnie gra. Nie podnoszę oczu z pola bitwy, nie interesują mnie wydekoltowane kreacje, zajęty jestem problemami strategiczno-taktycznymi: zatrzymać się przed Rubikonem, po raz trzeci zaatakować niepatrzyste bastiony cheval i plein czy rzucić wszystkie siły przeciwko zdobywanemu dotychczas na próżno przez innych bunkrowi Zero? Jak postąpiłby David? — pytam siebie wiedząc, że i on, i Cullinan poszliby na pełny gaz — Mesdames et messieurs. Mesdames et messieurs... — nawołuje krupier. Noc jest piękna, woda w zatoce dobra do kąpie- li. Tak, oni zarzuciliby na duże ryby. Na głębokie by poszli. Więc c'est la vie! — śmieję się i obstawiam koronę stołu. Moim śladem, nieczym wierny pies sunie po zielonym suknie, nagle ramie kobiety skapanie w jeziorze Chanel, Le de Givenchy, Yves Saint Laurent, Nina Ricci — nie wiem w którym, nie znam się na perfumach. Alabastrowa szyja łabędzia. Wdźwięk wymodelowany w górą kończyny tego królewskiego ptaka podają moim śladem, nieprzypadnie poddany, przyklejony do mego ramienia; gdybym był mężem ptaka, do którego należał, nie czułbym się pewny siebie. — Nichts geht mehr! — oznajmia krupier. — The end! — Furkot kuli ginie w oszalałym wodospadzie rocka wlewającym się do kasyna z sali dancin- gowej. Roulette — piękny jest francuski język. Je l'aime, mademoiselle Roulette! Nie interesuje mnie marszruta kuli na obrotowej tarczy, czy w ogóle stanie i gdzie, czy też posybieje od razu na księżyc. Jestem po drugiej stronie Atlantyku. Lubie widok lądujących gigantów powietrznych, od dziecka było to dla mnie przeżyciem. Mój ojciec, on mnie tym zaraził. Technika lotnicza osiągnęła szczyty, ale powrót na ziemię, pomimo elektroniki, całej zwirowanej automatyki jest, jego zdaniem, nadal sprawą pilota. Ojciec zawsze ocenia człowieka siedzącego przy sterach po sposobie posadzenia maszyny na pasie lądowania; stara gardła, towarzysza lotnicze, pozbawiając się ich jednego po drugim, wiedzą, co robią. Wymiana pokoleń. Naturalny porządek rzeczy niezbędny dla postępu. Wystrzeliwuje się rakietę na odległość tysięcy mil, samonaprowadzając się na cel z dokładnością do paru jardów; pilot dzisiaj to przeżytek. Ale samoloty — kończy rozmowę na ten temat — nie mają spadać jak bomby, lecz ślady ze swoimi delikatnymi jaskami w kadłubie, a to różni! Ciekła argumentacja, z tymi spilirowcami naprawdę czas do lamusa. Mój charterowy jumbo ślady na nafaszerowa- nym elektronika betonie na pewno za pomocą pilota automatycznego, ślady jak ta lala, wy- traca małe statycznie przedkość, kołuje do terminalu. End of the Flight. Niedługo zacnie się przeprowadzka mego bagażu z samolotu do głównej komory tranzytowej, formalności, stamtąd przerzut do terminalu SAS, koniec o- dysei. Lotnisko Arlanda w Sztokholmie zaj- mie się dalsza droga. A prawda, Sztokholm, zupełnie o niej zapomniałem, o niebieskich kieszonkach też. Spłonięty. O tej porze nocy porządnie kobiety śpią, problem tylko z kim, reszta nie ma znaczenia. „Porządnie”, „niepo- rządnie”, mężczyźni miewają złudzenia, szcze- gólnie ci skazani na jedną kobietę. Zaprzęta- nie sobie tym podziałem głowy bywa począt- kiem nieszczęścia. Nie otyd. Słowa są słowa- mi, ulotnym dźwiękiem, kobiety mają ich w zanadrzu zawsze spory zapas, wyobraźnię ma- ją też. Passe. Manque. Impair. Pair. Wielka Seria zero-dwa-trzy. FINALE! Kula zwalnia wirowanie na obrotowej tarczy podzielonej na trzydzieści siedem czerwono-czarnych prze-

gródek, nie widzę tego, a słyszę. Kula — ra- czownik rodzaju żeńskiego. Łabędzia szyja z brylantami na palcach zacisniętych na kra- wędzi stołu demerwuje się. Niepotrzebnie, u- rodzilem się w czepku, na ojca wybrałem sobie asa lotnictwa myśliwskiego, nie może być klapy przy lądowaniu. Jeszcze sekunda, a roz- bijam banki w Monte Carlo, Hongkongu, w Dallas, w Kalaštatorppie. I co dalej? Mój ty Panie, znowu jestem do przodu! Stosy żetonów uklepane w szczyt Mont Blanc nie pytając ni- kogo o zgodę, głuche na jęk zawodu, ślepo suna ku swemu wybrańcowi. Fortuna nie zna się na demokracji, jak się na kogoś zdecyduje, to na całego. Niech więc mnie sobie bierze. Głęboki oddech, uśmiech tu, uśmiech tam, zerknięcie na zegarek — ach, jak ten czas leci! — czek kasjera do kieszoneczki!... Tak, spłacam Davida, nasza niepisana umowa stoi mi ością w gardle; po drugie zmieniam prze- poconą pod pachami koszulę, po trzecie kąpie się w basenie Chanel, Le de Givenchy, Yves Saint Laurent, Niny Ricci, czysty jak iza i pachnący ide spać. Spać za wszelką cenę.

Nie wierzę, aby telefon rodziców nie był na podsluch; telefon odpada, muszę napisać. Po- winniem być zrobić to z Paryża, zaraz po spo- tkaniu z Davidem i na wszelki wypadek list wysłać na adres Helen. Rodzice powinni znać moją sytuację, która nie jest tak zła, jak im się wydaje, muszą przestać zamartwiać się moi- mi warunkami materialnymi; nie potrzebuję od nich ani centa.

David przepowiada mi wielki sukces. Temat jest oklepany, szczególnie po ukazaniu się książki „The Company”, która bezlitośnie obna- żyła flaki firmy, a jednak w moim ujęciu nowy: ciekawa forma zapisu, nowatorstwo warszta- towe, zręczne wyważenie akcentów dramatycznych, całość, jak dotąd, pomimo wprowadzenia dwóch wątków pozornie nie wiążących się — pisanie książki w księżce — trzyma się kupy. Pisz wszystko, co wiesz o tych draniach, nie oglądaj się na boki, resztę, zgodnie z umową, zostaw mnie. Nie wiem, na jakich przesłankach David opiera się widząc w mojej księżce materiał na bestseller. Materiał — zaznacza uczciwie. Rynek księgarski zalany jest dziełami demaskującymi aparat władzy kraju. Na tapcie znalazły się Biały Dom, wywiady i służby bezpieczeństwa, ich zbrodnie, machinacje, spiski, nie oszczędza się najwybitniejszych nazwisk. Afera Watergate dała upust długom hamowanym emocjom. Spo- wodowała erupcję jeży krwii. Po ukazaniu się „The Final Days” Carla Bernsteina i Boba Wo- odwarda i nakreconego na kanwie tej książki filmu „All the President's Men” nie wiem, czy zapotrzebowanie publiczne na te brudy nie zo- stało ostatecznie zaspokojone, jeśli nie przesyco- ne. Zbrodnia wstrząsa — to naturalny odruch obrony człowieka. Szyderstwo z prawa, ze świętości przypływa o wściekłość. Świadomość władzy operującej się na nadużyciu władzy przeraża. Ale konstatacja bezradności wobec takiej władzy obezwładnia. To punkt krytyczny, po przekroczeniu którego zaczyna się równia pochyła, droga do celu. Życie przechodzi w fa- zę wegetacji, świadomość życia w społeczności ludzkiej w beżmyślny instykt stada. To jeszcze nie apatia, nie głuchota na dzwoni alarmowe, nie bierność wyczekiwania na nóż rzeźnika. Ta faza jest albo tak daleka, że jeszcze niedos- trzegalna, albo amerykańskiemu duchowi tak obca, że niewyobrażalna, a tym samym bardziej realna niż się wydaje. Zapotrzebowanie na po- lityczną literaturę demaskatorską jest zjawis- kiem optymistycznym. Ukazywanie się tej lite- ratury na półkach księgarskich jest zjawiskiem optymistycznym. Odwaga wydawców, bezkom- promisowości pisarzy, są zjawiskami optymisty- cznymi. Więc nie jest jeszcze tak źle! Jak długo znajdują się ludzie sięgający w swym proteście po pióro, jak długo znajdują się czy- telnicy ich prac, tak długo znajdować się będą wydawcy. Money makes money. Dobra wilk pożreć dobra owca, bo taka jest natura dobra wilk. Money makes money. I love you, you love me, we love each other. Ale dobra wilka ma nieźle węż, wie, że nie pod każdą skórą jest dobra mięso, wilk wiedzieć to bez pudła. Na dziesięć tysięcy piszących jeden odnosi sukces — piekielnie gęste jest sito krytyki. A jej języki

Z najświeższego egzemplarza londyńskiego „Li- terary Review”: „...Najcenniejsze wartości Ygre- ka to intelekt, wyobraźnia, refleksyjność i me- taforyczność. Wbrew czysto literackim pozorom traktuje on świat niezwykle serio, swoim bo- haterom stawia wysokie, a jednak ludzkie wy- magania...”. „Pragnie, aby czytelnik sam wy- ciągnął prawidłowości z nieprawidłowości, uc- ciwość wobec świata i ludzi z nieuczciwością, wyrażone często w obezwładniającym żarciu, ironii, nie stroniący od ostrości sformułowań...”. „Szczególna dosłowność zapisu daje się in- terpretować w różny sposób. Przekonania Iksa o umowności pewnych sformułowań, zwłaszcza w kontekście na pół prawdziwego i gorzkiego stwierdzenia, że właśnie w umowności należy z całą powagą poszukiwać sensu działania ludz- kiego, jego niepatetyczna, oszczędna refleksyj- ność, intelektualny i głęboki sens rozważań nad opisywanymi zdarzeniami, a także odciśnię para- doksu i powściągliwy dystans do podejmowa- nego tematu...”.

Coła kaliber 1000! Koło ratunkowe, błagam! Konia z rzedem temu, kto ten bełkot zrozumie. Nazywam się William Shakespeare, jestem Wal- tem Disneyem, Czerwonym Kapturkiem się uro- dziłem, jeżeli coś z tego makaronu przeszło mi przez gardło. Mroczne tły tych wodolejów pliczą zaupę dla konsumentów literatury. Waru- ją na strażę przejdzie do gabinetów wydawców. Jednym pociągnięciem pióra stracają w niebyt lata samozaparcia, w obezwładnione ręce wci- skają truciznę. Ale to nie koniec bólów porodo- wych. Na zewnątrz lona matki cyzha zgraja pa- sożytów zwanych sponsorami. Złudne marzenia. Matko, ujrzałem światło dnia! Głupi jesteś, cielaku, daleka jeszcze twoja droga! Niczym niedarny żółwik wykłuty z jaja w piaskach nadmorskich przebrnąć musisz do zbawczej wody szeroki pas nagiej plaży z krzącącymi nad nim żarłocznymi albatrosami. Gdyby ta próba udała się jednemu na sto, oceany zaroiłyby się od tych zwierząt. Wyrok ostatniej instancji: je- den na dziesięć tysięcy piszących! Dywizję wy- syła się do ataku. Dziesięciu tysiącom żołnierzy dowódca zdradza przerażającą prawdę: Wróć z was jeden. Tylko jeden, żadnych złudzeń! Ja- kich nadludzkich sił potrzeba do poderwania się z okopu? A David powiada: pisz wszystko, co o tych draniach wiesz, wyciągaj ich smrody na wierzch, nie oglądaj się na boki, resztę, zgo- dnie z umową, zostaw mnie. Ta jego roztzyl- dowska wielkoduszność: otwieram ci konto. Pisarz musi być warty od troski o befsztyk, o befsztyk — beczelnie pewien siebie jest ten wytworny sukinsyn! Jego ostatni warunek — nie wymaga komentarza: żadnych pytań. Nazwa wydawnic- twa? Żadnych pytań. Warunki, krytyka, kore- kta, redaktorska kosmetyka pracy, tysiąc in- nych rzeczy dręczących piszącego? Żadnych py- tań. Perkele! Helvetii! Vittu! Za kogo ty mnie masz, nie potrzebuję jałmużny! Nie podskakuj — on na to — to nie jest zgodne z naszą umo- wą. Z „naszą”.

Wiec nie pytajmy. No questions, Keine Fra- gen. Nie życzyć sobie pytań. Od nikogo.

ROZDZIAŁ 3

Wysłannik lotnicza postawił worki na środku pokoju i przed ich rozwiązaniem poprosił mnie o sprawdzenie plomb. Przepsis. Zarząd lotnicza jest tylko dostawcą przesyłki. W takim stanie, w jakim nadadza.

Ołowiane plomby nie były znieskształcone, od- ciśnięta pieczęć: „Główna Komora Tranzytowa — Kennedy Airport — New York”, nie naruszona.

— Są w porządku — oświadczyłem. — Proszę wyjąć bagaż.

Dostawca przeciął nożykiem sznurki, z cie- mności worków szalowych wydobył torbę i neseser opatrzone moim nazwiskiem i metka- mi lotnicza Arlanda.

— Pańskie?

Rozpoznałem zgrube.

— Jeżeli nie ma zastrzeżeń, zechce pan łaskawie potwierdzić to podpisem. — Rozłożył na stole bloczek. — Ale wpięć proszę sprawdzić dokładnie zawartość. Przepsis.

Granatowobłękitny mundur, na czapce i re- kawach marynarki insygnia „Finnair”. Bezbłę- dna angielszczyzna z chicagowskim akcentem wysłannika helsińskiego lotniska korciła mnie, by uciąć z nim krótką rozmowę. Zaniechałem tego. Tutaj każdy albo był w Stanach, albo aktualnie jest, albo się tam wybiera; znajomość naszego języka o niczym nie mówi.

Zawartość torby wysypałem na kanapę, nie interesowała mnie. Z neseserem postąpiłem ina- czej. Pochyliłem nad nim głowę i chwilę na- słuchiwałem w skupieniu. Z tikających bomb zegarów zryzygnowano już dawno, w zasto- sowaniu są inne rozwiązania, nie wykrywalne uchem czy detektorem magnetycznym. Ale ten nawyk we mnie. Następnie, przez chusteczkę, delikatnie otworzyłem zamek. Zdumionemu moim manewrami wysłannikowi wyjaśniłem: — Alergia. Reaguje na pył szalowy — po czym ostrożnie podniosłem wieko.

C.D.N.

Rys. Janusz Szymański-Glanc

